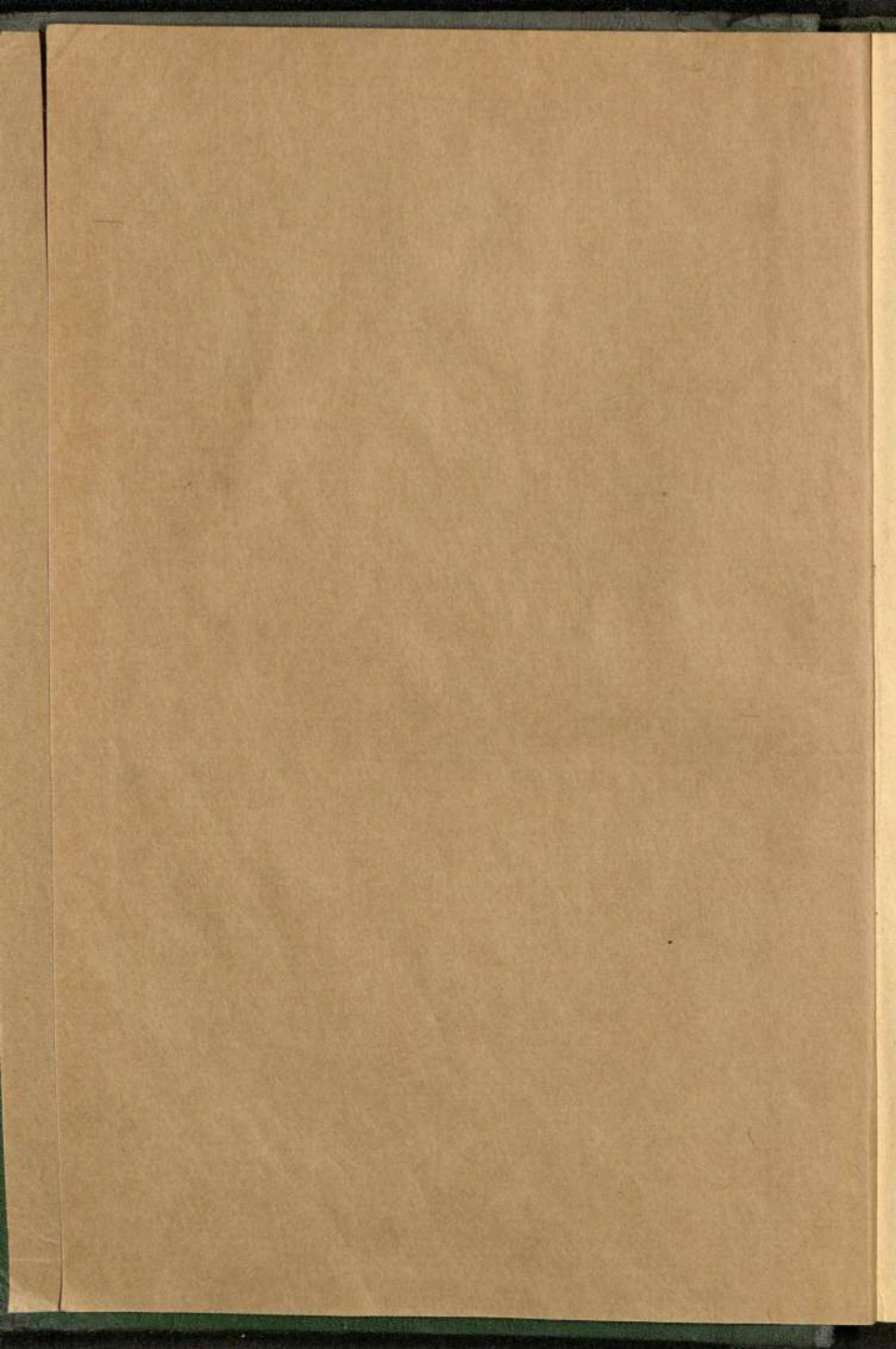


A. MICKIEWICZ



DZIEŁA
A. MICKIEWICZA

== TOM II. ==



MIKOŁÓW

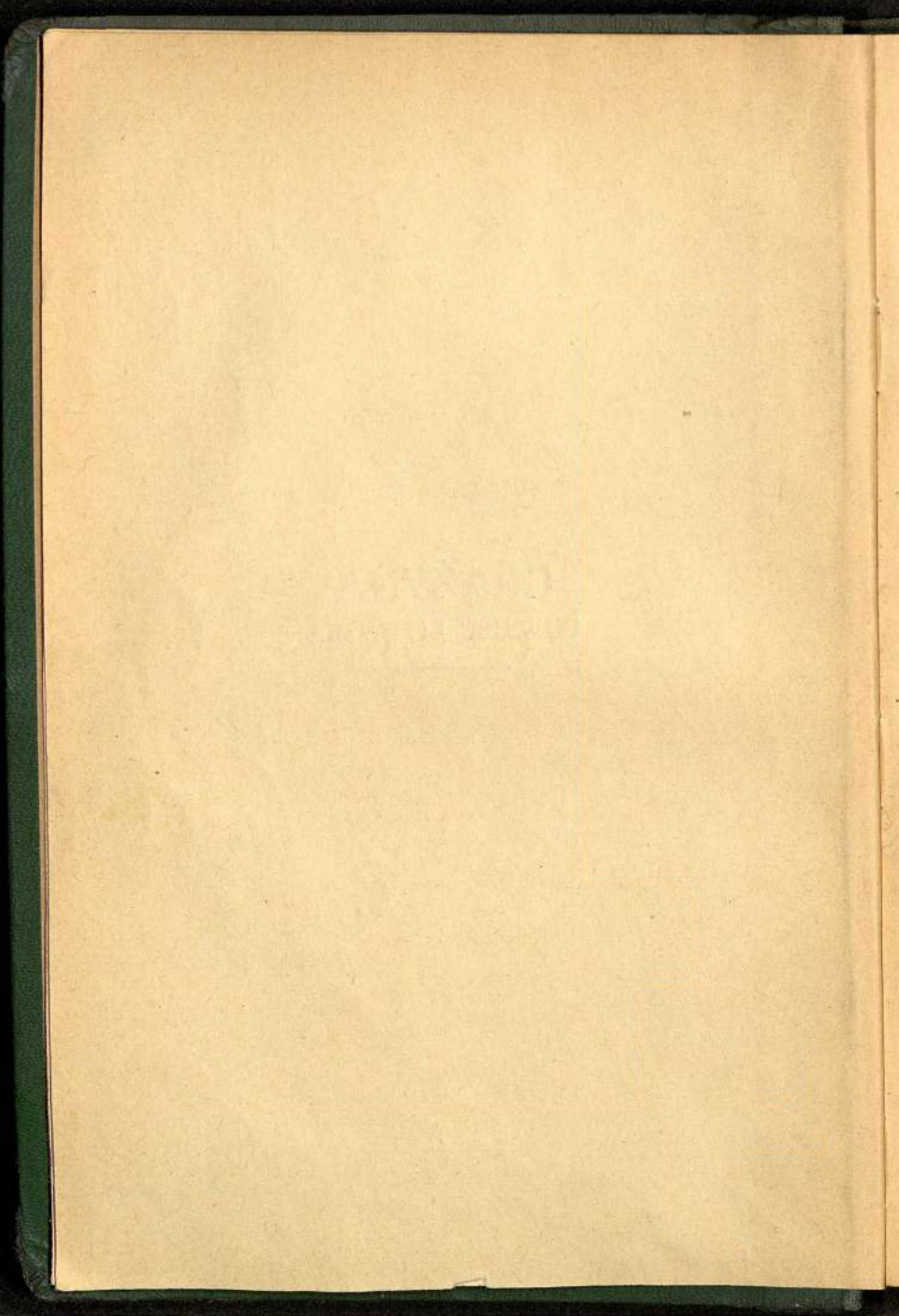
NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI.



MIC
DZIE

93

GRAŻYNA
POWIEŚĆ LITEWSKA



Coraz to ciemniej; wiatr północny chłodzi,
Na dole tuman, a miesiąc wysoko
Pośród krążącej czarnych chmur powodzi,
We mgle nie całę pokazywał oko;
I świat był nakształt gmachu sklepionego,
A niebo nakształt sklepu ruchomego,
Księżyc, jak okno, którego dzień schodzi.

Zamek na barkach nowogródzkiej góry
Od miesięcznego brał pozłotę blasku;
Po wałach z darni i po sinym piasku
Olbrzymim słupem łamał się cień bury,
Spadając w fosę, gdzie wśród wiecznych cieśni
Dyszała woda z pod zielonych pleśni.

Miasto już spało, w zamku ognie zgasły,
Tylko po wałach i po basztach strażę
Powtarzanemi płoszą sennosć hasły;
Wtem się coś zdala na polu ukaże:
Jakowiś ludzie biegną tu po błoniach,
A gają cieniu za każdym się czerni,
A biegną prędko — muszą być na koniach,
A świecą mocno — muszą być pancerni.

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa.
Trzej to rycerze jadą wzdłuż parowa;
Zjechali, stają — a pierwszy z rycerzy
Krzyknie i w trąbkę mosiężną uderzy;
Uderzył potem raz drugi i trzeci —
Strażnik mu z baszty rogiem odpowiada —
Brzękły wrzeczadze, pochodnia zaświeci
I most zwodzony z łoskotem opada.

Na tętent koni zbiegli się strażnicy,
Chcąc bliżej poznać i męża i stroje.
Pierwszy mąż jechał w zupełnej zbroicy,
Jaką zwykł Niemiec przywdziewać na boje;
I krzyż miał czarny na białej kapicy,
I krzyż na piersiach u złotej pętlicy,
Trąbkę na plecach, kopję u toku,
Różaniec w pasie i szablę u boku.

Poznali męża Litwini z tych znaków,
Więc cicho jeden do drugiego szepce:
„To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków,
Tuczny, bo pruską krew codziennie chłepce.
O, gdyby nie był nikt tu więcej z warty,
Zarazby w bagnie skąpał się ten plucha,
Aż pod most pięścią zgiałbym łeb zadarty!“ —
Tak oni mówią; on niby nie słucha.
Lecz musiał słyszeć, bo się bardzo zdumiał,
A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał.

„Książę jest w zamku?“ — „Jest, lecz o tej porze
Bardzoście wasze poselstwo spóźnili;
Dziś nie możecie stawić się we dworze,
Chyba na jutro“. — „Jutro? Ani chwili!
Zaraz, natychmiast, choć w spóźnioną porę,
Litaworowi o posłach doniesiecie;
Niebezpieczeństwo na mą głowę biorę,
A wy dla znaku pierścieni tylko weźcie!
Nie trzeba więcej: skoro ujrzy godło,
Pozna, kto jestem i co nas przywiodło“.

Cichość dokoła, zamek we śnie leży.
Co za dziw? Północ, jesienią noc długa;
Zacóż dotychczas w Litawora wieży
Lampa, jak gwiazdka, między kratą mruga?
Wszak dziś powrócił, jeździł w kraj daleki,
Snu potrzebują troskliwe powieki.

On przecie nie śpi. — Posłano na zwiady:
Nie śpi — lecz żaden z pałacowej straży,
Ani z dworzanów, ani z panów rady,
Do progu jego zbliżyć się nie waży.

Daremnie posel i grozi i prosi:
Groźba i prośba na nic się nie przyda.
Kazano wreszcie obudzić Rymwida:
On wolę pańską nosi i odnosi,
On głową w radzie, prawą ręką w boju,
Jego nazywa książę drugim sobą,
W obozie, w zamku jemu każdą dobą
Wstęp do pańskiego otwarty pokoju.

W pokoju ciemno i tylko od stoła
Kaganiec światłem konającym płonął.
Litawor chodził po gmachu dokoła,
A potem stanął i w myślach utonął.
Słucha, co Rymwid o Niemcach powiada,
Ale mu na to nic nie odpowiada.
To się rumieni, to wzdycha, to blednie,
Wydając twarzą troski niepowszednie.
Poszedł ku lampie, żeby ją poprawił,
Wrzкомо poprawia, a do głębi ciśnie;
Wcisnął nareszcie i całkiem zadławił —
Nie wiem, przypadkiem, czyli też umyślnie.

Śnać, że poskromić nie mógł wewnętrznej wrzawy
I w pogodniejsze wystroić się lice,
A jednak nie chciał, by sługa z postawy
Zgadnął pańskiego serca tajemnice.
Znowu komnatę obchodzi dokoła,
Lecz, kiedy okna kratowane mijał,
Widna przy blasku miesięcznego koła,
Co się przez szyby i kraty przebijał.
Widna posępność zmarszczonego czoła,
Przycięte usta, oczu błyskawica
I surowego zagorzałość lica.

Potem w róg gmachu zwraca się z pośpiechem,
Każe podwoje zamknąć Rymwidowi —
Siadł i z kłamliwą spokojnością mówi.
Szyderskim mowę zaprawując śmiechem:

„Wszak mi sam z Wilna przywozłeś, Rymwidzie,
Że Witold, pan nasz możny i łaskawy,
Miał mię podwyższyć książęciem na Lidzie
I spadłe na mnie po żonie dzierzawy,

Jak swoją własność lub zdobycze cudze,
Litaworowi podarował słudze?"
— „To prawda, książę”. — „My więc po te dary,
Jako przystało, wystąpimy godnie!
Każ wynieść na dwór książęce sztandary,
Zapalić w zamku ognie i pochodnie!
Gdzie są trębacz? Niechaj o północy
Zjadą na miasto i, stanąwszy w rynku,
Na cztery wiatry trąbią z całej mocy —
A póty będą trąbić bez spoczynku,
Póki się wszystko rycerstwo rozbudzi!
Niech każdy piersi zbroją ubezpiecza,
Nasadzi groty i pociągnie miecza!
Zgotować żywność dla koni i ludzi!
Każdemu z mężów zgotuje niewiasta,
Ile zjeść można od ranku do zmroku.
Czyj koń na paszy, sprowadzić do miasta,
Nakarmić i wziąć na drogę obroku,
A skoro słońce z szczorsowskiej granicy
Pierwszym promieniem grób Mendoga draśnie,
Wszyscy staniecie na Lidzkiej ulicy!
Czekać mię rzeźwo, zbrojno i zapaśnie!”

Tak mówił książę. Wprawdzie jego mowa
Zaleca zwykle do drogi przybory —
Lecz zaco nagle i niezwykłej pory?
Dlaczego postać była tak surowa?
A kiedy mówił, choć gwałtowne słowa
Biegą, że jedno drugiego nie ścignie,
Zda się, jakoby wyszła ich połowa,
A reszta w piersiach przytłumiona stygnie.
Ta postać coś mi niedobrego wróży
I głos ten myśli spokojnej nie służy.

Umilkł Litawor; zdało się, że czeka,
Aż Rymwid z wziętym odejdzie rozkazem —
I Rymwid milczy, a odejście zwleka,
Bo to, co słyszał i co widział razem,
Kiedy stosuje i waży w rozumie,
Z lekkich słów ciężką rzecz odgadnąć umie.

Ale cóż pocznie? Zna, że książę młody
Namowom cudzym mało daje ucha
I, nie lubiący w długie brnąć wywody,
Zamiary knuje w swojej głębi ducha,
A skoro uknuł, nie dba na przeszkody
I, hamowany, tem srożej wybucha.
Lecz Rymwid, jako wierna panu rada
I zacny rycerz w litewskim narodzie,
Zapewne hańbie niemalej podpada,
Gdzieby powszechnej nie zabieżał szkodzie.
Milczeć, czy radzić? Na dwoje myśl dzieli,
Waha się, wkońcu na drugie ośmieli.

„Panie, gdziekolwiek chęci twoje godzą,
Nigdyć na ludziach i koniach nie zbędzie:
Wskaż tylko drogę, my za twoją wodzą,
Nie patrząc, kędy, gotowi iść wszędzie —
I Rymwid pewnie nie przyjdzie ostatni.
Ale, o panie, na różnym miej względzie
Pospółstwo, ślepe twoich rąk narzędzie,
I mężów, którzy na coś więcej zdadni.
Bo i twój ojciec, choć lubił sam z siebie
Wyciągać skrycie przyszłych dzieł osnowy,
Jednak, nim gminne miecze ku potrzebie,
Wprzód ku radzie mądre wzywał głowy,
Kędym ja nieraz z wolnem zdaniem siadał,
A com umyślił, śmiało wypowiadał.
Więc i dziś wybacz, jeśli w szczerem głosie
Zeznam, co serce ustom przekazało.
Długo ja żyłem i na siwym włosie
Dźwigam i czasów i czynów niemało;
Przed się dziś widzę, oby nie ze szkoda,
Rzecz, dla nas starych niezwykłą i młodą.
Jeżeli prawda, że na Lidskie państwo
Ciagniesz, do twojej należące własci —
Ten pochód skory, coś nakształt napaści,
Zrazi i nowe i dawne poddaństwo.
Ci, jak zwycięzcy, czekają zdobyczy,
Tamci kajdanów, jak lud niewolniczy.

Zaraz po kraju wieść ziarna rozsypie,
Ucho je gminne chwyta i przesadza —
Skąd w końcu gorzki owoc się wyradza,
Co truje zgodę i co sławę szczypie;

Okrzykną zaraz, żeś, chciwy łupieży,
Wdarł się na państwo, któreć nie należy.

Inaczej całe po dawnym zwyczaju
Litewskie niegdyś stapały książęta,
Niosąc stolicę do własnego kraju:
Tych książąt dobrze wiek mój zapamięta --
I, jeśli zechcesz iść po starym trybie,
Spuszczaj się na mnie, w niczem nie uchybie

Naprzód rycerstwo obeślemy wszędy,
I tych, co w mieście zostali się bliscy,
I co na wiejskie powrócili grędy,
Mają na zamek zgromadzić się wszyscy;
Więc krewne pany, więc starsze urzędy,
Ku bezpieczeństwu, a większej ozdobie,
Z sowitym poczem niech staną przy tobie.
Co nim dokonasz, ja mogę tymczasem
Wyruszyć jutro lub pojutrze z rana
Ze służbą, z świętą osobą kapłana,
Tudzież z potrzebnym do uczt zapasem,
Aby się wszystko złatwiło na przodzie,
A na zwierzynie nie brakło i miodzie.

Nie tylko bowiem sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za łakocią goni,
A widząc zrazu pańskiej hojność dłoni,
Dobrze stąd sobie na przyszłość tłumaczy.
Tak zawždy było w Litwie i na Żmudzi;
Jeśli nie wierzysz, pytaj starych ludzi!"

Skończył, podchodzi ku oknom i doda:
„Wietrzno, niepewna na jutro pogoda...
Jakiegoś widzę rumaka przy wieży,
A tuż i rycerz, oparty na łęku...
Drudzy dwaj chodzą, konie wodząc w rękę...
Posły niemieckie — poznałem z odzieży;
Czy ich zawołać, czyli niech na dole
Przez usta sługi odbiorą twą wolę?"

To mówiąc, okno przymknięte zaszczepił,
Niby niechcący, i patrzył i gadał,
Ale umyślnie pytanie uczepił,
By coś o posłach niemieckich wybadał.

Na to mu prędko Litawor odpowie:
„Jeżeli kiedy wychodzę po radę
Do cudzych, własnej nie ufając głowie —
Zawždy twe zdanie na początku kładę,
Boś zewsząd godzien mojej czci i wiary,
Jak w polu młody, tak na radzie stary.

Więc, choć nie lubię, by dzieł przyszłych końce
Lada czyjemu widne były oku —
Zamiar, wyległy w myślenia pomroku,
Złe jest przed czasem wykazać na słońce;
Niechaj rzecz cała, dokonania bliska,
Jak piorun: wprzód zabija, niż błyska.
Przełoż ja krótko pytania odbywam:
„Kiedy?” — „Dziś, jutro”... — „Gdzie?” — „Na Żmudź do
„To być nie może!” — „Będzie i być musi”... [Rusi”...
Lecz dzisiaj tobie głębi serca rozkrywam.

Dlatego kazał do konia i zbroi,
Dlatego nagle i orężnie godzę,
Bo wiem Witolda, że z wojskami stoi,
Gotowy wstępy czynić mi po drodze;
A może na to chciał do Lidy zwabić,
By zwabionego pojmać albo zabić.

Ale ja z mistrzem Pruskiego Zakonu
Tajemne zaraz związałem przymierze,
Aby mi swoje dał w pomoc rycerze,
Za co w nagrodę ustąpię część płonu.
Jeśli, jak slysze, przybyli posłowie,
Znać, że na jego nie zwiedziony słowie.

Wprzód więc, nim zajdą siedmiorakie gwiazdy,
Ruszymy przydać ku litewskiej sile
Niemców pancernej trzy tysiące jazdy
I pieszych knechtów we dwójnasób tyle.
Będąc u mistrza, sam sobie wybrałem,
Jakie ma przysłać rumaki i chłopcy,
Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem,
Żelazem kute od głowy do stopy;
Wiesz, jako dzielnie brzeszczotami sieką,
I dzidą srożsi od naszych daleko.

Knecht zasię każdy ma żelazną zmię,
Którą ołowiem i sadzą utuczy,
Potem, ku wrogom nawracając szyję,
Podrażni iskrą: wnet paszcza zahuczy
Ogniem i gromem, zrani lub zabije,
Kogo jej strzelca trafny wzrok poruczy.
Od takiej broni niegdyś obalony
Pradziad Gedymin na szańcach Wielony.

Wszystko gotowe; tajemnemi drogi
Jutro, gdy Witold w zaufaniu zbytniem
Na Lidzie słabe zostawił załogi,
Wpadniem, podpalim, zabierzem i wytniem“.

Rymwid, niezwykłą rażony nowiną,
Stał pełen dziwu, nieprzytomny sobie;
Przegląda burzę, myśli o sposobie,
Sklócone myśli jedne w drugich giną.
Ale rzecz nagła, próżno zwlekać zdanie.
Z gniewem i żalem zawoła: „O panie!
Bogdajbym nigdy nie dożył tej pory!
Brat przeciw bratu ma podnosić dłonie!
Wczoraj wyszczerbił na Niemcach topory —
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?
Zła jest niezgoda — ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać; raczej ogień z wodą!

Zdarza się wprawdzie, że sąsiad sąsiada,
Z którym nieprzyjaźń toczył od lat wielu,
Uściska wreszcie, gniewne serce składa,
Jeden drugiego zowac: „przyjacielu“ —
Że bardziej jeszcze, niżli złe sąsiady,
Gniewne na siebie Litwiny i Lachy
Często u wspólnej pijają biesiady,
Snu używają pod jednemi dachy
I miecze łączą ku wspólnej potrzebie —
A jeszcze bardziej nad litewskie męże
I nad Polaki zawziętsi na siebie
Od wieku wieków są ludzie i węże —
A przecież, jeśli do domowych progów
Waż zaproszony gościem od człowieka,
Jeśli dla chwały nieśmiertelnych bogów
Litwin mu chleba nie skapi i mleka —

Wtenczas gad swojski pełźnie w jego ręce
Społem wieczerza, z jednych kubków pija
I nieraz senne piersi niemowlęce
Mosiężnym wiankiem bez szkody obwija.

Lecz krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt ni gościna, ni prośbą, ni dary!
Małoż Prusaki i Mazowska cary
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszcze?
On wiecznie głodny! Choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszą rozdziera gardziele.

Spólna moc tylko zdoła nas ocalić.
Darmo hordami ciągniemy co roku
Burzyć ich twierdze i mieściny palić!
Przebrzydły Zakon podobny do smoku:
Jeden łeb utniesz, drugi rośnie skoro
I ten ucięty rośnie w dziesięcioro!
Wszystkie utnijmy! Napróżno się trudzi,
Kto naszych szczerze chce godzić z Krzyżaki,
Bo czy to z kniaziów, czyli z prostych ludzi,
Na Litwie całej nie znajdzie się taki,
Coby ich nie znał chytrości i dумы,
Nie stronił od nich, jak od krymskiej dżумы,
Coby nie wołał stokroć od ich broni
Raczej śmierć w polu, niżli pomoc zyskać,
Raczej żelazo rozpalone w dłoni,
Niżli krzyżacką prawicę uściskać!

Lecz Witold grozi? — Czyż bez obcych mieczy
Już nie zdołamy rozeprzeć się w polu?
Albo czy do tych kresów zaszły rzeczy,
Iż domowego naszych zwań kłólu
Nie zdoła wyrwać dłoń bratniej przyjaźni,
Oreż dla cudzej zachowując kaźni?

Skądże masz pewność, że słuszna twa skarga,
Że Witold znowu, stawiając się upornie,
Zdrady napina i umowy targa?
Posłuchaj, szlij mnie do niego powtórnie,
Wznowim umowę...“ — „Dość tego, Rymwidzie!
Znane mi dobrze Witolda umowy.
Wczora mu taki wiatr zawiął do głowy,
Dzisiaj nań znowu co innego przyjdzie.

Wczora ufałem książecemu słowu,
Że sobie Lidę w dziedzictwo zabiorę —
Dziś Witold uknuł coś różnego znowu:
Na gwałt swobodną wysłodziwszy porę,
Gdy się do domów rozjechali moi,
A on u Wilna obozami stoi,
Dziś oznajmuje, jakoby Lidzianie
Za swego pana słuchać mię nie chcieli —
Więc Witold Lidę dla siebie wydzieli,
Mnie zaś w nagrodę inny kraj dostanie!...
Pewnie Ruś gołą, lub bagna Warega,
Bo tam wskazana jest siedziba nasza,
Tam Witold braci i krewnych wypłasza,
A świętą Litwę sam jeden zalega!
Patrz, jak uradził — a wie, na co radzić,
Bo w jedno bije, chociaż różną drogą:
Chciałby się jeden nad wszystkich posadzić
I sobie równych cisnąć pod swą nogą.

Przebóg! Czyż nie dość, że Witolda buta
Na koniu wiecznie trzyma całą Litwę?
Pierś nasza wiecznie do zbroi przykuta,
Szyszaki już nam przyrosły do czoła!
Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę,
Świat, jako wielki, zbiegliśmy dokoła:
To na krzyżactwo — to znowu przez Tatry
Na Polski pięknie zbudowanej sioła —
Stamtąd, po stepach żeglujący z wiatry,
Goniąc błędnego obozy Mogola.
A cośmy skarbu z zamków wylamali
I co żywego szablica nie dotnie,
Głód nie dogryzie, ogień nie dopali —
Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.
Na trudach naszych w potęgę urasta:
Od Fińskich zatok po Chazarów morze
Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta...
Sam w jakim mieście, w jakim siedzi dworze!
Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,
Na które Prusak nie spojrzy bez strachu,
A przecież mniejsze od Witolda gmachu,
Co jest na Wilnie lub Trockiem jeziorze!
Widziałem piękną dolinę przy Kownie,

Kędy rusalek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, kraśnym dzierzga kwiatem:
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie...
Lecz — któżby wierzył? — u syna Kiejstuta
W pałacu świeższa murawa i kwiecie:
Takim podłoga kobiercem osuta,
Takie po ścianach rozwisłe bisiory
Z liściem ze srebra i kwieciami ze złota...
Nad dzieło bogiń, nad smug różnowzory
Cudniejsza branek lechickich robota.
W kratkach u niego szklane okienice,
Przywożne kędyś aż od ziemi końca,
Błyszcza, jak polskich rycerzy zbroice,
Albo, jak Niemen, przed oczyma słońca
Z pod śniegu zimne gdy odsłoni lice.

A ja com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od małego wieku,
Z pieluchów zaraz przewiniony w zbroję,
Książę, jak Tatar, żył o końskim mleku?
Cały dzień konno, w wieczór końską grzywa
Poduszką moją — przy niej noc wystoję —
A rankiem znowu trąba na koń wzywa;
Że wtenczas, kiedy moi rówiennicy,
Jeżdżąc na kijach, szablami z łuczywa
Bezpiecznie sobie grali po ulicy,
By siwą matkę lub dziecinną siostrę
Zabawić wojny kłamaną obrazem —
Wtenczas z Tatarów jam gonił na ostre,
Lub wręcz z Polaków ścinał się żelazem!

Przecież me państwa od Erdwiłła czasu
I piędźią szerzej ziemi nie zaległy.
Patrz na te mury z dębowego lasu
I na ten pałac mój z czerwonej cegły —
Pójdź przez komnaty, pradziadów siedliska:
Gdzie szklane kupie? Gdzie kruszcowe łupy?
Miasto blach złotych — mokry kamień błyska,
Miasto kobierców — śniade mchu skorupy!
Cóżem chciał wynieść z ognia i kurzawy?
Państwa, czy skarby? Nie — nic, kromia sławy!



Ale i sławą wszystkim po nad głowę
Witold podleciał, Witold wszystkich gasi.
Jego, jakoby drugiego Mindowę,
Na ucztach wielbią wajdeloci nasi —
Jego na strunach i na wieszczym rymie
Do potomnego wysyłają blasku;
Nasze wśród gminu kto wypatrzy imię?
Kto podjąć raczy z niepamięci piasku?

Przecież nie zajrzym. Niech walczy, niech gromi,
Niechaj się w imię i skarby bogaci —
Tylko niech zęba chciwego poskromi
Od swych ojcyców, od ziemi swej braci!
Czyż dawno w środku pokoju i zgody
Gwałtem litewska wstrząśniona stolica?
Czyż dawno Witold kniaziów wielkich grody
Naszedł i z tronu zmiotł Olgierdowica
I sam owładał? A tak lubi władać,
By jego poseł, jak Krywejty goniec,
Książąt podwyższał, albo zmuszał spadać!
O, czas, że temu położymy koniec,
Czas, że po sobie jeździć nie dozwolim!
Póki młodego w piersiach żywie ducha,
Póki żelazo ręki zdrowej słucho,
Dopóki koń mój ze skrzydłem sokolem,
Com z łupów krymskich jednego wziął sobie,
Jakiemu równy dany tobie drugi,
A jeszcze dziesięć rze przy moim żłobie,
Które mi wierne poobdzierałam sługi —
Dopóki koń mój... póki szabla moja!...“
Tu mu gniew słowa i technienie zatłoczył.
Umilkł, lecz chrzęstem ozwała się zbroja;
Znać, że się wzdrygnął i z miejsca wyskoczył.
Jakiż to płomień nad głową mu błysnął?
Jak oderwana gwiazda przez niebiosą
Spada, z długiego żary trzęsąc włosą,
Tak on brzeszczotem koło stropu cisnął
I siekł w podłogę; od takiego razu
Rzesiste iskry sypnęły się z głazu.

Znowu ich głuche obeszło milczenie,
Znowu rzekł książę: „Dosyć próżnej mowy,
Oto noc prawie dochodzi połowy,
Wkrótce usłyszę drugich kurów pienie...“

Wiesz, com rozkazał. Bądźcie w pogotowiu!
Ja legnę; może duch troskliwy spocznie
I ciało trochę pokrzepię na zdrowiu,
Bom trzy dni nie spał. Teraz jeszcze mrocznie,
Lecz dziś zapelnia księżyc rogi nowiu —
Świt będzie widny. Ruszymy niezwłocznie,
Synom Kiejstuta w Lidzie zostawimy
Godne dziedzictwo — popioły i dymy!"

To powiedziawszy, usiadł i w dłoń klasnął;
Skoczyli słudzy — kazał zwlekać szaty
I leął, nie na to może, aby zasnął,
Lecz, aby Rymwid miał się precz z komnaty.
I on, gdy widzi, iżby nic nie sprawił —
Ani co mówił, ani dłużej bawił:
Poszedł — a jako znał powinność sługi,
Wytrąbił ukaz, rycerstwo zgromadził,
Potem do zamku wrócił się raz drugi.
Pocóż? Czy, żeby znowu z panem radził?
Nie. W inną stronę wiódł on kroki swoje:
Na lewe skrzydło zamkowej budowy,
Gdzie ku stolicy spadał most zwodowy,
Szedł krążgankami przed księżnej podwoje.

Była naonczas księżęciu zameżną
Córa na Lidzie możnego dziedzica,
Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica,
Zwana „Grażyna“, czyli „piękną księżną“;
A chociaż wiekiem od młodej jutrzeńki
Pod lat niewieścich schodziła południe,
Oboje: dziewczki i matrony wdzięki
Na jednym licu zespoliła cudnie.
Powagą zdziwi a świeżością znęca —
Zda się, że lato oglądasz przy wiośnie,
Że kwiat młodego nie stracił rumieńca,
A razem owoc wnet pełni dorośnie.
Nie tylko licem nikt jej nie mógł sprostać:
Ona się jedna w dworze całym szczyci,
Że bohaterską Litawora postać
Wzrostem wysmukłej dorówna kibici.
Księżęca para, kiedy ją okoli
Służebne grono — jak w poziomym lesie
Sąsiednia para dorodnych topoli —
Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.

Twarzą podobna i równa z postawy,
Sercem też całem wydawała męża.
Iglę, wrzeczono, niewieście zabawy
Gardząc, twardego miała oręża;
Często, myśliwa, na żmudzkim rumaku,
W szorstkim, ze skóry niedźwiedziej, kirysie,
Spiąwszy na czole białe szpony rysie,
Pośród strzelczego hasała orszaku;
Z pociechą męża nieraz w tym ubiorze,
Wracając z pola, oczy myli gminne,
Nieraz od służby zwiedzionej na dworze
Odbiera hołdy, książęciu powinne.

Tak zjednoczona zabawą i trudem,
Osloda smutku, spółniczka wesela,
Nie tylko łoże i serce podziela,
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.
Wojny i sady i tajne układy
Częstokroć od jej zależały rady —
Acz innym rzecz ta nie była świadoma,
Bo księżna, wyższa nad żon prostych rzędy,
Które, zbyt rade, że panują doma,
Chciałyby z tem się popisować wszędy, —
Owszem, cudzemu pilnie kryła oku,
Z jaką potęgą w sercu męża władnie;
Nawet baczniejsi i bliżsi jej boku
Nie prędko mogli zbadać i nie snadnie.

Mimo to Rymwid mądry odgadywał,
Gdzie mu jedyne pozostało wsparcie;
Szedł więc i księżnej wynurzył otwarcie
Wszystko, co widział i co przewidywał,
Jaka stąd dawnym zwyczajom obraza,
Książęciu hańba, narodowi skaza.

Mocno Grażynę wieść nowa uderzy,
Lecz, panią swojej będąca postaci,
Udaje wrzkomo, iż temu nie wierzy,
Pokoju w głosie i w twarzy nie traci.
„Nie wiem ja — rzekła — czyli nad rycerzy
Więcej u pana słowo niewiast płaci:
To wiem, że sobie sam radzi roztropnie;
Wiem jeszcze lepiej: co uradzi, dopnie.

Wreszcie, jeżeli nagle gniewu flaga
Doczesną burzę w sercu jego wzbudzi,
Jeśli niekiedy, lotem młodych ludzi,
Chęć swą nad słuszość lub nad możność wzmacnia:
Zostawmy, niech czas i cicha uwaga
Rozjaśni myśli, zapali przystudzi,
Pierzchliwe słowa niepamięć pogrzebie —
Tymczasem drugich nie trwóżmy i siebie!“

— „Wybaczaj, księżno! O, nie są to słowa,
Co z ust w gorącej pryskają godzinie,
Których, zagasłych, pamięć nie dochowa;
Nie jest to zamiar, który w płataninie
Chęci niewczesnych rodzi myśl jałowa,
Który, jako dym, zamroczy i zginie.
Te iskry znaczą wielki pożar w duchu,
Ten dym strasznego zwiastunem wybuchu!

Nie dzisiaj jestem przy pańskiej osobie:
Od lat dwunastu znał mię wiernym sługą;
Przecież na pamięć nie przywiodę sobie,
By ze mną mówił tak szczerze, tak długo.
Odkładać próżno; co rozkazał, zrobię,
Bo już rozkazał, bym przed gwiazdą drugą
Zgromadził wojska nad grób Peresieka;
Noc będzie widna, droga niedaleka“.

— „Co słyszę! Jutro? Biada mojej głowie!
Nie chcę, ażeby po Litwie gadano,
Że brat na bratnie następował zdrowie,
Wziął gardło, lub dał za Grażyny wiano!
Pójdę i w pierwszej z książęciem rozmowie...
Owszem, dziś idę, chocia już nierano...
Wprzód, niżli nocną świt opędzi rosę,
Tuszę, iż dobrą odpowiedź przyniosę“.

Żegnają siebie po tym rozhovorze,
A w jedno miejsce dążyli oboje:
Księżna, i chwili nie bawiąc w komorze,
Spieszy w gmach pański przez tajne pokoje —
Rymwid, nie bawiąc i chwili na dworze,
Spieszy kruzgankiem i — w pańskie podwoje
Że nie śmiał wstąpić — na progu usiada,
Szczeliną patrzy i ucha dokłada.

Niedługo czekał. Klamka zaszeleści,
Z ubocznych progów mignie postać w bieli.
„Kto?” — woła książę, zerwał się z pościeli —
„Kto?” — „Ja” — odpowie znany głos niewieści.
Potem coś dłużej rozmawiać zaczęli,
A chociaż Rymwid domyślał się treści,
Głosu nie złowić, bo, w echo wplątany,
Połknęło miejsce, lub odbiły ściany.

Rozmowa coraz zwawsza i zmieszana,
Coraz wolniała, coraz trudniej słychać,
Częściej głos pani, bardzo rzadko pana;
Milczał, niekiedy zdawał się uśmiechać.
Nakoniec księżna padła na kolana —
Wstał, nie wiadomo: podnieść, czy odpychać —
Kilka słów potem wymówił goręcej,
A potem milczał i nie mówił więcej.
I było cicho. Znowu postać w bieli
Przemknęła się ku drzwiom, klamką zaszeleści;
Czy uprosiła, czy się nie ośmieli
Prosić go dłużej — już w swój gmach niewieści
Odeszła księżna. Książę do pościeli
Wrócił, legł. Cicho — i widać z tej cisze,
Że go sen twardy wprędce ukołysze.

Rymwid daremnie jeszcze chwilę badał —
Odszedł nareszcie i w lewym balkonie
Giermka obaczy, który z Niemcy gadał.
Słucha ciekawie, lubo ku tej stronie
Nie szła rozmowa i wiatr ją okradał;
Wtem giermek ręką ukazał ku bronie...
Coby oznaczał, Rymwid łacno zgadał.
Strasznie to pychę Krzyżaka ubodło:
Zbiegł, chwycił konia, poskoczył na siodło,
„Przysięgam — wrzeszcząc — gdybym nie był posłem,
Przysięgam na ten krzyż, komtura znamię,
Iż za obelgę, którą dziś poniosłem,
Prędkoby zemstę znalazło to ramię!
Między monarchy na poselstwach wzrosłem —
Ni przy cesarskiej, ni papieskiej bramie
Nie spotkało mię, co u twego panka:
Pod gołem niebem doczekać się ranka,
Iść precz, za czym — za giermka rozkazem!

Ale ostrzegam, że nas nie ułowi
Pogański wykręt i nie minie plazem!
Wołać nas wrzкомо przeciw Witoldowi,
A potem wspólnem otoczyć żelazem!
No, obaczymy, czy Witold odbije
Ten miecz, zanadto waszej bliski szyje.

Powiedz książęciu, jeśli nie dowierza,
Sam niechaj spyta, powtórzyć gotowem,
Choć razy dziesięć temże samem słowem,
Teraz i zawsze — bo ze słów rycerza
Nic nie wyrzucić, jak ze słów pacierza!
A, com rzekł usty, prawicą dowiodę.
Jama, któraście pod nami kopali,
Na waszę własną wykopana szkodę,
Dziś jeszcze, jeszcze tej nocy się zwali,
Tak, jakem Ditrich Halstark von Kniprode,
Komtur Zakonu! — Za mną, knechty, dalej!”

Zaczekał jednak. Lecz po krótkiej zwłoce,
Gdy nic nie słyszał. bramą w pole goni;
Kiedy niekiedy zbroja zamigoce,
Kiedy niekiedy podkowa zadzwoni,
Kiedy niekiedy słyhać rzenie koni;
Coraz znikają w dali i w pomroce,
Las ich nakoniec i góra zasłoni.

„Jedźcie szczęśliwie! Bogdaj wasza noga
Nigdy w litewskiej nie powstała ziemi!” —
Rzekł Rymwid. patrząc z uśmiechem za niemi. —
„Dzięki, o księżno! Jaka zmiana błoga,
Jak niespodziana! Proszę teraz, kto tu
Pochlebi sobie, że zna serce cudze?
Ów głos gniewliwy, owa postać sroga —
Słowa wiernemu nie dał wyrzec słudze!
Ptaszego, zda się, chciał pożyczyć lotu,
By spaść co prędzej na Witolda głowę —
Wtem jeden uśmiech i słówko miodowe
Wytrąca oreż, zmusza do powrotu!...”
Nie dziw, zapomniał starzec siwobrody,
Że księżna piękna, a Litawor młody!

Tak mówiąc z sobą, wzniosł do góry oczy —
Może się lampa za kratą ukaże...
Napróżno patrzył: ciemność okna mroczy —
Wraca więc znowu i na ganek kroczy,
Azali książę wołać nie rozkaże.
Napróżno czekał, zapytywał strażę;
Zbliża się ku drzwiom: w pokoju noc cicha,
A książę dotąd snem twardym oddycha.

„Cuda prawdziwe! Nie odgadnę cale,
Jakim dziś wszystko idzie u nas torem:
Niedawno wołał w największym zapale,
Rozkazał wojsko zgromadzić wieczorem,
A sam śpi dotąd? Miał wyciągnąć rano,
Stoją rycerze od Niemców wezwani —
A Niemcom z niczem odjechać kazano?
Któż zaniósł rozkaz? Oto giermek pani!...

Ile z wczorajszej wróżyłem rozmowy...
Wprawdzie żadnego nie słyszał wyrazu,
Lecz długie prośby, głos pana surowy...
Miałażby księżna pomimo rozkazu
Ważyc się sama aż na krok takowy,
Ufna potędzie niewieścich pieścideł?...
Lękam się bardzo, aby tego razu
Zbytniej śmiałości nie puściła skrzydeł...
Prawda, iż nieraz poczyniała śmieje —
Lecz to byłoby więcej, niż za wiele!“

Dalsze rozmowy przerwał mu posłaniec,
Który wszedł cicho i z daleka mruga —
Więc oba śpieszą w zamku lewy kraniec;
Stamtąd krużgankiem zbiegła księżnej sługa,
Wnet sama pani w sieniach go spotyka,
Wprowadza i drzwi za sobą zamyka.

„Radco sędziwy, niedobrze się dzieje,
Ale rozpacz oddać się nie godzi;
Jeśli nas dzisiaj zawiodły nadzieje,
Szczęśliwsze jutro może wynagodzi.
Bądźmy cierpliwi; nie robić hałasu
Między żołnierstwem i dworską gawiedzią!
Posły odprowadzę do innego czasu,
Ażeby książę nagle odpowiedział

Nie przyrzekł Niemcom, póki zemstą płonie,
Coby rad cofnął, gdy z gniewu ochłonie.

Ty się nie lękaj! Jakkolwiek wypadnie,
Zamiarom pana nic się nie uszkodzi.
I potem wojsko może zwołać snadnie,
Jeżeli czas mu serca nie ochłodzi.
Dzisiaj miał jechać, ale, wyznam szczerze,
Ja tak kwapionej wyprawie nie wierzę.
Ledwie w domowe powrócony progi,
Wczora zaledwie z piersi złożył zbroje,
Z dalekiej jeszcze nie wytchnąwszy drogi,
Miałaby znowu dziś ruszać na boje?"

— „Co słyszę, księżno? Ty mówisz o zwłokach?
Jak cię, niestety, rachuba omyli!
Już jest za późno, już po tylu krokach
Nie będzie czekał godziny, pół chwili!
Wreszcie obaczym... Lecz wprzód chciałbym wiedzieć,
Jak przyjął książę wczorajszą namowę?" —
Grażyna właśnie miała odpowiedzieć,
Gdy ich zdarzenie pomieszało nowe.

Tętent jeźdnego słychać na dziedzińcu,
Zdyszały giermek dopada komnaty,
Przynosi wieści od litewskiej czaty,
Która, po ludzkim biegając gościńcu,
Teraz od Niemców dostała języka.
Że wódz krzyżacki jazdę z lasu ruszył,
A za nią knechtów i obóz pomyka —
I że przed świtem, jak czatownik tuszył
I jak niemieckie wyznawały branie,
Chce miasto ubiec i szturmować szanie.

Niechaj więc Rymwid wraz do pana skoczy,
By go przebudzić i prędko uradzić:
Czyli na murach obrony rozsadzić,
Czyli na polu Niemcom zajrzeć w oczy.
Czatownik radzi, abyśmy się skradli
Do nich z ubocza, bo są niedaleko;
Wprzód, nim się knechty z działami przywleką,
Abyśmy z nagłą nad lud jezdny padli;

Tak zapędzonym na chrapy i rowy,
Łacno rajtarom i bratom łby zmiecieć,
Potem fussknechtów wzięwszy pod podkowy,
Do szczętu plemię jaszczurcze wygniecieć. —

Mocno Rymwida dziwi ta nowina,
Daleko mocniej dziwi się Grażyna.

„Giermku — zawoła — kędyż są posłowie?“
Umilknął giermek, a niepewne lice
I pytające topiąc w niej źrenice:
„Co słyszę, księżno? — zdumiony odpowie —
Alboż o własnem zapomniałaś słowie?
Niedawno, kiedy piałły drugie kury,
Samaś mi rozkaz książęcy przyniosła,
Ażebym biegał co prędzej do posła
I wyprawił go przed świtem za mury!“ —

„Tak“ — rzecze księżna, twarz odwraca zbladła,
Lecz pomieszanie, widne w jej osobie,
Do ust wyrazy nieporządne kładło —
„Tak, prawdę mówisz, przypominam sobie...
Jakże to wszystko z głowy mi wypadło!
Biegnę — nie, stójmy — albo, wiem, co zrobię...“
Stała, milczy, przymkniona powieka,
Czoło pochyle, w którym się przebija
Jakaś myśl, jeszcze ciemna i daleka,
W niepewnych rysach okaże się, mija
I znowu wschodzi, całą twarz obleka...
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem...
Już umyśliła, postąpiła krokiem.

„Tak jest, raz jeszcze idę budzić męża...
Wojsko niech zaraz w drogę się wybiera!
Ty, giermku, rozkaz osiodłać hestera
I wynieś resztę pańskiego oręża!
Wszystko to ma być natychmiast gotowe!
Przykazuję wam imieniem książęcia,
Odpowiedź, starcze, wkładam na twą głowę.
Jaki cel, kędy mierzą przedsięwzięcia,
Nie gadać, ani pytać do poranku!
Idźcie i pana czekajcie na ganku!“

Wybiegła, drzwiczki za sobą zatrzaśła.
Wybiega Rymwid, a myśli po drodze:
„Gdzie idę, poco? Wszak wojska i wodze
Już zgromadzone, już wydane hasła!“
Odetchnął tedy, zwolnił nieco kroku,
Stanął z nagiętem ku ziemi obliczem
I, myśląc długo, nie myślał o niczem,
Bo w mnogich zdarzeń i wniosków natłoku
Myśli samopas płaczą się bezładnie,
Ani ich rozum znużony oświadcza.

Próżno tu czekam. Już bliski poranek —
Wkrótce się cała zagadka rozwiąże.
Muszę z nim mówić, śpi, czy nie śpi książę“.
Więc stapał prosto na pałacu ganek.
A wtem się z lekka rozwarły podwoje —
Litawor wyszedł sam jeden do sieni.
Szatę miał, w jaką stroi się na boje,
Całą od sutej błyszczącej czerwieni;
Głowę pod hełmem, piersi miasto zbroje
Pancerz obwijał z żelaznych pierścieni,
W lewicy tarczę mniejszego obłoku,
A pas od miecza na prawem niósł rękę.

Gniewem lub troską zdał się kołatany,
Nierównym stapał i niepewnym krokiem;
Gdy się zbliżały rycerze i pany,
Uczcić łaskawem nie raczył ich okiem.
Drżący z rąk giermka wziął łuk i kołczany,
Miecz nawet zwiesił ponad prawym bokiem,
A chociaż wszyscy omyłkę widzieli,
Przestrzegać pana nikt się nie ośmieli.

Już zstąpił z ganku, już chorągiew złota,
Wzniesioną, pocznie na dzień krwawy świtać —
Już dosiadł konia, już przyboczna rota
Miała go wrzaskiem i trąbami witać —
Lecz dał znak ręką, aby zamknąć wrota,
Jechać w milczeniu i o nic nie pytać,
A pacholiki i nadworne sługi
Aż za most wywiódł na dziedziniec drugi.

Stąd nie gościńcem puścili rumaki,
Ale, na prawo skręcając się dołem,
Przepadli między kurhany i krzaki,
Znowu ku drodze nawracając kołem.
Wąwóz ciemnymi wiedzie ich zatoki,
Ścieśnione coraz rozsuwając boki.

Jest od przykopów miejskich tak daleka,
Jako niemieckiej broni grzmot doniesie,
Mała, zaledwie znana komu rzeka,
Wąskiem korytem błaząca po lesie;
Ku drodze jednak coraz szerzej ścieka,
Gubiąc się w wielkim jeziora okresie;
Puszcza okrywa z boków jej zwierciadła,
A z przodu góra wyniosła usiadła.

Tam, gdy litewskie wymknęły się roty,
Ujrzą wśród góry przy blasku księżyca
Zbroje, chorągwie, szyszaki i grotty.
Błysnęło, zagrzmi na hasło rusznica;
Sypią się męże, ściskają się roty,
Murem krzyżacka stanęła konnica.

Tak w noc miesięczną wyglądają świetnie
Na czole Ponar zasadzone bory,
Gdy z nich oskubie wicher szaty letnie,
A rosa, jasne wieszając bisiory,
Nagle się mrozem w szron perłowy zetnie;
Błędnym przechodniom zdają się u wnijścia
Lasy ze srebra, a z kryształu liścia.

Ten widok gniewy w książęciu podusza.
Skoczył z wyniosłem nad głową żelazem —
Wali się zbrojna w ślady jego tłuszczu,
Ale się wodze dziwią, że tym razem
Wojsko bez sprawy ładajako puszcza,
Ani ich zwykłym ostrzeże rozkazem,
Kędy sam myśli na czele ugodzić,
A jakie skrzydła odda im przywodzić.

Więc Rymwid, pańską zastępując wolę,
Obiega hufy, szykuje śród drogi,
Wkłęśle ku górze ściskając półkole,
Pancernych w środek, łuczników na rogi:
Tak zawsze Litwa zwykła stawić pole.
Dał hasło — chyłą majdany do nogi,
Warknęły struny, świsnęła strzał chmura...
„Jezus! Marya! Naprzód! Hop hop, ura!“

Dopieroż, drzewca ułożywszy w tekcu,
Zerwą się bliżej — pierś na pierś uderzy...
Zacóż wydarła potomnemu oku
Noc i zwycięstwa i klęski rycerzy?
Swoi i cudzy zmieszani w natłoku —
Zewsząd szczęk razów, wrzask, chrzęsty pancerzy, —
Pryskają bronie, lecą hełmy, głowy —
Co miecz oszczędza, druzgocą podkowy.

Ksiażę, jak skoczył, tak goni na czele,
Ani się jeden między tłumem boi;
Znają czerwony płaszcz nieprzyjaciele,
Poznali godła na hełmie i zbroi:
Cofa się, walcząc, nieśmiała gromada —
Zwycięzca pędzi i na karki wsiada.

Lecz któryż z bogów siłę w nim osłabił?
Cóż stąd, że zbiegłych natarczywie goni?
Cóż stąd, że bije? — Nikogo nie zabił!
Bezwładna szabla po pancerzach dzwoni,
Albo się zwija, odbita żelazem,
Albo uchybia, albo idzie płazem.

Czując Krzyżacy tak słabe natarcie,
Odzyszcza serce; z okropnym hałasem
Nawróca czoła, potkną się zażarcie
I gęstym włóczni otoczą go lasem;
Czy przelekniony, czy splątany w tłumie,
Brac ich na szable i tarcze nie umie.

Trudno mu było całą unieść szyję:
Krzyżactwo zewsząd kole, strzela, siecze;
Wtem huf litewski nawałę rozbije,
Biorąc go między puklerze i miecze:

Ten słabe razy swojemi poprawia,
A ten od cudzych razów go zastawia.

Już noc pierzchała, już rózne włosy
Zorza na wschodnim rozciąga obłoku —
Bitwa wre dotąd, ślepe lecą ciosy,
Ni w tył, ni naprzód nie ruszono kroku,
A bóg zwycięstwa, przyszłe ważąc losy,
Równy krwi ciężar stąd i zowąd bierze,
I szala dotąd w równej stoi mierze.

Tak ojciec Niemen, mnogich piastun łodzi,
Gdy Rumszyskiego napotka olbrzyma,
Wkoło go mokrem ramieniem obchodzi,
Dnem podkopyje, pierś górą wydyma;
Ten, natarczywej broniąc się powodzi,
Na twardych barkach gwałt jej dotąd trzyma,
Ani się zruszy skała, w piasek wryta,
Ani jej rzeka ustąpi koryta.

Krzyżactwo, długiej niecierpliwe bitwy,
Na wierzchu góry stojący odwodem,
Ostatni hufiec pędzą w środek Litwy:
Komtur ich wiedzie, sam uderza przodem,
A zmordowanych długimi gonitwy
Gdy naparł świeżym i dzielnym narodem,
Łamiał się szyki, krzyżactwo zwycięża.
Wtem z góry zagrzmiał straszliwy głos męża...

Ku niemu wszystkich podnoszą się oczy:
Stoi na koniu, a, jako rozwiódł
Szeroko cienie sterczących warkoczy
Na śnieżnej górze wybujała jodła,
Tak go szeroki płaszcz dokoła mroczy —
Czarny płaszcz, czarny koń i hełm i godła.
Trzykroć zawołał, zleciał nakształt gromu,
Nie wiedzieć, za kim, albo przeciw komu.

Dobiega Niemców, między tłumem tonie.
Bitwy nie ujrysz, ale zgiełk i jęki
Dają odgadnąć, w jakiej walce stronie
I jak straszliwy piorun jego ręki:
Tam szyszak zniknie, ówdzie sztandar padnie...
Tłoczy się hufiec, miesza się bezładnie.

Jako, leśnicy gdy sosny lub dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali,
Jęczą topory, chrobocą pił zęby,
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali,
Nakoniec, między wyciętymi zręby,
Ujrzysz i mężów i błyskanie stali —
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy,
Dali się ku Litwie rycerz nieznajomy.

Spieszaj, rycerzu, ożywić duch męski,
Krzepić słabnących! Spieszaj, jeszcze pora!
Litwini bliscy ostatecznej klęski:
Dzid i puklerzów warowna zaporą
Już rozłamana, sam komtur zwycięski
Po całym polu szuka Litawora:
On się nie kryje — oba konie bodą,
Wkrótce śmiertelny pojedynek zwiada.

Litawor szablę wynosi do cięcia,
Komtur dał ognia z piorunowej broni...
Zadrzą Litwini, pojrzą na książęcia —
Niestety, szabla wypadła mu z dłoni,
Cugle z słabego wyciekły ujęcia;
Już pod szyszakiem nie dotrzyma skroni,
Spływając z siodła, już się bokiem chyli,
Kiedy mu swoi na pomoc skoczyli.

Jęknął mąż czarny, a — jak czarna chmura,
Ryknawszy, błysnie piorunowym gradem —
Z taką szybkością leci na komtura.
Zaledwie pierwszym zwarli się napadem,
Pojrzeć — aliści komtur już pod koniem,
A rycerz bieży i tratuje po niem!

Gdzie obskoczyły książęcia dworzany,
Przybiega, chwyta, rwie pancerza węzły,
Ostrożnie zdziera blach zafarbowany,
Wyśledza postrzał, głęboko ugrzęzły.
Wtem krew na nowo wytrysnęła z rany —
Ból zemdlonego do zmysłów przywoła;
Otwiera oczy, spoziera dokoła

I znowu wciska na oczy przyłbicę;
Z gniewem żołnierze i sługi odpycha,
A Rymwidowi ściskając prawicę:
„Już jest po wszystkim, starcze — mówi z cicha —
Precz mi od piersi, szanuj tajemnicę!
Ratunek próżny, wkrótce umrzeć muszę...
Wiedźcie do zamku, tam wyzionę duszę!”
Rymwid szerokie oczy w nim utopił —
Ledwie śmie wierzyć, od zmysłów odchodzi,
Upuszcza rękę, którą łzami kropił,
Dreszcz kości wstrząsa, pot mu czoło chłodzi.
Teraz poznaje głos, nieznany wczora —
Niestety, nie był to głos Litawora!

Tymczasem rycerz upuszczone wodze
Starcowi wręczył, sam do pana skoczył —
Rumaki każe nawrócić ku drodze,
Chwiejącego się ramieniem otoczył,
Sklada na piersiach, krew dłonią zaciska —
Dał znak, samotrzeć pędzą z bojowiska.

I zbliżają się pod okopy grodu.
Zaszli im drogę ciekawi mieszkańce;
Ci, bodąc konie, przez tłumy narodu
W milczeniu śpieszą na zamkowe szańce,
A skoro wpadli, uchylono zwodu.
Rycerz strażnikom przykazuje srogo,
Ni tam, ni za się nie puszczają nikogo.
Wnet z resztą hufów ciągną bojownicy,
A, choć wygrali tak przeważne pole,
Mała stąd radość była po stolicy:
Ból serca ścisnął, żaloba na czołe.
Każdy się pyta, troskliwy o pana,
Gdzie jest, czy żyje, jak głęboka rana?

Nikt nie był w zamku, nikt o niczem nie wie:
Podjęto mosty i zemkniono zwory.
Tymczasem w fosę, między gęste krzewie,
Schodzą trabanci z pilami, z topory,
Sieką chróst, walą topole, modrzewie,
A ociosane pnie, gałęzie, wiory
Toczą na barkach i wozach do miasta;
Na taki widok żal i postrach wzrasta.

Kędy świątynie miał władca pioruna
I bóg, co wichrem nie pogodnym świszczę,
Gdzie woły, konie, trzoda srebrnoruna
Codziennie krwawi poświęcone zgłiszczę —
Tam stos ogromny kładą pod obłoki,
Dwudziestem sążni długi i szeroki.

W środku dąb sterczał, a pod dębem stoi
Niemiecki braniec na dzielnym rumaku,
Z orężem, w hełmie i zupełnej zbroi,
Trzykroć łańcuchem przykuty do haku;
Wódz to krzyżacki, co był posłem wprzody,
Zabójca księcia, Diterich z Kniprody.

Biegą mieszczanie, rycerze, kapłany —
Czekają końca, zgadywać nie śmieją;
Każdy, zarówno w myślach kolysany
Między bojaźnią, żalem i nadzieją,
W zamek smutnemi poziera oczyma,
A słuch na wieści wyprężony trzyma.

Przecież i trąba ozwała się z wieży
I most opada i wolnemi kroki
Rusza się orszak w żałobnej odzieży,
Niosąc na tarczach bohatera zwłoki;
Przy nich łuk, włócznia, miecz i sajdak leży,
Wkoło purpurą świeci płaszcz szeroki —
Książęce stroje; lecz nie widać lica,
Bo je spuszczone zawarła przyłbica.

To on, to książę, wielkiego pan kraju,
Maż dużej ręki! Któż mu rówien będzie,
Czy gromić Niemce i hordy Nogaju,
Czy lud na słusznym rozsądzać urzędzie?
Panie nasz, zacóż dawnego zwyczaju
Nie widać w twoim pogrzebnym obrzędzie?
Nie tak albowiem starożytność święta
Czcila twe przodki, litewskie książęta.

Zacóż do nieba nie idzie za tobą
Twój giermek, każdej nieodstępny drogi.
I z próżnem siodłem, okryty żałobą
Towarzysz pola, koń jelenionogi,
I sokół i psy, co wiatr pyskiem sieką,
I drugie, z pyskiem wietrzącym daleko?

Szemrała gawieź. — Rycerze na stosie
Składają ciało, mleko i miód leją —
Przy długiej trąby i fletni odgłosie
Śmiertelne pieśni wajdeloci pieją.
Starszy pochodnię wziął i nóż ofiarny...
„Stójcie!” — Stanęli. — Nadjechał mąż czarny.
„Któż on? — pytają wszyscy. — Któż on taki?”
Poznało wojsko: on na polu wczora,
Kiedy litewskie złamano orszaki
I obstępiono zewsząd Litawora,
Przypadł, odwagę stygnącą zapalił,
Niemców wysiekał, komtura obalił.

Tyle o czarnym rycerzu wiadano;
Dziś w tymże płaszczu, na tymże rumaku...
Lecz po co przybył? Skąd ród? Jakie miano?
Stójcie i patrzcie! Uchyła szyszaku,
Uchyła twarzy... On! Litawor! Książę!
Dziw nagły zmysły i mowę zabiera —
Nakoniec radość skrzepły głos rozwiąże.
Oplakanego widząc bohatera,
Wrzasną i klasną, wrzask o gwiazdy bije:
„Litawor żyje! Książę, pan nasz żyje!”

Stał i ku ziemi dzierzał lice blade —
Hałas grzmi jeszcze, powtarzany echem.
Zwolna wzniosł czoło, obejrzał gromadę,
Za okrzyk lekkim dziękując uśmiechem.
Nie był to uśmiech, co, z serca poczęty,
Rozjaśni lica i w oczach zaświeci —
Ale, jakoby gwałtem przyciągnięty,
Usiadł na ustach i wkrótce uleci:
Tyle dodaje smutnej twarzy wdzięku,
Ile kwiat w bładem nieboszczyka ręką.

„Zapalcie zgliszczel!” — Pała — ogień bucha.
A książę dalej: „Wiecie-li wy, czyje
Zwłoki na stosie giną?” — Cichość głucha. —
„Niewiasta, choć ją męska zbroja kryje,
Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha!
Ja się zemściłem, lecz ona nie żyje!”
Rzekł, bieży na stos, upada na zwłokach,
Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

EPILOG WYDAWCY.

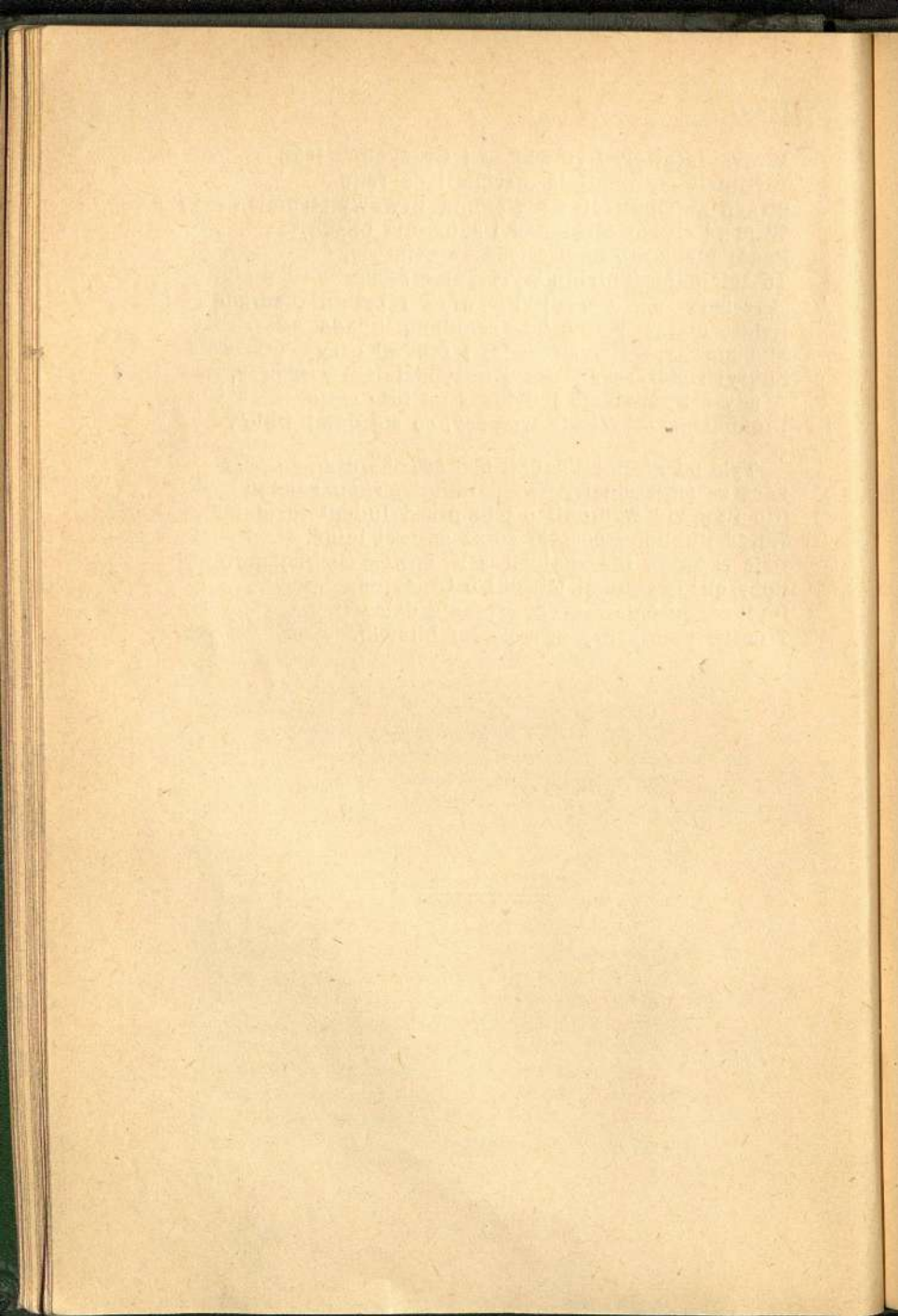
Czytelniku! Jeżeliś przepatrzył cierpliwie
I nie rad śnać do końca, czemu się nie dziwię,
Bo w żmudnem zaplątaniu gdy wątku nie schwyta
Podrażniona ciekawość, gniewa się, niesyta,
Zaco księżę sam został, a wyprawił żonę?
Zaco śród boju przyniósł niewczesną obronę?
Czy księżna własną wolą zastąpiła męża?
Przecż Litawor na Niemce jął się do oręża?...
Dostatnich odpowiedzi napróżno byś badał.
Wiedźże, iż autor, co te historie składał,
Ile widział lub słyszał (był naorczas w mieście),
To pokrótce spisawszy, zamileczał o reszcie,
Nie mogąc prawdy zmacać i na jaw wysadzić,
A nie chcąc fałszywemi domysłami zdradzić.
Gdy umarł, jam rękopis wziął po nieboszczyku,
A sądząc, iż rad będziesz, miły czytelniku,
Kiedy z ukrycia wyjdą na publiczne oczy,
I koniec się, jakkolwiek przycięty, dotyczy,
Pytałem Nowogrodzian, ludzi godnych wiary,
Ale żaden nie wiedział, jeno Rymwid stary;
I ten, jak stary, prędko rozstał się z żywotem.
A póki żył, nikomu nie powiadał o tem,
Śnać w przysiędze uwiązany albo w obietnicy.
Szczęściem, był drugi człowiek świadom tajemnicy,
Giermek księżnej, pod on czas we dworcu przytomny;
Ten, jako człowiek prostak, mniej w języku skromny,
Gadał, a jam spisował, widząc, iż powieści
Wiążą się do podanej od autora treści.
Czyli całkiem prawdziwe — trudno dać porękę,
A, kto o fałsz pomówi, nie wyzwę na rękę,
Bo tu nic zgoła własną nie nadstarczam głową,
A, com z giermka usłyszał, oddam słowo w słowo.
Giermek zaś tak powiadał:

„Księżna, sfrasowana,
Długo błagała męża, padłszy na kolana,
Ażeby na kark Litwie nie zwał nieprzyjaciół;
Ale on tak się w gniewie uporczywy zaciął,
Iż, jej prośby z szyderczem słuchając obliczem,
„Nie“ i „nie“ — odpowiadał i odprawił z niczem.
Sądziła go przekonać łacniej w innym czasie;
Rozkazała posłańców zatrzymać w tarasie,

Lub za mury wyprowadzić. Wyprawilem cicho.
Zbłądziliśmy oboje — a stąd całe лихо.
Bo komtur, odpowiedzią twardą zagniewany,
Miasto posiłków, niesie ogień i tarany.
Kiedym o tej nowinie uwiadomił panią,
Biegła znowu do męża — ja z daleka za nią. —
Weszliśmy; ciemno było w komnacie i głucho:
Książę strudzony zasnął na oboje ucho.
Stanęła podług łoża, lecz nie śmiała budzić,
Czy nie chcąc darmo prosić, czy sennego trudzić.
Ale w rychłe na obrót rzuciła się nowy:
Bierze szablę, książęciu leżącą u głowy —
Pancerz kładzie, mężowski płaszcz na piersiach zwiesza
I, lekko drzwi przymknawszy, na ganek pośpiesza,
Mnie srogo zakazuje o niczem nie gadać.
Koń już był osiodłany. Kiedy miała wsiadać,
Szabli nie obaczyłem przy jej lewym boku:
Zapomniała przypasać, lub zgubiła w mroku.
Biegnę, szukam, powracam — aż zamknięto wrota;
Patrzę oknem — niestety, już za bramą rota.
Strach mię ścisnął; jakoby obrzucan żarzewiem,
Myślę, pocę się, kręcę, co mam począć, nie wiem.
Widać blask i grzmot działa rozlega się w dali:
Zrozumiałem, że z Niemcy bitwę zagajali.
Wkrótce Litawor, czyli dosyć mając spania,
Czy zbudzony łoskotem, zerwał się z posłania,
Woła, klaszcze i woła; ja, drżący ze strachu,
Wsunąłem się na klęczkach w ciemny zakąt gmachu;
Widziałem, jako szukał oręża i zbroje,
Kołatał we drzwi, skoczył na księżny pokój,
Wrócił, wylał rygle, wyleciał na ganek.
Ja do okna (a już się zbierało na ranek) —
Książę spoziera wkoło i nastawia uszy
I krzyczy, ale w zamku niema żywej duszy.
Potem na dół, jakoby nieprzytomny sobie,
Skoczył, gdzie stały jego rumaki przy żłobie —
Wyjechał ku okopom, wstrzymał się u wałów,
Słuchał, skąd zgiełk uderza, skąd ogień postrzałów,
A wypuściwszy wodze, lotem błyskawicy
Przez dziedziniec, most, bramę pędzi ku stolicy.
Ja w oknie patrzę, czekam niecierpliwie końca...
Wszystko ucichło, zgasło koło wschodu słońca.

Wraca Litawor, Rymwid — i Grażynę, z lęku
Wysadziwszy omdlałą, dźwigali na rękę.
Strach wspomnieć! Kędy stapia, krwawy strumień pryska.
W pierś ciężko zaraniona i skonania bliska,
Padła niema, to nogi ściskając książęce,
To załamane k'niemu wyciągając ręce:
„Przebac, mężu mój! Pierwsza i ostatnia zdrada!“
Książę płacze, podnosi — zemdlona upada —
Skonała. — Wstał i odszedł i rękami oczy
Zakrył i stał. — Ja wszystko widziałem z uboczy,
A gdy z Rymwidem jęli kłaść na łożo ciało,
Umknąłem. — Wiecie wszyscy, co się dalej stało“.

Tyle on giermek gadał, pod sekretem zrazu,
Lecz ze śmiercią Rymwida minął strach zakazu
(Bo Rymwid wzbronił o tem przed ludem rozplatać).
Wieść tłumiona poczęła coraz szerzej latać.
Dziś żadnego nie znajdziesz w nowogródzkiej gminie,
Coby ci nie zanucił piosnki o Grażynie;
Dudarze ją śpiewają, powtarzają dziewczki,
I dotąd pole bitwy zwą polem *Litewki*.



KONRAD WALLENROD.

Dovete adunque sapere, come sono
due generazioni da combattere —
bisogna essere: volpe e leone.

Bonawenturze i Joannie Zaleskim
na pamiątkę lata tysiąc ośmset dwu-
dziestego siódmego poświęca

Autor.

PRZEDMOWA.

Naród litewski, składający się z pokoleń Litwinów, Prusów i Lettów, nieliczny, osiadły w kraju nierozległym, nie dosyć żyznym, długo Europie nieznajomy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzwany był do czynniejszego działania. Kiedy Prusowie ulegali orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim sposobem naród tak słaby i tak długo obcym hołdujący, mógł odrazu oprzeć się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciółom, z jednej strony prowadząc ciągłą, morderczą z Zakonem Krzyżowym wojnę, z drugiej łupiąc Polskę, wybierając opłaty u Nowogroda Wielkiego i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i półwysep Krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypada na czasy Olgierda i Witolda, których władza rozciągała się od Bałtyckiego do Czarnego morza. Ale to ogromne państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznej siły, któraby różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoją właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń ruskich i weszli w stosunki polityczne z Polską. Słowianie, oddawna już chrześcijanie, stali na wyższym stopniu cywilizacji, a lubo pobici lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym ale barbarzyńskim ciemnizytcielem i pochłonęli go, jak Chiny najezdców tatarskich. Jagiellonowie i możniejsi ich wasale stali się Polakami; wielu książąt litewskich na Rusi przyjęło religję, język i narodowość ruską. Tym sposobem Wielkie Księstwo Litewskie przestało być litewskim, właściwy naród litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach; jego mowa przestała być językiem dworu i możnych i zachowała się tylko między pospółstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu.

który w ogromie swoich zdobyczy zniknął, jak strumyk po zbytelnym wylewie opada i płynie węższem, niżeli pierwiej, korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomniane tu zdarzenia: zeszyły ze sceny życia politycznego i Litwa i najsroższy jej nieprzyjaciół, Zakon Krzyżowy; stosunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie, interes i namiętności, które zapalały ówczesną wojnę, już wygasły, nawet pamiątek nie ocalały pieśni gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości; jej dzieje przedstawiają z tego względu szczęśliwy dla poezji zawód, że poeta, opiewający ówczesne wypadki, samym tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownem wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętności lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller:

„Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen“.

„Co ma ożyć w pieśni, zagać powinno w rzeczywistości“.

WSTĘP.

Sto lat mijalo, jak Zakon Krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy,
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty
I szumią lasy, pomieszkania bogów —
Po drugiej stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.

Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.

Po drugiej stronie w szyszaku i zbroi
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwivszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności —
I nikt bez straty życia lub swobody
Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodnem ziele,
Śmiała, jak dawniej, wyciąga ramiona
I, rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.
Tylko słowiki Kowieńskiej dąbrowy
Z bracią swojemi Zapuszczańskiej góry
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy.
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na wspólne ostrowy.

A ludzie? — Ludzi rozdzieliły boje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła w niepamięć... Tylko czasem miłość
I ludzi zbliża. — Znałem ludzi dwoje...

O Niemnie! Wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi,
I twoje, dotąd szanowane, brzegi
Topór z zielonych ogołoci wianków,
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów —
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów,
Wszystko rozerwie — lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

I.

OBIÓR.

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono:

Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie,
Zewsząd komtury do stolicy śpieszą,
Kędy, zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha świętego, uradzą,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu,
A wszyscy równie wysokiego rodu,
I wszystkich równe w Zakonie zasługi;
Dotąd powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżej stawia Wallenroda.

On, cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napelnił zagraniczne domy;
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
Czy Ottomana przez morskie odmęty,
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.

Nie tylko między krzyżowemi rotą
Wsiawił orężem młodociane lata;
Zdobiał go wielkie chrześcijańskie cnoty:
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynał w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów,
Ani swej broni dla podłego zysku,
Nie sprzedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztorным murom wiek poświęcił młody,
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha:
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na kraśne lica pogląda z daleka,
Od czarującej rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo, choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwidłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć. Zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał
I sypał damom grzecznych słówek krocie
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Były to rzadkie chwile zapomnienia.
I wkrótce lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenie namiętne;
Słowa: ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucjatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły;
Słyszac je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły
I pogrążał się w dумы tajemnicze.
Może, wspomniawszy świętość powołania,
Sam sobie ziemskich słodocy zabrania?
Jedne znał tylko przyjaźni słodocy,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Świętego cnotą i pobożnym stanem:
Był to mnich siwy — zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela;
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń! Świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętymi.

Tak naczelnicy zakonnej obrady
Rozpamiętują Konrada przymioty;
Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
Konrad światowej nie lubił pustoty,
Konrad pijanej nie dzielił biesiady —
Wszakże, zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju.
I wtenczas zdał się wdziewać postać nowa,
Wtenczas twarz jego, bladą i surową,

Jakiś rumieniec chorowity krasił,
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,
Ciskały dawnych ogniów błyskawice;
Z piersi żałośnie westchnienie ucieka,
I lza perłową nabrzmiewa powieka,
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
Pieśni, nucone cudzoziemską mową,
Lecz je słuchaczów serca rozumieją.
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
Dosyć uważać na śpiewaka postać:
W licach pamięci widać nateżenie,
Brwi podniesione, pochyle wejrzenie,
Chcące z głębin ciemnej coś wydostać.
Jakiż być może pieśni jego watek?
Zapewne myślą w obłądnych pogoniach
Ściga swą młodość na przeszłości toniach...
Gdzież dusza jego? — W krainie pamiętek.

Lecz nigdy ręka w muzycznym zapędzie
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie,
I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderzą struny po kolei,
Prócz jednej struny — prócz struny wesela.
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Nieraz go bracia zeszli niespodzianie,
I nadzwyczajnej dziwili się zmianie:
Konrad, zbudzony, zżymał się i gniewał,
Porzucił lutnię i pieśni nie śpiewał;
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,
Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,
Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,
Strasliwie groził — niewiadomo komu.
Trwożą się bracia... — Stary Halban siada
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowejś tajemnej wymowy.

Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi,
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.
Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy i rycerze,
Rozłamię kratę żelaznego dworca,
Da hasło trąbą — wtem królewskie zwierze
Grzmi z głębi piersi — strach na widzów pada —
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada
I lwa potężnie uderzy oczyma;
Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

II.

Z Marjenburskiej wieży zadzwoniono;
Z obradnej sali idą do kaplicy:
Najpierwszy komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha,
I śpiewa hymny do świętego Ducha.

H Y M N.

Duchu, światło boże!
Gołąbku Syonu!
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnoże
Twojego tronu,
Widomą oświeć postacią
I roztocz skrzydła nad syońską bracią.
Z pod Twych skrzydeł niech wystrzeli
Słonecznymi promień blaski
I, kto najświętszej godniejszy łaski,
Temu niech złotym wieńcem skronie rozweseli,
A padniem na twarz, syny człowieka,
Temu, nad kim spoczywa Twych skrzydeł opieka.
Synu Zbawicielu!
Skinieniem wszechmocnej ręki
Naznacz, kto z wielu
Najgodniejszy słynąć

Świątym znakiem Twojej męki,
Piotra mieczem hetmanić żołnierstwu Twej wiary
I przed oczyma pogaństwa rozwinąć
Królestwa Twego sztandary!
A syn ziemi niech czoło i serce uniża
Przed tym, na czyich piersiach błysnie gwiazda krzyża!

* * *

Po modłach wyszli. Arcykomtur zlecił,
Spoczawszy nieco, powracać do choru
I znowu błagać, aby Bóg oświecił
Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnemi orzeźwić się chłody;
Jedni zasiedli zamkowy krużganek,
Drudzy przechodzą gaje i ogrody.
Noc była cicha, majowej pogody,
Zdała niepewny wyglądał poranek.
Księżyc, obiegłszy błonie safirowe,
Z odmiennem licem, z różnym blaskiem w oku,
Drżąc to w ciemnym, to w srebrnym obłoku,
Zniżał swą cichą i samotną głowę,
Jak dumający w pustyni kochanek,
Obiegłszy myślą całe życia koło,
Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,
To łyż wylewa, to spojrzy wesoło,
Wreszcie ku piersiom zmordowane czoło
Sklania — i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,
Lecz arcykomtur chwil darmo nie traci;
Zaraz Halbana i celniejszych braci
Wzywa do siebie i na stronę bierze,
Aby z daleka od ciekawej rzeszy
Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi.
Wychodzi z zamku, na równinę śpieszy —
Tak, rozmawiając, nie pilnując drogi,
Błądzili kilka godzin w okolicy,
Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.
Już ranek — pora wracać do stolicy.
Stają — głos jakiś... Skąd? — Z narożnej wieży.
Słuchają pilnie — to głos pustelnicy.

W tej wieży dawno, przed laty dziesięciu,
Jakaś nieznaną, pobożną niewiastą,
Zdała przybywszy do Maryi-miasta —
Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,
Czy skażonego sumienia wyrzuty
Pragnąc ukoić balsamem pokuty —
Pustelniczego szukała ukrycia
I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani,
Wreszcie, stałością prośby przełamani,
Dali jej w wieży samotne schronienie.
Ledwie stanęła za święconym progiem,
Na próg zwalono cegły i kamienie;
Została sama z myślami i Bogiem —
I bramę, co ją od żyjących dzieli,
Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,
Kędy pobożny lud słał pożywienie,
A niebo — wietrzyk i dzienne promienie.
Biedna grzesznico, czyż nienawiść świata
Do tyła umysł skolatała młody,
Że się obawiasz słońca i pogody?
Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,
Nikt jej nie widział przy okienku wieży
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży.
Oglądać niebo w pogodnej ozdobie,
I miłe kwiaty na ziemnym obszarze,
I stokroć milsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu,
Bo nieraz jeszcze świętego pielgrzyma,
Gdy nocą przy jej błąka się ukryciu,
Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma —
Dźwięk to zapewne pobożnej piosenki —
I z pruskich wiosek gdy zebrane dzieci
Igrają w wieczór u bliskiej dąbrowy,
Natenczas z okna coś białego świeci,
Jak gdyby promyk wschodzącej jutrzejki:
Czy to jej włosy pukiel bursztynowy,
Czyli to połysk drobnej, śnieżnej ręki,
Błogosławiącej niewiniątek głowy.

Komtur, tamtędy obróciwszy kroki,
Słyszysz, gdy wieżę narożną pomijał:
„Tyś Konrad! Przebóg! Spelnione wyroki!
Ty masz być mistrzem, abyś ich zabijał!
Czyż nie poznają? Ukrywasz daremnie!
Chociażbyś, jak wąż, inne przybrał ciało,
Jeszczeby w twojej duszy pozostało
Wiele dawnego; wszak zostało we mnie!
Chociażbyś wrócił — po twoim pogrzebie
Jeszcze Krzyżacy poznaliby ciebie“.
Słucha rycerstwo — to głos pustelnicy...
Spojrzą na kratę — zda się pochyłona,
Zda się ku ziemi wyciągać ramiona...
Do kogoż? Pusto w całej okolicy.
Z daleka tylko jakiś blask uderza,
Naksztalt płomyka stalowej przyłbicy,
I cień na ziemi... Czy to płaszcz rycerza?
Już znikło... Pewnie złudzenie żrenicy,
Pewnie jutrzeńki błysnął wzrok rumiany,
Po ziemi ranne przemknęły tumany.

„Bracia! — rzekł Halban — dziękujmy niebiosom!
Pewnie wyroki niebios nas przywiodły.
Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom!
Czy słyszeliście? Wieszczba o Konradzie!
Konrad — dzielnego imię Wallenroda.
Stójmy — brat bratu niechaj rękę poda!
Słowo rycerskie: na jutrzejszej radzie,
On mistrzem naszym!“ — „Zgoda — krzykną — zgoda!“

I poszli, krzycząc. Długo po dolinie
Odgłos triumfu i radości bije:
„Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje Zakon! Niech pogaństwo zginie!“

Halban pozostał, mocno zamyślony;
Na wołających okiem wzgardy rzucił,
Spojrzał ku wieży i cichemi tony
Taką piosenkę, odchodząc, zanucił:

PIEŚŃ.

Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica —

Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w miłej kowieńskiej dolinie
Śród tulipanów i narcysów płynie —
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów
Od róż krasniejszy i od tulipanów.

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna, swego oblubieńca —
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.

I ciebie równie przychodziń oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

Serce i potok ostrzegać daremnie:
Dziewica kocha — i Wilija bieży;
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczej wieży.

III.

Gdy mistrz spraw świętych ucałował księgi,
Skonczył modlitwę i wziął od komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi —
Wzniósł dumnie czoło, chociaż troski chmura
Ciężyla nad nim, wkoło okiem strzelił,
W którym się radość napół z gniewem żarzy,
I niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy,
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapał mistrza, to groźne oblicze
Napelnia serca otuchą, nadzieją:
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze
I hojnie w myśli krew pogańską leją.

Takiemu władcy któż dostoi kroku?
Któż się nie złęknie jego szabli, wzroku?
Drżycie Litwini — już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błysnie znamię krzyża!

Nadzieje prózne. — Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały, długi rok w pokoju —
Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani śle do boju;
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby.
„Módlmy się — woła — wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby!“
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnej zaprzecza,
Łada grzech ściga najsroźszemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnej stolicy,
Teraz dokoła wsi co noc podpala
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Kiedyż być może czas lepszy do wojny!
Litwa szarpana wewnętrzną niezgoda —
Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,
Stąd krymskie hany lud potężny wiodą —
Witold, zepchnięty od Jagielly z tronu,
Przyjechał szukać opieki Zakonu:
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka
I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada;
Mistrza nie widać. Halban stary bieży —
W zamku w kaplicy nie znalazł Konrada.
Gdzie on? Zapewne u narożnej wieży;
Śledzili bracia nocne jego kroki;
Wszystkim wiadomo: każdego wieczora,
Gdy ziemię grubsze ośłaniają mroki,
On idzie błdzić po brzegach jeziora,

Albo, klęczący, przyparty do muru,
Okryty płaszczem, aż do białej zorzy
Świeci z daleka, jak posąg z marmuru,
I przez noc całą senność go nie zmorzy.
Często na cichy odgłos pustelnicy
Wstaje i ciche daje odpowiedzi;
Brzmienia ich zdała ucho nie doszedzi,
Lecz widać z blasku wstrząśnionej przyłbicy,
Rak niespokojnych, podniesionej głowy,
Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

PIEŚŃ Z WIEŻY.

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przeplakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzawiła krata?
Gdzie łza upadnie, w zimny gład przecieka,
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga —
Ten ogień żywią pobożne kapłany;
Jest wieczne źródło na górze Mendoga —
To źródło żywią śniegi i tumany;
Nikt moich westchnień i łez nie podsycy,
A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesola,
Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia...
Spokojność, naksztalt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domu
Strzegła mię z bliska, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwej żądano w zameście;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki...
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze, nacoś mi powiedział
To, o czem w Litwie nikt pierwaj nie wiedział?

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościolach
I kędy dziewic słuchają książęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze —

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po rozkosznem niebie...
Ach, ja wierzyłam, bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
Ach, cdaż marzę w dobrych i złych losach
Tylko o tobie, tylko o niebiosach!

Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło...
Niestety! Z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!...
Nic nie żałuję, choć gorzkie lzy leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję.

* * *

Nadzieję... — cichem powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje.
Zbudził się Konrad i z dzikim uśmiechem:
„Gdzież jestem — wołał — tu słyhać nadzieje?
Naco te pieśni? Pomnę twoje szczęście...
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwej żądano w zameście...
Biada, o, biada wam, nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiedną
I będą żółte, jako piersi gadu!
Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Którebyś dotąd pędziła wesoło,
Gdyby... Ty milczysz? Śpiewaj i przeklinaj!
Niechaj łza straszna, co głązy przecieka,
Nie ginie darmo!... Zdejmę szyszak z głowy —
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło!...
Tu niechaj spadnie — jam cierpieć gotowy,
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka!“

GŁOS Z WIEŻY.

Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna!
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna...
Precz mi z tą pieśnią! — Miałabym narzekać?
Z tobą, mój luby, z tobą-śmy przeżyli
Znikomą chwilę — lecz tej jednej chwili
Nie będę mieniać z całą ziemian zgrają
Na ciche życie, przepędzone w nudzie.
Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
Są, jako konchy, co się w bagnie tają:
Ledwie raz na rok, falą niepogody
Wypchnięte, z mętnej pokażą się wody,
Otworzą usta, raz westchną ku niebu
I znowu wrócą do swego pogrzebu.
Nie, jam na takie szczęście nie stworzona!
Jeszcze w ojczyźnie, ciche pędząc życie,
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
Za czemś tęskniłam i wzdychałam skrycie
I czułam serca niespokojne bicie.
Nieraz z poziomej uciekałam łąki
I, na najwyższym stanawszy pagórku,
Myślałam sobie: gdyby te skowronki
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,
Poszłabym z niemi i tylko z tej góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,
Kwiat niezabudki, a potem za chmury
Lecieć wysoko — wysoko — i — zniknąć.
Tyś mię wysłuchał! Ty skrzydły orleń,
Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie!
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,
Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?

KONRAD.

Wielkość — i znowu wielkość, mój aniele!
Wielkość, dla której jęczymy w niedoli!
Kilka dni jeszcze niech serce przeboli —
Kilka dni tylko — już ich tak niewiele...

Stało się! Próżno po czasie żałować!
Płacmy — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,
Bo Konrad płakał, ażeby mordować!
Pocoś tu przyszła, poco, moja droga,
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?
Jam cię poświęcił na usługi Boga...
Nie lepiej było w świętych jego murach,
Zdała cdemnie płakać i umierać,
Niż tu, w krainie kłamstwa i rozboju,
W grobowej wieży, w powolnych torturach
Konać, i oczy samotne otwierać,
I przez niezłomne tej kraty okucia
Pomocy żebrać? A ja słuchać muszę,
Patrzeć na długą skonania katuszę,
Stojąc z daleka, i kłać moją duszę,
Że w niej są jeszcze ostatki uczucia!

GŁOS Z WIEŻY.

Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej!
Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcej,
Już nie usłyszysz! Już okno zamykam...
Spuszczę się znowu w moją wieżę ciemną —
Niechaj w milczeniu gorzkie łyżę połykam!
Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, mój jedyny,
I niech zaginie pamięć tej godziny,
W której nie miałeś litości nade mną!

KONRAD.

Więc ty miej litość! Ty jesteś aniołem!...
Stój, a jeżeli prośba cię nie wstrzyma,
O ten róg wieży uderzę się czołem —
Będę cię błagał skonaniem Kaima!

GŁOS Z WIEŻY.

O, miejmy litość nad sobą samemi!
Pomnij, mój luby, że, jak ten świat wielki,
Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi,
Na morzach piasku dwie rosy kropelki,
Że, lada wietrzyk — z ziemnego padółu
Znikniem na zawsze... Ach, gińmyż pospołu!

Nie na to przyszedłam, ażeby cię dręczyć;
Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
Bo niebu serca nie śmiałam zareczyć,
Póki w niem ziemski panował kochanek;
Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie
Oddać dni moje zakonnic usługę,
Lecz tam, bez ciebie, wszystko wokoło mnie
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze...
Wspomniałam sobie, że po latach wielu
Miałeś powrócić do Maryi-grodu,
Szukając zemsty na nieprzyjacielu
I broniąc sprawy biednego narodu.
Kto czeka, lata myślami ukraca.
Mówiłam sobie: on już może wraca —
Może już wrócił; czyż nie wolno żądać,
Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
Abym przynajmniej umarła przy tobie?
Pójdę więc — rzekłam — w pustelnicznym domku,
Okolo drogi, na skały ułomku,
Zamknę się sama... Może rycerz jaki,
Koło mej chatki przechodzący blisko,
Wymówi czasem kochanka nazwisko...
Może pomiędzy obcemi szyszaki
Ujrzę znak jego... Niech odmieni zbroję,
Niechaj na tarczy obce godła kładnie,
Niech twarz odmieni — jeszcze serce moje
Z daleka nawet kochanka odgadnie —
I, gdy go ciężka powinność przymusza
Wszystko dokoła wyniszczając i krwawić,
Wszyscy go przeklną — będzie jedna dusza.
Co mu z daleka śmie pobłogosławić!
Tu mój obrałam domek i grobowiec,
W cichej ustroni, kędy świętokradzki
Mych jęków nie śmie podsłuchać wędrowiec.
Ty, wiem, że lubisz samotne przechadzki;
Myślałam sobie: on może z wieczora
Wybieży zdala od swych towarzyszy
Pomówić z wiatrem i z falą jeziora —
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy.
Niebo spełniło niewinne życzenia:
Przyszędłeś, moje zrozumiałeś pienia...

Dawniej prosiłam, by mię twym obrazem
Sny pocieszały, choć obraz był niemy,
Dziś — ile szczęścia! — dziś możemy razem —
Razem zapłakać...

KONRAD.

I cóż wypłaczymy?
Plakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem
Na wieki wieków z twojego objęcia,
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo,
Teraz stanąłem u życzeń mych celu: —
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu —
A ty mi przysłaś wydierać zwycięstwo!
Odtąd, jak znowu z okna twej wieżycy
Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
Znowu nic niema dla mojej żrenicy,
Tylko jezioro — i wieża — i kraja.
Wkoło mnie wszystko wre wojny rozruchem;
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku
Ja niecierpliwem, wyłożonem uchem
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,
I dzień mój cały jest oczekiwaniem,
A, gdy wieczornej doczekam się pory,
Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem.
Ja życie moje liczę na wieczory!
Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,
O wojnę prosi, własnej żąda zguby,
I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje:
Albo dawniejsze przypomina śluby,
Wyrzniete sioła i zniszczone kraje,
Albo, gdy nie chcę skargi jego słuchać,
Jednem westchnieniem, skinieniem, oczyma
Umie przygasła chęć zemsty rozdmuchać.
Wyrok mój zda się przybliżać do końca...
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma!
Wczorąśmy z Rzymu otrzymali gońca:
Z różnych stron świata niezliczone chmury
Pobożny zapal w pole nagromadził,
Wszyscy wołają, abym ich prowadził
Z mieczem i krzyżem na wileńskie mury...

A przecież, — wyznam ze wstydem — w tej chwili,
Kiedy się ważą narodów wyroki,
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli!...
Młodości, jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
Z żalem, lecz z męstwem — a dzisiaj ja, stary...
Dzisiaj powinność, rozpacz, woła boża
Pędzą mię w pole — a ja siwej głowy
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,
Ażeby twojej nie stracić — rozmowy!...

Umilknął. — Z wieży słychać tylko jęki...
W milczeniu długie przeciekły godziny,
Noc rozrzedniała i promyk jutrzeński
Już zarumienił lica cichej wody —
Pomiędzy liściem drzemiącej krzewiny
Ze szmerem ranne przewiewały chłody —
Ptaszęta cichem ozwały się pieniem,
Umilkły znowu — i długiem milczeniem
Znać dają, że się zbudziły zawczasie.
Konrad powstaje, wzniosł ku wieży czoło,
Długo na kratę spoglądał boleśnie;
Słowik zanucił, Konrad naokoło
Spojrzał — już ranek... — opuścił przyłbicę,
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinał,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę
I w krzakach zginął.
Tak duch piekielny od wrót pustelnika
Na odgłos dzwonu porannego znika.

IV.

UCZTA.

Był dzień patrona, uroczyste święto.
Komtury z braćmi do stolicy jada,
Białe chorągwie na wieżach zatknięto:
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszców powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:
To byli bracia — a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele — po lewicy tronu
Wziął miejsce Witold ze swemi hetmany;
Dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już mistrz, powstawszy, daje ucztę hasło.
„Cieszymy się w Panu!“ Wnet puhary błysły.
„Cieszymy się w Panu!“ — tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł i, na łokciu wsparty,
Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów;
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

„Cieszymy się — rzecze. — Cóż to, bracia moi?
Tak-że rycerzom cieszyć się przystoi?
Zrazu wrzask pjany, a teraz szmer cichy —
Mamyż ucztować, jak zbójce lub mnichy?

Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy, na pełnem trupów bojowisku,
Śród gór kastylskich lub finlandzkich lasów
Przy obozowem piliśmy ognisku.

Tam były pieśni! Między waszym gminem
Czyż niema barda albo menestrela?
Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem“.

Zarazem różni śpiewacy powstałi:
Tam Włoch otyły słowiczemi tony
Konrada męstwo i pobożność chwali —
Ówdzie trubadur od brzegów Garony
Opiewa dzieje miłosnych pasterzy,
Zaklętych dziewic i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzemał, piosenki ustały;
Nagle zbudzony przerwany łoskotem,
Cisnął Włochowi trzos, ładowny złotem:
„Mnie — rzekł — jednemu śpiewaleś pochwały;
Jeden nie może dać innej nagrody.
Weź i pójdz z oczu!... Ow trubadur młody,
Który piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w rycerskiem gronie
Dziewicy niemasz, coby mu na łonie,
Wdzięczna, przypięła marny kwiatek róży.

Tu róże zwiędły; innego chcę barda —
Zakonnik rycerz, innej chcę piosenki:
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda,
Jak hałas rogów i oręża szczęki.
I tak ponura, jak klasztorne ściany,
I tak ognista, jak samotnik pjany.

Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa i nudzi,
I znowu niechaj znudzonych przestrasza!
Takie jest życie — taka piosnka nasza.
Kto ją zaśpiewa, kto?” — „Ja” — odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział,
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów;
Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,
Głowę obwiewa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła
I tem skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy. — „Ja śpiewam — zawoła.
Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem;
Dziś jedni legli w ojczyzny obronie —
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,
Dobić się wołą nad jej martwem ciałem;
Jak sługi, wierne w dobrym i złym losie,
Giną na swego dobroczyńcy stosie —
Inni sromotnie po lasach się kryją,
Inni, jak Witold, między wami żyją.

Ale po śmierci... Niemcy, wy to wiecie —
Sami pytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie,
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju?
Jakim językiem poproszą o wsparcie?
Czy w ich niemieckiej, barbarzyńskiej mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie?

O dzieci, jaka na Litwę sromota!
Żaden mi, żaden nie przyniósł obrony,
Gdy od ołtarza, stary wajdelota,
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony!
Samotny, w obcej ziemi zestarzałem —
Śpiewak — niestety, śpiewać nie mam komu...
Na Litwę patrząc, oczy wypłakałem:
Dzisiaj, jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiem, gdzie leży mój dom ulubiony,
Czy tam, czy ówdzie, czyli z tamtej strony...

Tu tylko, w sercu, tu się ochroniło,
Co w mej ojczyźnie najlepszego było —
I te ibogie dawnych skarbów szczątki
Weźcie mi, Niemcy, weźcie mi pamiątki!

Jak zwyciężony rycerz na igrzysku
Zachowa życie, ale cześć utraci
I, dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięzcy powraca
I, raz ostatni wyężając ramię,
Broń swą pod jego stopami rozłamie,
Tak mię ostatnia natchnęła ochota,
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę:
Niech wam ostatni w Litwie wajdelota
Nuci ostatnią litewską piosenkę!"

Skończył i czekał mistrza odpowiedzi.
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem;
Konrad badawczem i szyderczem okiem
Witolda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witold mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił —
Dręczy go równie i gniew i sromota.
Nakoniec, szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę roztrąca,
Spojrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniewu, nad czołem wisząca,
Opadła nagle w bystrym lez potoku;
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy z cicha: — „Czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady?
Kto słucha pieśni i kto je rozumie?“
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszemi przerywano śmiechy;
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy:
„Oto jest nuta litewskiego śpiewu!“

Wtem Konrad powstał: „Waleczni rycerze!
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,
Od miast i książąt podarunki bierze;
Jak winne hołdy z podległego kraju,
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze;
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Weźmijmy piosnkę — będzie to grosz wdowi!

Pośród nas widzim książęcia Litwinów,
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie;
Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczystej odświeżoną mowie.
Kto nie rozumie — niechaj się oddali!
Ja czasem lubię te posępne jęki,
Nierozumiałej litewskiej piosenki,
Jak lubię łoskot rozhukanej fali,
Albo szmer cichy wiosennego deszczu...
Przy nich spać miło. Śpiewaj, stary wieszczul“

PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszcza odgadnie żrenica,
Bo, jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi Białowieskie drzewa,
A w rękę chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi
Na siola, zamki i bogate miasta,
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie —
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko! — Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusiem i czuby
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła.
Ach, kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie! Siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić!

O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty,
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty!

Arko, tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważył!
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła
Z archanielskimi skrzydłami i głosem —
Ty czasem dzierżysz i broń archaniola.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje —
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podle dusze nie umieją
Karmić jej żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy.
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiadzie na dachu —
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I brzmiając piersią nad zgłiszczą i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek. — Nieraz kmieć stoletni,
Trącąc kości żelazem oraczem,
Stał i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych, lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni...
Echa mu wtórzają, ja słuchałem zdala;
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmia licznymi wiosłami,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszczce, tańczy dziewic grono —
Marzyłem cudnie, srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry.
Myśl, znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę;
Lutnia umilkła w otrętwiałem ręku —
Śród żałostnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszeli
Lecz dotąd iskry młodego zapалу
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wznieca,
Duszę ożywia i pamięć oświeca.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,

Ubrana pędzłem w malowne obrazy:
 Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
 Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
 Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
 Jeszcze na ścianach palacu roztoczy
 Kraśne, acz nieco przyémione, kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
 W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
 Zmarłej przeszłości, gdybym umiał strzelać
 Brzmiącemi słowy do serca spółbraci —
 Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
 Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
 Uczuli w sobie dawne serca bicie,
 Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
 I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
 Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?
 I swoich czasów śpiewak nie obwini,
 Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki...
 O nim zaśpiewam... Uczcie się, Litwini!

* * *

Umilknął starzec i dokoła słucha,
 Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać.
 W sali dokoła była cichość głucha:
 Ta zwykła wieszczów na nowo zagrzewać.
 Zaczął więc piosnkę, ale innej treści,
 Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
 Po strunach słabiej i rzadziej uderzał
 I z hymnu zstąpił do prostej powieści.

POWIEŚĆ WAJDELOTY.

Skąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wycieczki,
 Wieźli lupy bogate, w zamkach i cerkwiach zdobyte.
 Tłumy brańców niemieckich z powiązanemi rękami,
 Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach zwycięzców;
 Poglądają ku Prusom — i zalewają się łzami,
 Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu!
 W mieście Kownie, pośrodku, ciągnie się błonie Peruna:
 Tam książęta litewscy, gdy po zwycięstwie wracają,

Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.
Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna:
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.
Oni sami wśród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,
Między Litwinów uciekli; księżę Kiejstut ich przyjął,
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
Pyta, z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli.
„Nie wiem — rzecz młodziemiec — jaki mój ród i nazwisko,
Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolę schwytyany.
Pomnę tylko, że kiedyś w Litwie, wśród miasta wielkiego
Stał dom moich rodziców; było to miasto drewniane,
Na pagórkach wyniosłych, dom był z cegły czerwonej;
Wkoło pagórków, na błoniach puszcza szumiała jodłowa,
Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.
Razu jednego w nocy wrzask nas ze snu przebudził,
Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby,
Kłęby dymu buchnęły po gmachu; wybiegliśmy w bramę —
Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem,
Krzyk okropny: „Do broni! Niemcy są w mieście! Do broni!”
Ojciec wypadł z orężem — wypadł i więcej nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu; jeden wypuścił się za mną,
Zgonił, porwał mnie na koń; nie wiem, co stało się dalej,
Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem...
Pośród szczyku oręża, domów runących łoskotu,
Krzyk ten ścigał mnie długo, krzyk ten pozostał w mem uchu.
Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
Za odgłosem piorunu... Oto jest wszystko, co z Litwy,
Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy marzeniach
Widzę postać szanowną matki i ojca i braci,
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza,
Coraz grubsza i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
Lata dzieciństwa płynęły, żyłem wśród Niemców, jak Niemiec;
Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano;
Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
Winrich, mistrz krzyżacki, chował mnie w swoim pałacu,
On sam do chrztu mnie trzymał, kochał i pieścił jak syna —
Jam się nudził w pałacach, z kolan Winricha uciekał
Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy Niemcami
Był wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty:

Służył tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie dowiedział,
Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
Rozповідаł o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.
On mię często ku brzegom Niemna sinego prowadził —
Stamtąd lubilem na miłe góry ojczyste poglądać.
Gdyśmy do zamku wracali, starzec łyzy mi ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń; łyzy mi ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek wróciwszy,
Nóż ostrzyłem tajemnie, z jaką zemsty rozkoszą
Rzynałem kobierce Winricha, lub kaleczyłem zwierciadła,
Na tarcz jego błyszczącą piasek miotalem i plwalem.
Potem, w latach młodzieńczych, częstośmy z portu Kłajpedy
W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie odwiedzać.
Rwalem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia;
Upojony tą wonią, zdało się, że dziecinniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małemi.
Starzec pomagał pamięci; on piękniejszymi słowami,
Niżli ziola i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował.
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
Pędzić chwile młodości; ileż to dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają, płacząc w kajdanach Zakonu.
To słyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połagi,
Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze
I z piennej gardzieli piasku strumienie wylewa,
„Widzisz — mawiał mi starzec — łąki nadbrzeżnej kobierce?
Już je piasek obleciał; widzisz te ziola pachnące?
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie —
Ach, daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe pletwy roztacza, łady żyjące podbija
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni.
Synu, plony wiosenne, żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia to nasi, Litwini;
Synu, piaski, z za morza burzą pędzone — to Zakon”.
Serce bolało, słuchając. Chciałem mordować Krzyżaków,
Albo do Litwy uciekać; starzec hamował zapędy.
„Wolnym rycerzom — powiadał — wolno wybierać oręż
I na polu otwartem bić się równemi siłami;
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufnosć; dalej, obaczym, co począć”.
Byłem posłuszny starcowi; siedłem z wojskami Teutonów,

Ale w pierwszej potyczce, ledwie obaczył chorągwie,
Ledwie narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przywodzę.
Jako sokół, wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogimi mękami łowcy odbiorą mu rozum
I puszczają, żeby braci sokolów wojował —
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy —
Pójdź myśliwczę do domu, z klatką nie czekaj sokoła!"

Skończył młodzieniec, a Kiejstut słuchał ciekawie, słuchała
Córa Kiejstuta, Aldona, młoda i piękna, jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory —
Kiejstutowna, jak zwykle, w sióstr i rówieńnic orszaku
Za krośnami usiada, albo się bawi przedziwem;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich
I o swojej młodości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewczica, myślą łakomą połyka;
Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie powtarza.
Walter mówił, jak wielkie zamki i miasta za Niemnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na gonitwach waleczni kopje kruszą rycerze,
A dziewice z krążganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem,
I o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy.
Której postać anielską w cudnym pokazał obrazku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach —
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił. Chciał wszystkiego nauczyć,
Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał: on nauczył ją kochać.
I sam uczył się wiele. Z jakim rozkosznym wzruszeniem
Słyszał z ust jej litewskie, już zapomniane, wyrazy!
Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie,
Jako iskra z popiołu; były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni, i jeszcze
Słodzy wyraz nad wszystko: wyraz miłości, któremu
Niemasz równego na ziemi, oprócz wyrazu „ojczyzna“.

„Skądże — pomyślał Kiejstut — nagle w mej córce odmiana?
Gdzie jej dawna wesołość, gdzie jej dziecinne rozrywki?

W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem —
Ona siedzi samotna, albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krośną —
Jej z rąk igła wypada, nici płatają się w krośnach;
Sama nie widzi, co robi — wszyscy mi to powiadają.
Wczora spostrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
Jakże mogłaby widzieć, kiedy jej oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają!
Ile razy zapytałem: „Gdzie ona poszła?“ „W dolinę“.
„Skąd powraca?“ „Z doliny“. Cóż w tej dolinie? Młodzieniec
Ogród dla niej zasadził. Jestże ten ogród piękniejszy,
Niżli me sady zamkowe? (Pyszne Kiejstut miał sady,
Pełne jabłek i gruszek — dziewic kowieńskich pełną)
Nie ogródek to wabi... Zimą widziałem jej okna:
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
Czysta, jakby śród maja — lód nie zaciemnił kryształu.
Walter chodzi tamtędy: pewnie siedziała u okna
I gorącym westchnieniem lody na szybach stopiła.
Ja myślałem, że on ją czytać i pisać nauczył,
Słyszając, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli.
Chłopiec dobry, waleczny, jak książd w pismach ćwiczony...
Mamże go z domu wypędzić? On tak potrzebny dla Litwy...
Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko...
Pójdź, Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę!”

Walter pojął Aldonę. — Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłosnych romansach,
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.
Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę szlachetną;
Szczęściem w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanucił skowronek...
(Innym krajom skowronek miłość i rozkosz obwieszcza,
Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie) —
Ciagną szeregi krzyżowe niezliczonymi tłumami.
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbrój, rżenia rumaków.
Jak mgła, spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega —
Tu i owdzie migocą straży naczelnych proporce,
Jak lyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,

Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli.
Dzień w dzień od taranów wałą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi, jak krety —
Pod niebiosami ognistym unosi się bomba polotem
I, jak sokół na ptaki, z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło — Litwa do Kiejdan uchodzi;
W gruzach runęły Kiejdany — Litwa po górach i lasach
Broni się; Niemcy dalej ciągną, plądrując i paląc.
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie.
Kiejstut zawsze spokojny; od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać.
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli;
Idąc w ślady swych przodków, bił się i nie dbał o przyszłość.
Inne były Waltera myśli; chowany wśród Niemców,
Znał potęgę Zakonu, wiedział, że mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby, oręż i wojska.
Prusy broniły się niegdyś — starły Prusaków Teutony.
Litwa, pierwaj czy później, równej ulegnie kolei.
Wiedział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.
„Synu — Kiejstut zawoła — zgubnym ty jesteś prorokiem!
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły,
I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.
Cóż pocniemy z Niemcami?” — „Ojcie — Walter powiedział —
Wiem ja sposób jedyny, straszny — skuteczny, niestety!
Może kiedyś objawie”. Tak rozmawiali po bitwie,
Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom wezwiała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter jak mocno zmieniony!
Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbyt wesoły,
(W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamyślenia
Lice jego przysłaniał), ale w objęciach Aldony
Dawniej miał pogodne czoło i lice spokojne,
Zawsze ją witał uśmiechem, czulem pożegnał wejrzeniem.
Teraz, zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść.
Cały ranek przed domem z założonemi rękami
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,
Patrzy dzikimi oczyma; w nocy porywa się ze snu
I przez okno krwawą lunę pożarów uważa.

„Mężu drogi, co tobie?” — pyta ze łzami Aldona.
„Co mnie? Będę spokojnie drzemał, aż Niemcy napadną
I, sennego związawszy, w ręce katowskie oddadzą?”

„Boże uchowaj, mężu! Straże pilnują okopów”.
„Prawda, strażę pilnują, czuwam i szablę mam w ręku —
Ale, kiedy wyginą strażę, wyszczerbi się szabla...
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję...”
„Bóg nam zdarzy pociechę z dziełek...” — „Wtem Niemcy
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko [napadną,
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego!...
Ja sam możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie wajdelota...” — „Drogi Walterze, ujedźmy
Dalej w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od Niemców!”
„My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim.
Tak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie dogonił.
Jeśli nas w górach wyśledzi?” — „Znowu dalej ujedziem”.
„Dalej, dalej, nieszczęsna? Dalej ujedziem za Litwę,
W ręce Tatarów, lub Rusi?” Na tę odpowiedź Aldona,
Pomieszana, milczała; jej zdawało się dotąd,
Że ojczyzna, jak świat, jest długa, szeroka bez końca;
Pierwszy raz usłyszy, że w Litwie całej nie było schronienia.
Załamawszy ręce, pyta Waltera, co począć? —
„Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom
Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy —
Lecz nie pytaj, dla Boga! Stokroć przekłeta godzina,
W której, od wrogów zmuszony, chwycę się tego sposobu”.
Wiecej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał,
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą,
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Kłęk i cierpienie widokiem, wzdał się i serce ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,
Dotąd mu żywot słodzące nawet uczucie miłości.
Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wzniciwszy, rdzeń głęboko wypala,
Wkrótce lasów monarcha straci swe liście powiewne,
Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie: korona jemioli.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,
Napadając na Niemców, lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza —

Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry.
Z wyszczerbionymi szablami, z porąbanymi tarczami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spojrział na żonę, słowa do niej nie wyrzekł,
Po niemiecku z Kiejstutem i wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona — serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki; gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.
Walter patrzył najdłużej, z niemej wyrazem rozpacz;
Wtem gęstymi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.
Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca
I przeproszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
„Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli, jak dymy, wiecznie nad dach ulated,
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.
Wielkie serca, Aldono, są, jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.
Daruj, luba Aldono! Dzisiaj chcę w domu pozostać,
Dzisiaj o wszystkim zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie,
Czem bywaliśmy dawniej. Jutro...” I nie śmiał dokończyć.
Jaka radość Aldonie! Zrazu myśli nieboga,
Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoly;
Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej żywości,
W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę
Rzucił na chwilę w niepamięć, mówił o czasach szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, pierwszej z Aldoną rozmowy,
Pierwszej w dolinę przechadzki, i o wszystkich dziecinnych,
Ale sercu pamiętnych pierwszej miłości zdarzeniach.
Zacóż tak łube rozmowy słowem „jutro” przerywa?
I zamyśla się znowu, długo na żonę patrzy —
Łzy mu kręją się w oczach, chciałby coś wyrzec i nie śmie...
Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiętki,
Na to tylko wywołał, aby się z nimi pożegnać?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieszczoty
Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości?...
Darmo się pytać! Aldona patrzy, czeka niepewna,
I, wyszedłszy z komnaty, jeszcze przez szpary patrzy.
Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary,
I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło. Tętnią po bruku kopyta — Dwaj rycerze z tumanem rannym śpieszą się w góry. Wszystkie-by straże zmylili — jednej nie mogli omylić... Czujne są oczy kochanki... Zgadła ucieczkę Aldona, Drogę w dolinie zabiegła. Smutne to było spotkanie. „Wróć się, o luba, do domu, wróć się! Ty będziesz szczęśliwa! Może będziesz szczęśliwa w lubej rodziny objęciach; Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz! Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę... Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku, Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i ciebie! Bywaj zdrowa, zapomnij! Zapłaczk niekiedy nade mną: Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał; Jako wiatr na pustyni, błakać się musi po świecie, Zdradzać, mordować i potem ginać śmiercią haniebną!... Ale po latach ubiegłych imię Alfa na nowo Zabrzmi w Litwie i kiedyś z ust wajdelotów posłyszysz Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomyślisz, Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic okryty, Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem — I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa!“ Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa. „Jedziesz, jedziesz!“ krzyknęła i zatrwożyła się sama Słowem „jedziesz“; to jedno słowo brzmiało w jej uchu. Nic nie myślała, o niczem pomnieć nie mogła; jej myśli, Jej pamiętki, jej przyszłość, wszystko spletało się tłumnie, Ale sercem odgadła, że niepodobna powracać, Że niepodobna zapomnieć; oczy zbłąkane toczyła, Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie: W tem wejrzeniu już dawnej nie znajdowała pociechy — I zdawała się szukać czegoś nowego — i wkoło Oglądała się znowu... Wkoło pustynie i lasy, W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżycą. Był to klasztor zakonnic, chrześcijan smutna budowa; Na tej wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony, Jak gołąbek, porwany wiatrem wśród morskiej topieli, Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu. Walter zrozumiał Aldonę; udał się za nią w milczeniu, Opowiedział swój zamiar, tać przed światem nakazał, I u bramy... Niestety, straszne to było rozstanie! — Alf z wajdelotą pojechał; dotąd nic o nich nie słychać.

Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi,
Jeśli, zrzekiszy się szczęścia, szczęście Aldony zatrąwszy...
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił...
Przyszłość resztę pokaże. Niemcy, skończyłem piosenkę.

* * *

„Koniec, już koniec“ — wielki szmer na sali —
„I cóż ów Walter? Jakże jego czyny?
Gdzie, nad kim zemsta?“ słuchacze wołali.
Mistrz tylko jeden wśród szumnej drużyny
Siedział milczący, z pochyloną głową,
Mocno wzruszony; porywa co chwila
Puhary z winem i do dna wychyla.
W jego postaci zmianę widać nową,
Różne uczucia w nagłych błyskawicach
Po rozpalonych krzyżują się licach:
Coraz to groźniej czoło mu się chmurzy,
Usta drżą sine, obłąkane oczy
Latają, niby jaskółki wśród burzy —
Wreszcie płaszcz zrzuca i na środek skoczy.
„Gdzie koniec pieśni? Wraz mi koniec śpiewaj!
Albo daj lutnię! Czego drżący stoisz?
Podaj mi lutnię, puhary nalewaj!
Zaśpiewam koniec, jeśli ty się boisz.

Znam ja was! Każda piosnka wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie...
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie —
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty!...
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
Naksztalt gadziny obwija pierś dziecka
I wlewa w duszę najsroźsze trucizny:
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny.

Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela —
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mieszać w puhary wesela.
Słuchałem pieśni — zanadto, niestety!...
Stało się, stało... Znam cię, zdrajco stary!
Wygrałeś! Wojna, triumf dla poety!
Dajcie mi wina! Spełnią się zamiary...

Wiem koniec pieśni... Nie... zaśpiewam inną.
 Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
 Tam mnie Maurowie ballady uczyli...
 Starcze, graj nutę, tę nutę dziecinna,
 Którą w dolinie... O, był to czas błogi...
 Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić...
 Wracajże, starcze, bo przez wszystkie bogi
 Niemieckie, pruskie...“ Starzec musiał wrócić,
 Uderzył lutnię i głosem niepewnym
 Szedł za dzikimi tonami Konrada,
 Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
 Rycerzy długa uśpiła biesiada.
 Lecz Konrad śpiewa — budzą się na nowo,
 Stają i, w szczupłym ścisnąwszy się kole,
 Pilnie zważają każde pieśni słowo.

BALLADA.

Alpuhara.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
 Naród ich dźwiga żelaza,
 Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
 Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
 Almanzor z garstką rycerzy;
 Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
 Jutro do szturm uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
 Rwą się okopy, mur wali —
 Już z minaretów błysnęły krzyże:
 Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe rotę
 Zbite w upornej obronie,
 Przerznął się między szablę i groty,
 Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie,
 Pomiedzy gruzy i trupy
 Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
 Rozdziela brańce i łupy.

Wtem straż oddźwierna wodzom donosi,
Ze rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Był to Almanzor, król muzułmanów;
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie — woła — na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wasalem obcej korony!”

Hiszpanie męstwo cenić umieją:
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uściskał, inni koleją,
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uściskał:
Objął za szyję, za ręce chwycił,
Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął, padł na kolana —
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił.
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwia mu nabiegły żrenice.

„Patrzcie, o giaury! Jam siny, błądy —
Zgadnijcie, czym ja posłem?
Jam was oszukał: wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem!

„Pocałowaniem wszczepilem w duszę

Jad, co was będzie pożerać...

Pójdźcie i patrzcie na me katusze!

Wy tak musicie umierać!”

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,

Chciałby uściśnieniem wiecznem

Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona...

Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,

Jeszcze się usta nie zwarły,

I śmiech piekielny został na wieki

Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie, trwożni, z miasta uciekli,

Dżuma za nimi w ślad biegła;

Z gór Alpuhary nim się wywlekli,

Reszta ich wojska poległa.

„Tak to przed laty mścili się Mauirowie;

Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?

Cóż, jeśli kiedy uści się w słowie

I przyjdzie mieszać zarazę do wina? —

Ale nie — o, nie! — Dziś inne zwyczaje!

Książę Witoldzie, dziś litewskie pany

Przychodzą własne oddawać nam kraje

I zemsty szukać na swój lud znękany!

Przecież nie wszyscy... O nie, na Peruna!

Jeszcze są w Litwie... jeszcze wam zaśpiewam...

Precz mi z tą lutnią — zerwała się struna,

Nie będzie pieśni — ale się spodziewam,

Że kiedyś będą... Dziś — zbyt puahary...

Zanadto piłem... Cieszcie się — i bawcie...

A ty Al...manzor... — Precz mi z oczu, stary!

Precz mi z Albanem! — Samego zostawcie!...”

Rzekł i, niepewną powracając drogą,

Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił,

Jeszcze coś groził — uderzywszy nogą,

Stół z puhami i winem wywrócił,

Nakonec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła — wzrok po chwili gasnął.
I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumieniu stali,
Wiedzą o smutnym nalogu Konrada,
Że gdy się winem zbyt mocno zapali,
W dzikie zapaly, w bezprzytomność wpada.
Ale na uczcie! Publiczna sromota!
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym gniewie!
Kto go podniecił? Gdzie ów wajdelota?
Wymknął się z cizby i nikt o nim nie wie.

Były powieści, że Halban przebrany
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał,
Że tym sposobem znowu chrześcijany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.
Ale skąd w mistrzu tak nagle odmiany?
Za co się Witold tak srodoż rozgniewał?
Co znaczy mistrza dziwaczna ballada?
Każdy w domysłach nadaremnie bada.

V.

WOJNA.

Wojna! — Już Konrad hamować nie zdoła
Zapędów ludu i nalegań rady;
Dawno już cały kraj o pomstę woła
Za Litwy napaść i Witolda zdrady.

Witold, co wsparcia u Zakonu zebrał
Dla odzyskania Wileńskiej stolicy,
Teraz, po uczcie, gdy wieści odebrał,
Że wkrótce ruszą w pole krzyżownicy,
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów, leżące po drodze
Wszedł z wymyślonym od mistrza rozkazem,
A potem, oręż wydarłszy załodze,
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.

Zakon, i wstydem i gniewem zagrzany,
Krzyżową wojnę podniósł na pogany.
Wychodzi bulla: morzem, ładem płyną
Nieprzeliczone wojowników roje,
Możni książęta z wasalów drużyną
Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje,
A każdy na to swe życie poświęcił,
Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.

Poszli ku Litwie. I cóż tam sprawili?
Jeśliś ciekawy, wynijdź na okopy,
Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli!
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krwawym płomieni ruczajem obleje...
Oto są wojen napaśniczych dzieje!
Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje,
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos, wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz dalej niosły,
Rycerze dalej w głąb Litwy zabiegli —
Słychać, że Kowno, że Wilno oblegli;
Wkońcu ustały i wieści i posły.
Już w okolicy nie widać płomieni,
I niebo coraz dalej się czerwieni.
Darmo Prusacy z podbitej krainy
Brańców i mnogich łupów wyglądają,
Darmo ślą częstych gońców po nowiny:
Śpieszą się gońcy — i nie powracają.
Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Radby doczekać chociażby rozpaczy.

Minęła jesień, zimowe zamieci
Huczą po górach, zavalają drogi —
I znowu zdala na niebiosach świeci;
Północne zorze — czy wojny pożogi?
Coraz widoczniej razi blask płomieni
I niebo coraz bliżej się czerwieni.

Z Marienburga lud patrzy ku drodze.
Już widać zdala: kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych. — Konrad? Nasi wodze?
Jakże ich witać? Zwycięzcy, czy zbiegi?
Gdzie reszta pułków? — Konrad wzniosł prawicę —
Pokazał dalej ciżbę rozproszoną;
Ach, sam ich widok zdradził tajemnicę!
Biegą beziadnie, w zaspach śniegu toną,
Walą się, depcą, jak podłe owady,
W ciasnem naczyniu ginące pospołu,
Pną się po trupach, nim nowe gromady,
Dźwignionych, znowu potracą do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi,
Lecz ręce wznoszą i, stojące trupy,
Wskazują w miasto, jak podróżne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy;
Lękał się zgadnąć i o nic nie pytał,
Bo całe dzieje nieszczęsnej wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpja głodu ich lica wyssała.
Tu słyhać trąby litewskiej pogoni,
Tam wicher toczy kłęb śniegu po błoni,
Opodał wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło! Konrad wszystkich zgubił!
On, co z oręża takiej nabył chwały,
On, co się dawniej roztropnością chlubił,
W ostatniej wojnie lękliwy, niedbały,
Witołda chytrych sidła nie dostrzegał,
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na litewskie stopy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał!...

Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód niemieckie nawiedzał obozy,
A nieprzyjaciół, wkoło rozproszony,
Niszczył posiłki, przecinał dowozy,

Codziennie z nędzy marły Niemców krocie —
Czas było szturmem położyć kres wojny,
Albo o rychłym zamyślać odwrocie —
Wtenczas Wallenrod, ufny i spokojny,
Jeździł na łowy, albo, w swym namiocie
Zamknięty, knował tajemne układy
I wodzów nie chciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że, ludu swego niewzruszony łzami,
Miecza na jego obronę nie dźwignął;
Z założonemi na piersiach rękami
Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał.
Tymczasem zima nawaliła śniegi,
I Witold, świeże zebrawszy szeregi,
Oblegał wojsko, na obóz napadał.
O hańbo w dziejach mężnego Zakonu!
Wielki mistrz pierwszy uciekł z pola bitwy!
Zamiast wawrzynów i sutego plonu,
Przywiózł wiadomość o zwycięstwach Litwy...

Czyście widzieli, gdy z tego pogromu
Wojsko upiorów prowadził do domu?
Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica;
I Konrad cierpiał — ale spojrzuj w oczy:
Ta wielka, napół otwarta żrenica
Jasne z ukosa miotała pociski,
Niby kometa, grożący wojnami;
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
Któreми szatan podróznego mamì,
Wściekłość i radość łączając razem,
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem.

Drżał lud i szemrał — Konrad nie dbał o to.
Zwołał na radę niechętnych rycerzy,
Spojrzał, przemówił, skinął — o sromoto!
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;
W błędach człowieka widzą sądy Boga,
Bo kogóż z ludzi nie przekona — trwoga?

Stój, dumny władco! Jest sąd i na ciebie.
W Marienburgu wiem ja loch podziemny;
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali
I w dzień i w nocy tajemnie się pali;
Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,
Na stole ustaw księga tajemnicza,
Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi —
Wszystkich maskami zamknięte oblicza;
W lochach od gminnej ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nie przepuszczą bratu:
Każdy powinien, gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku;
Sztylety w rękę, rapiery u boku.

Jeden z maskowych zbliżył się do tronu
I, stojąc z mieczem przed księgą Zakonu,
Rzekł: „Straszliwi sędziowie!
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.

Kto on jest — niewiadomo. Przed dwunastu laty
Nie wiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;
Ów giermek, podejrzany o jego zabicie,

Z Palestyny uszedł skrycie
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody,
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.

Przyjął наконец zakonnika śluby,
I został mistrzem — dla Zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiecie. Tej ostatniej zimy,
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczyły,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy
I tam miewał z Witoldem tajemne rozmowy.

Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów.
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą —
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą,
Lecz, sędziowie, on mówił językiem Litwinów!

Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku doniosły,

I o czym świeżo mój szpieg donosi,
I wieść, już ledwie nie publiczna, głosi —
Sędziowie, ja na mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, herezję, zdradę“.

Tu oskarżyciel przed Zakonu księgą
Ukląkł i, wsparłszy na krucyfiks rękę,
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą
Na Boga i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają —
Lecz niema głosów ni cichej rozmowy;
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy
Jakaś głęboka, groźna myśl wydają.
Każdy z kolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu na księdze zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumienia zapytał,
Osądził, rękę do serca przykładając —
I wszyscy zgodnie zawołali: „Biada!“
I trzykroć echem powtórzyły mury:
„Biada!“ — W tem jednym, jednym tylko słowie
Jest cały wyrok. — Pojęli sędziowie,
Dwanaście mieczów podnieśli do góry,
Wszystkie zmierzone w jedną pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu — a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: „Biada!“

VI.

POŻEGNANIE.

Zimowy ranek wichrzy się i śnieży;
Wallenrod leci wśród wichrów i śniegów.
Zaledwie stanął u jeziora brzegów,
Woła i mieczem bije w ściany wieży.
„Aldono — woła — żyjemy, Aldono!
Twój miły wraca, wypełnione śluby!
Oni zginęli — wszystko wypełniono!“

PUSTELNICA.

„Alf? To głos jego! Mój Alfie, mój luby,
Jakże? Już pokój? Ty powracasz zdrowo?
Już nie pojedziesz?”

KONRAD.

„O, na miłość Boga,
O nic nie pytaj! Słuchaj, moja droga,
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo!
Oni zginęli! — Widzisz te pożary?
Widzisz? To Litwa w kraju Niemców broi!
Przez sto lat Zakon ran swych nie wygoi!...
Trafiłem w serce stugłowej poczwary...
Strawione skarby, źródła ich potęgi,
Zgorzały miasta, morze krwi wyciekło...
Jam to uczynił, dopełnił przysięgi!
Straszniejszej zemsty nie wymyśli piekło.
Ja więcej nie chcę — wszak jestem człowiekiem!
Spędziłem młodość w bezpiecznej obłudzie,
W krwawych rozbojach; dziś, schyłony wiekiem...
Zdrady mię nudzą — niezdolny do bitwy...
Już dosyć zemsty! — I Niemcy są ludzie...
Bóg mię oświecił. Ja powracam z Litwy,
Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek... już tylko ruiny!
Odwracam oczy, przelatuję cwałem,
Biegnę do owej, do naszej doliny...
Wszystko, jak dawniej, też laski, te kwiaty...
Wszystko, jak było owego wieczora,
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty...
Ach, mnie się zdało, że to było wczora!
Kamień... pamiętasz ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?...
Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły...
Ledwie go dostrzegł: osłoniiony zieleń...
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami;
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami —
Źródło, gdzie szukał dla ciebie napoju —
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził...
Nawet twój mały sadek zostawiono,
Com go suchymi wierzbami ogrodził.
Te suche wierzby — jaki cud, Aldono! —

Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,
Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa,
I liście na nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatków unoszą się puchy...
Ach, na ten widok pociecha nieznana,
Przecucie szczęścia serce ożywiło;
Całując wierzby, padłem na kolana.
„Boże mój — rzekłem — oby się spełniło!
Obyśmy, w strony ojczyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu! Niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni!

Tak! Wróćmy! Pozwól! Mam w Zakonie władzę,
Każę otworzyć... — Lecz poco rozkazy?
Gdyby ta brama była tysiąc razy
Twardszą od stali, wybije, wysadzę —
Tam cię, o luba, ku naszej dolinie,
Tam poprowadzę, poniosę na rękę...
Lub dalej pójdziem... Są w Litwie pustynie,
Są głuche cienie Białowieskich lasów,
Kędy nie słyhać obcej broni szczęku,
Ani dumnego zwycięzcy hałasów,
Ni zwyciężonych braci naszych jęku.
Tam, w środku cichej, pasterskiej zagrody,
Na twojem rękę, u twojego łona
Zapomnę, że są na świecie narody,
Że jest świat jakiś!... Będziem żyć dla siebie!...
Wróć, powiedz, pozwól!...”

Milczała Aldona.

Konrad umilknął, czekał odpowiedzi —
Wtem krwawa jutrznia błysnęła na niebie.
„Aldono, przebóg, ranek nas uprzedzi,
Zbudzą się ludzie i straż nas zatrzyma!
Aldono!” — wołał, drżał z niecierpliwości.
Głosu nie stało — błagał ją oczyma
I załamane ręce wznosił do góry,
Padł na kolana i, zebrząc litości,
Objął, całował zimnej wieży mury.

„Nie, już po czasie! — rzekła smutnym głosem,
Ale spokojnym. — Bóg mi doda siły,
On mię zasłoni przed ostatnim ciosem.
Kiedym tu weszła, przysięgałam na progu,
Nie zstąpić z wieży, chyba do mogiły.
Walczyłam z sobą; dziś i ty, mój miły,
I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu!...
Chcesz wrócić na świat — kogo? Nędzną marę!
Pomyśl, ach, pomyśl: jeżeli, szalona,
Dam się namówić, rzucę tę pieczęć
I z uniesieniem padnę w twe ramiona,
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,
Odwrócisz oczy i z trwogą zapytasz:
„Ten straszny upiór — jestże to Aldona?“
I będziesz szukał w zagasłej żrenicy
I w twarzy, która... ach, myśl sama razi...
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy
Pięknej Aldonie oblicza nie kazi!...

Ja sama, wyznam — daruj, mój kochany! —
Ilekróć księżyc żywszem światłem błyska,
Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany.
Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć z bliska...
Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,
Jakim bywałeś — pamiętasz? — przed laty,
Gdyś wjechał w zamek z naszymi orszaki;
Lecz dotąd w mojem zachowałeś łonie
Też same oczy, twarz, postawę, szaty...
Jak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,
Na wieki całą zachowuje postać —
Alfie, nam lepiej takimi pozostać,
Jakiemi dawniej byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu — ale nie na ziemi...

Doliny piękne zostawmy szczęśliwym!
Ja lubię moją kamienną zaciszę,
Mnie dosyć szczęścia, gdy cię widzę żywym,
Gdy miły głos twój co wieczora słyszę.
I w tej zaciszy można, Alfie drogi,
Możnaby wszystkie cierpienia osłodzić...
Porzuć już zdrady, mordy i pożogi,
Staraj się częściej i raniej przychodzić!...

Gdybyś — posłuchaj — wokoło równiny
Chłodnik, podobny owemu, zasadził
I twoje wierzby kochane sprowadził
I kwiaty, nawet ów kamień z doliny...
Niech czasem dziatki z pobliskiego siola,
Bawią się między ojczystymi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają ziola,
Niechaj litewskie powtarzają śpiewy...
Piosnka ojczysta pomaga dumaniu
I sny sprowadza o Litwie i tobie...
A potem, potem, po mojem skonaniu,
Niech przyśpiewują i na Alfa grobie!“

Alf już nie słyszał — on po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci...
W dzikich widokach i w nagłym biegu
Znajdował jakąś ulgę — utrudzenie.
Ciężko mu, duszno wśród zimowej słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie
I z piersi zrzucił wszystko — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy;
Ujrzał cień jakiś — zatrzymał się, bada...
Cień krąży dalej i cichemi stopy
Wionął po śniegu, w okopach przepada,
Głos tylko słysząc: „Biada, biada, biada!“

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał —
Pomyślał chwilę — i wszystko zrozumiał.
Dobywa miecza i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojnem okiem;
Pusto dokoła — tylko przez zagony
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał.
Spojrzy ku brzegom, staje rozrzucony —
Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala — jeszcze w oknie była.
„Dzień dobry — krzyknął. — Przez tyle lat z sobą,
Tylkośmy nocną widzieli się doba,
Teraz — dzień dobry! Jaka wróżba miła!
Pierwszy dzień dobry — po latach tak wielu!
Zgadnij, dlaczego przychodzę tak rano?“

ALDONA.

„Nie chcę zgadywać... Bądź zdrow, przyjacielu,
Już nazbyt światło; gdyby cię poznano...
Przestań namawiać — bądź zdrow do wieczora!
Wyniść nie mogę, nie chcę...”

ALF.

„Już nie pora!
Wiesz, o co proszę? — Zrzuć jaką gałązkę...
Nie... Kwiatów nie masz — więc nitkę z odzieży,
Albo z twojego warkocza zawiązkę,
Albo kamyczek ze ścian twojej wieży!
Chcę dzisiaj — jutro... nie każdemu dożyć —
Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twojem łonie,
Na którym jeszcze świeża lezka płonie;
Chcę go przed śmiercią na mem sercu złożyć,
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem...
Mam zginąć wkrótce, nagle... Zgińmy razem!
Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę?
Tam będę mieszkał; dla znaku, co ranek
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
Co wieczór lampę u kraty zaświecę.
Tam wiecznie patrzaj: jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona,
Zamknij twe okno — może już nie wrócę!
Bądź zdrowa!”

— Odszedł i zniknął. Aldona

Jeszcze pogląda, zwieszona u kraty.
Ranek przeminął, słońce zachodziło,
A długo jeszcze w oknie widać było
Jej białe, z wiatrem igrające szaty
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

* * *

„Zaszło na koniec” — rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swej strzelnicy,
W której zamknięty od samego rana
Siedział, patrząc w okno pustelnicy.

„Daj mi płaszcz, szablę! Bądź zdrow, wierny sługo!
Pójdę ku wieży. — Bywaj zdrow na długo,

Może na wieki! Posłuchaj, Halbanie:
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę — opuść to mieszkanie!
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić...
Jakżem samotny! Pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie, nic powiedzieć
W godzinę skonu — prócz jej i prócz ciebie!
Bądź zdrow, Halbanie! Ona będzie wiedzieć...
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóż to? Słyszysz? — W bramę kołatano!"

„Kto idzie?" — trzykroć odźwierny zawołał.
„Biada!" — krzyknęło kilka dzikich głosów.
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne, pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega.
Alf, zawaliwszy wrzeczadłem podwoje,
Dobywa szablę — wziął czarę ze stoła —
Poszedł ku oknu. — „Stało się!" — zawołał;
Nalał i wypił. — „Starcze, w ręce twoje!"

Halban pobladał. Chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój — wstrzymuje się, myśli...
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki;
Opuszcza rękę. — „To oni! — Już przyšli!"

„Starcze, rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czego myślisz? Masz nalaną czasę.
Moja wypita... Starcze! W ręce wasze!"
Halban poglądał w milczeniu rozpaczly.

„Nie, ja przeżyję... i ciebie, mój synu! —
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć, ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obieję Litwy wsi, zamki i miasta;
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci.
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci.
Będzie ją śpiewać — i kiedyś, w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości!"

Na poręcz okna Alf ze łzami pada —
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzeć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana — westchnienia zmieszali
W ostatniem, długiem... długiem uściśnieniu.
Już u wrzeczadźwów słyhać łoskot stali —
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

„Zdrajco, twa głowa dzisiaj pod miecz padnie!
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu!
Oto jest starzec, kapelan Zakonu —
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie!”

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie — pochyla się — ślania...
Wsparł się na oknie i, tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:
„Oto są grzechy mojego żywota!

Gotowem umrzeć — czegoż chcecie więcej?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierzawy!
Słyszycie wicher? Pędzi chmury śniegów —
Tam marzną waszych ostatki szeregów!
Słyszycie? Wyją głodnych psów gromady —
One się gryzą o szczątki biesiady!

Ja to sprawilem! Jak-em wielki, dumny!
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!...
Jak Samson — jednym wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały — i runąć pod gmachem!”

Rzekł, spojrział w okno i bez czucia pada —
Ale, nim upadł, lampę z okna ciska;
Ta, trzykroć kołem obiegając, błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada.
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy,
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy —
I przy tym blasku widać Alfa oczy:
Już pobielaly — i światło zgasło.

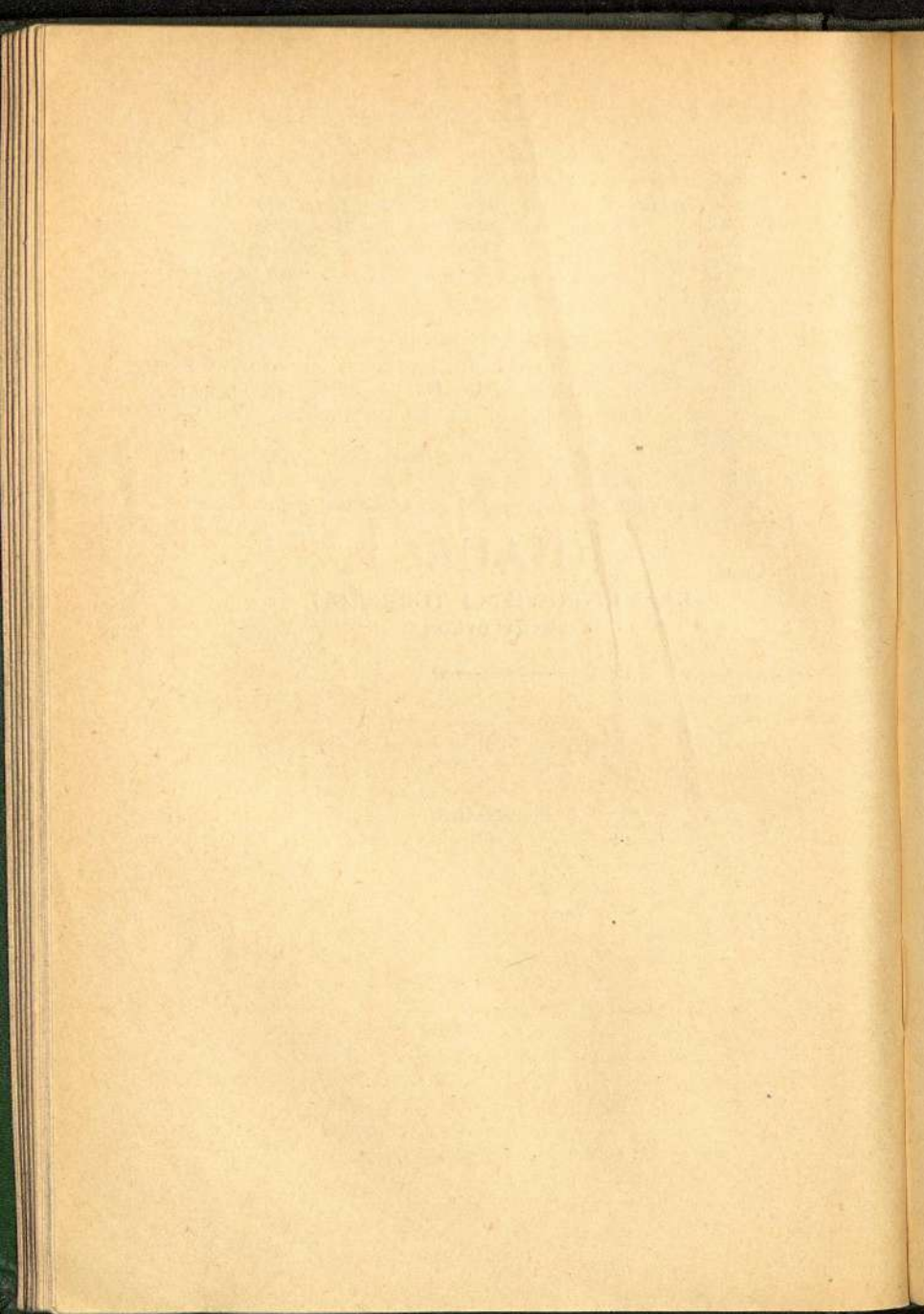
I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany...
Z czyjej to piersi? — wy się domyślicie,
A kto by słyszał, odgadnałby snadnie,
Ze piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu:
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak struny lutni od tegiego ciosu
Zabrzmią i pękna; zmieszanemi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki —
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.

Taka pieśń moja o Aldony losach.
Niechaj ją anioł harmonji w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa!

GIAUR.

UŁAMKI POWIEŚCI TURECKIEJ
Z LORDA BYRONA



Juljanowi Niemcewiczowi w do-
wód głębokiego szacunku poświęca
Tłumacz.

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

O wpływie Byrona na całą tegoczesną literaturę przekonują się codziennie czytelnicy, bo widzą na wszystkich utworach późniejszych barwę i piętno tego wielkiego poety. O zaletach i wadach dzieł jego tyle ksiąg napisano, że z nich możnaby ułożyć małą bibliotekę; nie myślimy poruszać tej pleśni krytyczno-panegirycznej, głęboko już zasypanej innemi, ważniejszymi polemikami.

Ale tłumacz czuł się obowiązany powiedzieć zdanie swoje o dziełach autora pod jednym przynajmniej względem: pod względem moralnego ich charakteru i dążenia. Wiadomo, iż Byrona oskarżano o bezbożność i antysocjalizm; zarzucano mu, że, występnych ludzi wybierając na bohaterów swoich pieśni, robił niejako apoteozę zbrodni; Fryderyk Szlegel nazwał go emisariuszem szatana, a wszyscy zgodzili się, że był apostołem sceptycyzmu.

Wszakże — jeśli, sądzac dzieła pod względem sztuki, krytycy zwykli je odnosić do wieku, w którym wzięły początek, porównywać z dziełami społecznymi i późniejszymi — należałoby równą zachować metodę, oceniając moralny charakter autorów.

Byron był dzieckiem przeszłego wieku; wszedł na świat w epoce moralnej najnieszcześniejszej dla człowieka, dla poety. Właśnie wtenczas spadała zasłona po pierwszym akcie rewolucji. Straszna walka piśmienna i słowna przecięta została gilotynami i zagłuszona grzmotem wojny europejskiej. Stronnictwa, osłabione wzajemnym mordem, ustąpiły z placu boju; niedobitków Napoleon rozbroił i wziął na kagańce. Wszystko ucichło. Był to czas dziwnego otrętwienia; o tych wielkich pytaniach, które świat zaburzyły, lękano się już mówić, zaprzestano myśleć. Dzieła wszystkie ówczesne noszą cechę trwogi umysłowej i moralnego upadku. Są to niby rozmowy winowajców, zamkniętych w więzieniu, którzy wsty-

dzą się wspominać przeszłość, bo haniebna, boją się pomyśleć o przyszłości, bo okropna, i bawią się gawędką o pogodzie i deszczu.

Dusza Byrona nie mogła żyć wśród takiej literatury; gwałtem wyrывała się za jej sferę. Młody autor, prześladowany od krytyków, ścigał ich wzajem, a z krytyków sądząc o czytelnikach, zaczął lekceważyć całą publiczność. Po tej kłótni autorskiej z literatami, nastąpił rozbrat moralny z ludźmi, którego szczegóły należą do biografii.

Zakłniony gniewem, złorzeczając obłudzie,
Choć znał, zapomniał, że są lepsi ludzie.

„Korsarz”, str. 98.

Odtąd zdało się Byronowi, że człowiek z sercem nie może żyć w towarzystwie, że musi uciec od świata lub mścić się nad nim. Odtąd bohaterów swoich, dzieci duszy swojej wychowywał na pustyni lub w jaskiniach łotrów.

Ale dzieci Byrona nie są to pospolici zbrodniarze, nie zimni egoiści albo szaleni fanatycy, zakochani w swojej przewrotności i głupstwie. Poeta zostawia im jedną przynajmniej cnotę, jedno szlachetne uczucie, które ich mimowolnie z rodzajem ludzkim wiąże, które nie pozwala im pograżyć się w zupełną moralną ciemność i, świecąc na dnie sumienia, tem wyraźniej daje widzieć wszystkie jego szczyrby i plamy. Ludzie Byrona mają sumienie. I tu jest główna różnica między naszym autorem i pisarzami przeszłego wieku. Przeszły wiek był sofistą, a więc nie znał różnicy złego i dobrego; ćwiczył się tylko w rozumkowaniu i za cel sobie położył: ze wszystkiego wytłumaczyć się, a raczej wygadać. Typem przeszłego wieku jest Panglos Woltera. Ten Panglos, francuski Hiob, w największem spodleniu moralnem nie traci dobrego humoru: walając się w śmieciach i wypluwając zęby, zawsze pyszni się i cieszy się, że był i jest filozofem. Ludzie Byrona gardzą taką sofisterją; czują, że są winni, cierpią; duma tylko nie dozwala im błagać przebaczenia, a czytelnik czuje, że do poprawy brak im tylko — czasu, bo wszyscy zbyt rychło giną. Czytelnik pewny jest, że Giaur, ani Korsarz, ani nawet Don Juan nie skończyliby, jak Panglos albo Foblas.

I sceptycyzm Byrona różny jest od tej obojętności na wszystko, co jest wysokie i piękne, od tej zwierzęcej nieczułości, którą sofiści ochrzczili sceptycyzmem, a która jest tylko dobrowolną glucho-ślepotą. Cała filozofia przeszłego wieku

dażyła do tego, ażeby ludzi już pochlebstwem odwieść, już groźbą i śmiechem odstraszyć od poszukiwania prawd wyższych i zasadniczych, ażeby wmówić, że te prawdy albo są do pojęcia niepodobne, albo niewarte dochodzenia. Byron pierwszy z poetów nie dał się zaspokoić taką sofistyczną kondemnatają myślenia i uczucia. Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma. Poruszył on wszystkie zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkimi trudnościami dogmatów i tradycji, kłął i dąsał się, jak Tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy; ależ mu brakło, równie jak jego bohaterom — czasu! Może dlatego tylko nie sprawdziła się przepowiednia Walter-Skota.

Nie był tedy Byron kontynuatorem przeszłego wieku; owszem, powiedzieć można, że ruch umysłowy, dążący ku sofisteryj, on jeden na drodze literatury zatrzymał i wstecz zawrócił. Odgłos powszechny nazwał Byrona „Napoleonem poetów“, również Napoleona uznano za jedynego poetę Francji. Wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka, któraby jedno z tych bereł dźwignąć mogła!

Uważano, że w dwojakim sposobie sceptycyzm ukazuje się na świecie: raz, jako mrok wilgotny i zimny, wrózący noc długą — drugi raz, jako to chwilowe ściemnienie porankowe, połączone z powiewem orzeźwiającym, które zapowiada dzień. Byron wyobraża tę drugą epokę sceptyków: niepewnych w swoim dążeniu, ale pełnych ducha i szczerości.

PRZEDMOWA AUTORA.

Rozerwane ułamki niniejszego poematu składają powieść o smutnych losach branki muzułmańskiej, która za niewierność ukaraną została sposobem tureckim: utopiona w morzu — i której zgonu pomścił się kochanek jej, młody Weneccjanin. Zdarzenia podobne trafiały się dawniej często na Wschodzie; teraz rzadsze. Może kobiety muzułmańskie nauczyły się więcej ostrożności, może chrześcijanie mniej są teraz pochopni do śmiałych przedsięwzięć miłosnych i mniej w nich szczęśliwi. Zdarzenie, które jest treścią naszej powieści, odnieść należy do owych czasów, kiedy wyspy Jońskie ulegały panowaniu Rzeczypospolitej Weneckiej, kiedy Arnaucci, na chwilę wyparci z Morei, znowu, po bezskutecz-

nem wtargnieniu Moskalów, zaczęli ją płdrować. Wiadomo, że odstrychnienie się Majnotów, obrażonych tem, że im zabroniono Mistrę rabować, ściągnęło nowe klęski na Grecję. Kraj ten stał się naówczas teatrem okrucieństw, których przykład trudno znaleźć, nawet w dziejach prawowiernego ludu muzułmańskiego.

Umilkły wiatry, ciche lśnią się fale
Przy grobowcowej Temistokla skale,
Która wyniosłem niebo czołem bodzie
I, z góry patrząc na morza i smugi,
Najpierwsza wita lądujące łodzie.
Kiedyż się zjawi Temistokles drugi?

Wyspy szczęśliwe, w każdej porze roku
Zarówno miłe i sercu i oku!
Gdy was przychodzić z gór Kolonny wita,
Wraz nagły urok źrenice mu chwyta
I myśl pogrąża w dумы tajemnicze.
Tu szklane morza cichego oblicze
Na falach drobnych, jak uśmiechu dolki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki,
Strzegące brzegów, z którymi łagodnie
Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.
Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliźnie
I złamie szyby na modrej płaszczyźnie,
I kwiecie, z brzegu przyniesione, miota —
Jakaż w tym wietrze wonia i pieszczota!
Tam, na skał wierzchu, u ścieku poników,
Błyszczą się róża, sułtanka słowików;
Jej brzmią pochwały kochankowie leśni,
Ona rumieńcem dziękuje za pieśni;
Śliczna i skromna królowa ogrodów,
Nie tknięta wichrem, nie zwiędła od chłodów,
Nie znając naszych zim niebezpieczeństwa,
Kwitnie świeżością wiecznego panieństwa.
Balsamy, których niebo jej udziela,
W wonnych kadzidłach ku niemu odstrzela;
Niebo wzajemnie codzień jej użycza
Świetnych kolorów swowego oblicza.

Tam w polu tyle jest kwiecie dla wianków,
Tam w lasach tyle cienia dla kochanków,
Tam groty, dla nich ciosane umyślnie!...
Dziś morski zbójca w te groty się ciśnie
I nocą z malej czatuje galery
Na bezpiecznego żeglownika stery.
Skoro miesięczna zabłyśnie pochodnia,
Zabrzmi gitara morskiego przechodnia,
Zbójca swój rudel zaraz na głąb pędzi;
Zakryty cieniem nadbrzeżnych krawędzi,
Zahacza statek, zdobycze rozdziela;
Wrzask konających miesza pieśń wesela.

Dziwna! Gdy kraj ten natura obrała
Na ogród bogów i hojnie nań zlała
Tyle bogactwa, piękności tak wiele,
Jakby we własnem zakochana dziele —
Dziwna, że dzieła własnego się rzeka
I dziś natura wpuszcza tu człowieka,
Który, odwieczny miłośnik zniszczenia,
Ogród edeński na nowo wyplenia
I, jako leśny dzik, kwiecie wytłacza,
Nie pokropione znojami oracza,
'Ani znające ręki ogrodnika!
Tu kwiecie samo dokoła wynika;
Za tyle wdzięków, za taką obfitość
Uprasza tylko człowieka o litość.
Dziwna! Tu ziemia oddycha pokojem —
'A serce ludzkie chucią i rozbojem!
Czyż kraje światła na nowo ogarnie
Noc namiętności, rządzących bezkarnie?
Patrzac, myślałbyś, że tu zbuntowani
Wojsko aniołów zwalczyli szatani
I cherubinów trony dziś przywłaszcza
Tłum, który piekieł wyzionęła paszcza.
Tak śliczny kraj ten, ojczyzna rozkoszy —
Tak brzydki tyran, co go dziś pustoszy!

Kto na śmiertelnem oglądał postaniu
Piękne oblicze zaraz po skonaniu,
Nim dzień przeminał, pierwszy dzień nicestwa,
Ostatni trudów i bólów jestestwa,

Nim śmierć, ostatniem przyciśnieniem ręki
Zgładziła rysy, gdzie chronią się wdzięki —
Kto pomni twarz tę anielsko-łagodną,
Tak zimno piękną, tak smutnie pogodną!...
Zda się w letargu zasypiać głęboko,
Zda się być żywą — gdyby nie to oko,
Gdzie już nie świeci ni łza, ni namiętność,
Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność,
I straszy widzów, i serca im studzi,
I z oczu trupa wpada w serca ludzi —
Gdyby nie wzrok ten, nim pierwszy dzień minie,
Nim ta godzina — w tej jeszcze godzinie
Śmierć tak łagodnie, niewidomie władnie,
Że jej tyraństwa nikt zrazu nie zgadnie!

Dziś do tej twarzy Grecja podobna:
Martwa oddawna, lecz dotąd nadobna;
Jej widok ziębi, jej wdzięk do łez wzrusza,
Bo już piękności nie ożywia dusza.
Jej wdzięk jest tylko uśmiech, pozostały
Na chwilę w ustach, co ducha oddały,
A jej rumieniec — chorowita krasa,
Która na trupich licach nie zagasa,
Ostatni odbłysek zachodnich promieni,
Co się wokoło ruiny czerwieni,
Ostatnie czucie, co żegna nadzieję,
Iskra niebieska, która dotąd tleje,
Lecz już swej milej ziemi nie rozgrzeje.

Ojczyzno mężów nieśmiertelnej chwały!
Każda dolina, każdy wierzch twej skały —
Jakże pamiętne!... Bo każde z nich było
Kolebką swobód lub stawy mogiła!
Arko potęgi! Dziś czyliż tak mało,
Czyż tylko tyle po tobie zostało?
Wstań, niewolniku podły, wstań na chwilę,
Powiedz: ten wawoz czy nie Termopile?
Ty, z duchów orlich wyrodzony plazie,
Na Leńdida gnieźdzący się głazie,
Przypomnij, nazwij tych opok wyżyny,
Zatokę, wyspy — wyspy Salaminyl
Powstań! Te dawne zapomniane boje
Odnów i przywłaszcz — to dziedzictwo twoje!

Z popiołów przodków może wróg rozdmucha
Iskrę, zarodek ich wielkiego ducha,
A kto z was w boju żywota dokona,
Wliczy swe imię pomiędzy imiona,
Na których wzmiankę, pochlebstwem pijani,
Zwykli się trzeźwić, zwykli drzeć tyrani.
Kto z was ojczyzny z więzów nie wybawi,
Zginie, lecz tyle synom swym zostawi
Sławy, nadziei — że staną się zdolni
Rozerwać jarzmo i umierać wolni!

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna;
Sto razy wrogów zachwiana potęgą,
Skończy zwycięstwem. Grecja jest księgą,
W której wiekami stoi wypisano,
Że klęska wolnych jest świata wygraną.
Królowie, sławę kupując u cieśli,
Gdzieś bezimienne piramidy wzniesli;
Wolni nie dbają, chociaż czasu fala
Wszystkie grobowce i pomniki zwała;
Większe pomniki zostały nad niemi:
Zostały góry ich ojczystej ziemi.
Tam Muza oczom przechodniów ukaże
Groby swobodnych, wolności ołtarze.

Długo by mówić, przechodzić okropnie
Wszystkie od chwały do niewoli stopnie;
Dosyć jest wiedzieć, że nikt nie zagrzebie
Ducha swobody — chyba on sam siebie!
Bo własne tylko upodlenie ducha
Ugina wolnych szyję do łańcucha!

* * *

Mieszkańcy ziem tych! Macież wy powieści,
Dawnym podobne i, którychby treści
Natchnęły Muzę do polotów szczytnych,
W ślad Muzy greckiej wieków starożytnych,
Gdy ludzie byli ziemi swojej godni?
Dziś, do niczego niezdatni — prócz zbrodni,
Z ognistą duszą, coby mogła siły
Natchnąć do dzieła, godnego pomników,
Dziś oni pełzną z kolebek w mogiły —
Niewolni — gorzej: — słudzy niewolników,

Zmazani całą szkaradą, co brudzi,
Niewiele wyższych nad zwierzęta, ludzi.
Nie mają nawet tej dzikich odwagi,
Piersi, gotowej przyjąć oręż nagi,
Tylko rozwożą przez sąsiednie państwa
Z nowym towarem stare oszukaństwa.
W tem tylko widać Greków dowcip dawny.
I z tego tylko Grek na Wschodzie sławny.
Daremnie wolność tylekroć zaklina,
Aby skruszyli jarzmo poganina,
By kark podnieśli, zgięty łańcuchami!
Nie, Grecy, nie mam litości nad wami!

Przecież z Grecyi wziąłem te powieści,
Z czasów niedawnych i żalosnej treści.

* * *

Zdała, wśród morza pogodnego, błyska,
Szybko pod ciebie nadbrzeżne się wciska
Statek; rybacy poznali z obrotów,
Że to piratów statek lub majnotów.
Chcą z barką swoją w cieniach się przewinać
I brzeg niepewny z daleka ominąć;
Choć im trud dzienny osłabił ramiona,
Choć rybim łowem barka przeciążona,
Silnie wiosłują, rudel krzywią w stronę,
Aż dopłynęli do Porto-Leone,
Gdzie ich noc czeka, noc, prawdziwie godna
Kraju wschodniego — cicha i pogodna.

* * *

Kto tam grzmi konno po skalistej drodze?
Wygięty naprzód, na wiatr puścił wodze;
Kopyt tetenty, jak grzmoty po grzmotach,
Wciąż budzą echa, drzemiące po grotach,
Koń, jak kruk, czarny, a na bokach piana,
Jak gdyby świeżo z morza szumowana.
Wieczór już uspił fale morskich toni,
Ale nie serce tej dzikiej pogoni;
Groźnie na jutro niebo się zachmurza,
Ale groźniejsza w sercu Giaura burza.
Nie znam cię, rodu twego nienawidzę,
Ale w twych licach takie rysy widzę,

Które w pamięci, kiedy się raz wraża,
Z czasem się głębiej werzną, lecz nie zmażą.
Tyś młody, blady, lecz namiętne bole
Gorzały długo na twem smagłem czole!
Złe oko twoje, choć mnie nie urzekło,
Choć, jak meteor, błysnąwszy, uciekło —
Zgadłem, że Turek takiego człowieka
Powinien zabić — lub niech sam ucieka!
Tam... tam... poleciał. Śladem jego biegu
Szły mimowolnie oczy me wzdłuż brzegu,
A chociaż z taką szybkością prześcignął,
Choć, jak latawiec, tylko w oczach mignął,
Jego wzrok, jego twarz nakształt pieczęci
Wciśnione czułem w głęb mojej pamięci.
I długo w uchu huk kopyt słyszałem
Czarnego konia, lecącego cwałem.

Spiął ostrogami, wbiegł na wierzch opoki,
Oceniającej głębiny zatoki —
Obleciał wkoło, znowu na dół gonił,
Skalą od moich oczu się zastonił.
Zgadłem, dlaczego: temu, co ucieka,
Jest obrzydliwą żrenica człowieka;
On najpiękniejsze na niebiosach gwiazdy
Klnie, że zdradzają ścieżki jego jazdy!
Zbiegając z góry, nim konia nawrócił,
Spojrzenie straszne, jak ostatnie, rzucił
I wybiegł znowu, znowu w górę skoczył —
Wtem nagle stanął, konia w bok zatoczył
I patrzy z góry, na strzemionach staje...
Czegóż on patrzy tam, w oliwne gaje?
Księżyc na nowiu wschodzi z za gór grzbietów,
Błyszcza nad miastem lampy minaretów,
W mieście wre teraz bajramu uciecha;
Tu, choć nie dojdą ni wystrzałów echa,
Ni muzułmanów pobożne okrzyki,
Przecież błysk widać każdej tofaiki,
Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,
Dziś bajram święcą wyznawcy Koranu.
Dziś. — Lecz ty, Giauru, kto jesteś? Co znaczy
Twój ubiór obcy i twój wzrok rozpaczy?
Co cię obchodzi bajram? Poco czekać
Naszego święta, lub przed niem uciekać?

On stał. Wtem nagły strach lica mu ścisnął
I strach ten nagle wściekłością zabłysnął.
A blask ten nie był, jak rumieniec nikły
Gniewów, co wschodzić i przemijać zwykły,
Ale jak bladeść marmurowej bryły,
Powiększająca ciemnotę mogiły.
Brwi nasunione, osłupiałe oko —
Wtem rękę dźwignął i podniósł wysoko
I na wiatr miotał, jakby groził gniewny.
Stał — czy uciekać, czy gonić, niepewny —
A wtem koń zarżał, niecierpliwy zwłoki,
I rzenie echem odbiły opoki.
Giaur za miecz porwał — i szczęk rękojeści
Wybił go nagle z tej niemej boleści,
Jak zbójcę budzi krzyk sowy złowrogi.
Znowu koniowi w bok wraził ostrogi:
Dalej, w cwał, koniu, tu idzie o życie!...
Znowu koń czarny zagrzmiął po granicę,
Chyży, jak dziryt, leci wzdłuż zatoki,
Dalej ku morzu; wpadł między opoki —
Nie widać twarzy, znikła strusia kita —
Na chwilę grzmiące ucichły kopyta.
Raz tylko wstrzymał rumakowi wodze
I, nieruchomy, chwilę stał na drodze,
Chwilę — i znowu opoka zabrzmiiała,
Giaur poleciał, jakby go śmierć gnała.

Straszna to chwila, w której duch rozkręci
Za jednym razem cały zwój pamięci
I w jedną drobną kroplę czasu zleje
Życia bolesne i zbrodnicze dzieje!
Kto nienawidzi, kocha się lub boi,
Temu za piekło jedna chwila stoi.
Cóż on czuł wtenczas, gdy, trapiące duszę
Wszystkie od razu wycierpiał katusze?
Chwila spoczynku wśród potoku zdarzeń —
Kto zliczy, ile mieści wyobrażeń?
Bo, choć dla czasu zdaje się nicością,
Ona dla myśli jest całą wiecznością
Bo nieskończone, niezmierne cierpienie
Może w myśl jedną zgromadzić sumienie

I w jednej chwili wycierpieć od razu
Bole bez końca, nadziei, wyrazu!

* *

Przeszła godzina. Giaur, jak cień, przeminał.
Uciekł — czy zginął? Czy sam tylko zginął?
W czarnej godzinie przybył, jak zesłana
Od niebios kara za grzechy Hassana,
Przyszedł i cmentarz zrobił z baszy domu;
Przyszedł i odszedł, jak wichur symomu,
Co wieje, bożym obciążony gniewem,
I za którego śmiertelnym powiewem
Cyprys umiera, choć jest śmierci drzewem,
Choć wiosną nawet nie zrzuci żaloby,
Jeden, co wiernie oplakuje groby!

* *

Niemasz rumaków na stajniach Hassana,
Komnata jego od sług odbieżana,
Pająk samotnik na ścianach się czepia
I szpary szarym całunem zasklepia —
W twierdzy Hassana nie widać żołnierzy,
W jego haremach gniazdo nietoperzy,
Zamiast strażnika puszczyk krzyczy z wieży.
W ogrodzie czasem dziki pies przybieży —
Spragniony, wyje na suchą fontanę;
Stoją wód łoża, z marmuru usłane,
Lecz owdowiałe — bo zdroje wymarły,
Zielska się dzikie na dnie rozpostarły.

Niegdyś jak wdzięcznie fontanny tu grały,
Łagouząc nieba wschodniego upały!
Niegdyś, tryskając srebrnej rosy tęczę
I fantastyczne wirując obręcze,
Rozkosznym chłodem rzeźwiły dokoła
Powietrze, ziemię i spragnione zioła.

Jak było mile blaski gwiazd pogodnych
Widzieć odbite na tych łukach wodnych,
Słuchać muzyki tych szemrań łagodnych!...
Tu często Hassan w niemowlęcym wieku
Bawić się lubił u kaskady ścieku;

Tu, drzemiącemu w matki swej objęciu,
Piastunka woda śpiewała dziecięciu.
Hassan młodzieniec na te wodotryski
Poglądał, siedząc obok odaliski,
I śpiew jej miłsze zdawał się mieć tony,
Gdy był do szmeru kaskad nastrojony.
Lecz Hassan stary nigdy sennej skroni
Wieczorem u tej kaskady nie skłoni;
Z marmurów woda uciekła chłodząca,
Z serca Hassana wyszła krew gorąca.
Tu nie usłyszysz już głosu człowieka;
Nikt się nie śmieje, nie klnie, nie wyrzeka.
Ostatni ludzki głos, echem odbity,
Był to krzyk na śmierć ciążnionej kobiety.
Głos skonał — odtąd milczą te pałace;
Wiatr tylko oknem otwartem kołace;
Lecz, choć wiatr szumi, choć się nieba chmurzą,
Już tu nikt okna nie zamknie przed burzą.

Cieszy się pielgrzym, gdy w stepach odkryje
Ślady na piasku, chociaż nie wie, czyje;
Tu, gdyby ludzki jęk odbiły echa,
W jęku tym jakaś byłaby pociecha,
Ten jęk-by mówił: „Nie wszystko skonało,
Jedno tu życie ludzkie pozostało!...“
Jeszcze w tych gmachach znalazłbyś wspaniałe
Izby i sale puste — dotąd całe,
Dach jeszcze cały, chociaż ząb zniszczenia
Roztacza ciągle ściany i sklepienia.
Lecz zgroza siedzi przed bramą na straży.
Sam fakir do wrót zbliżyć się nie waży,
Derwisz ubogi nie przestąpi progu,
Za chleb i za sól podziękować Bogu;
Nędza i zbytek uchodzą na stronę,
Niepowitane i nieugoszczone —
Pałac, gościna wiernego narodu,
Stał się jaskinią zniszczenia i głodu.
Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana
Od czasu, gdy miecz Giaura ciął w turban Hassana.

* * *

Słyszę dźwięk zdala końskiego kopyta.
 Jadą podróżni — lecz mnie nikt nie pyta,
 Już bliżej... Turcy... już widzę turbany
 I w srebrze kutych pochwach atagany.
 Wódz ich na przedzie w bogatym zawoju,
 Zapewne emir, bo w zielonym stroju.
 „Ho! Kto ty?” — „Salem! Waszej jestem wiary.
 Emirze, widzę, że wieszysz towary,
 Widzę, że wóz twój jest ciężko ładowny;
 Ostrożnie wieszysz, musi być kosztowny.
 Może do portu śpieszysz dla noclegu?
 Jestem przewoźnik, mam łódkę u brzegu”.
 „Zgoda — rzekł emir — pospieszaj, czas nagli.
 Odbijem cicho, nie rozpinaj żagli,
 Niech leżą zwite; wiosłami uderzaj
 I szybko, cicho popod brzegiem zmierzaj
 I wieź nas prosto pomiędzy opoki,
 Tam, na sam środek najgłębszej zatoki!...
 Teraz odpocznij! Dobrze masz ramiona,
 Podróż i zręcznie i prędko skończona.
 Lecz ona... zacznie podróż dalszą, z której...”

.....
 Rzucili w wodę

Ciężko plusnęło i powoli tonie.
 Rozstąpiły się wkoło szklane błonie.
 Zważałem ciężar: dziwnie mi się zdało...
 Ruszył się — pewnie morze nim ruszało...
 Może to było księżycy błysnienie,
 Nagle odbite o morza przestrzenie?
 Patrzyłem ciągle i wodne obręcze
 W mniejsze i węższe ścisnęły się tęczę,
 Jakby ich środkiem kamień przepadł do dna:
 Nakoniec w środku wyszła bańka wodna,
 Perłowe kółko... Błysnęło... przepadło...
 Znowu zatoka gładka, jak zwierciadło,
 I tajemnica usnęła w topieli.
 Geniuszowie morscy ją widzieli,
 Lecz, drżąc z przestachu w swych domach z koralu,
 Nic o tem z żadną falą nie gadali,

Jak król motylów za wiosny powrotem
Na skrzydłach, jasnych purpurą i złotem,
Z nad szmaragdowej Kaszimiru bloni
Wzlatuje, dzieci wabiąc do pogoni,
I z ziół na ziola i z kwiatów na kwiaty
Ciągnie myśliwców i myli ich czaty,
Wreszcie uleci i, niknąc w obłoku,
Zostawia żalność w sercu i lzy w oku —
Podobnie piękność wabi starsze dzieci,
Tak bystro lata i tak wdzięcznie świeci;
To łowców trwoży, to nadzieją mami —
Gonią wesolo — łowy kończą łzami.
Lecz, jeśli w ręce myśliwemu wpada —
I motylowi i piękności biada!
Chcąc uciec, darmo skrzydelka natęża
Igraszka dziecka lub ofiara męża.
Cacko, za którym żąda chciwie goni,
Straciło urok, gdy je mamy w dłoni;
A gdy wdziek barwy i świeżość przeminie,
Rzucim: niech leci — lub samotnie ginie!
Gdy skrzydła zranisz, gdy serce zakrwawisz,
Czyli ofiarom swobodę zostawisz?
Motyl odartem skrzydłem czyż może
Latać, jak dawniej, z fijołków na róże?
Z pięknnością, w jednej uwiedła godzinie,
Czyż razem pokój na wieki nie zginie?
Zgraja motylów, co pod niebem lata,
Nie szuka w dole zranionego brata.
Pleć piękna dla nas ma litości tyle —
Lecz dla płci własnej ma serce motyle;
Piękność nad każdym nieszczęściem lzy leje —
Nad siostr upadkiem tylko się zaśmiej.

* * *

Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem,
Jest, jak skorpion, opasany żarem.
Krag coraz mocniej zwięża się i błyska
I więźnia coraz gwałtowniej dociska,
Aż, gdy go zewsząd na wylot przepieka,
Skorpion cierpi, dąsa się i wścieka.
Jeden mu został sposób wyjść z pożogów:
Ma żądło, które wyostrzył na wrogów,

Które trucizną pewną rany poi,
Jeden ból zada i wszystkie wygoi —
To żądło więzień topi w głowie swojej.
Podobnie dusza zła kona w cierpieniach,
Lub żyje, jako skorpion w płomieniach;
Bo, kiedy ludzi zwiąże pamięć zbrodni —
Światu niezdatni, a nieba niegodni;
Rozpacz nad nimi, pod nimi noc gruba,
Wkoło płomienie, a wpośrodku zguba!

* * *

Ponury Hassan z haremu ucieka,
Pieszczot, widoku kobiet się wyrzeka.
On w lasach trudy myśliwców podziela,
Ale nie może dzielić ich wesela.
Dawniej polować nie miał we zwyczaju,
Póki Leila mieszkała w seraju.
Dziś — czy Leila uszła? Czy nie żyje?
Hassan wie tylko, lecz sam w sobie kryje.
Różne powieści krążą między gminem:
Słychać, że uszła z Wenecjaninem.
W dzień ramazanu, gdy zapadło słońce,
A z minaretów jasnych lamp tysiące
Bajram na całym obwieściły Wschodzie,
Leila poszła kąpać się w ogrodzie —
I nie wróciła. Szukano daremnie.
Mówią, że z Giaurem zesła się tajemnie,
Wsiadła z nim na koń, za pęzią przebrana,
I w noc bajramu zbiegła z państw sultana.

Oddawna Hassan miał ją w podejrzeniu,
Ale w jej oczach i w jej uściśnieniu
Tyle wyczytał miłości i wiary,
Że znowu brance zaufał pan stary.
Wieczorem poszedł w meczet na pacierze
I w noc bajramu jadł w kjosku wicherzę.
Tak powiadali czarni niewolnicy,
Niewierni pańskich haremów strażnicy,
Lecz inni głoszą, że, gdy padł mrok szary,
Przy bładem świetle wschodzącej fngary
Widziano Giaura na czarnym rumaku,
W cwał leżącego po nadbrzeżnym szlaku,

Z cugłem spuszczoneym, skrwawioną ostrogą —
Lecz nie wiózł panny, ni pazia, ni kogo —

* * *

Oko jej czarne — i któż się ośmieli
Wzrok ten malować, te oczy gazeli,
Wielkie i słodkie, ciemne i błyszczące!
Dusza z nich mówi przez iskier tysiące,
Które ze źrenic lecą, przeźroczystych,
Jako z Dżemszyda rubinów ognistych.
Dusza z nich mówi, wbrew słowom proroka,
Że: „Postać niewiast jest ziemi powłoka“,
Allachu, dusza mówi z tego oka!
I choćbym w drodze ku lepszemu światu
Przechodził ostre mosty Alsyratu,
Wisiał nad piekła ognistym potokiem
I cały rajski ogród miał przed okiem
I w nim wabiące hurysy dziewice —
Powiem: kto widział Leili źrenice,
Ten alkoranu nauk nie usłucha!
Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?
Jest cackiem, z którym bawi się mężczyzna?
Niech na nią spojrzy sam mufty, a wyzna,
Że nieśmiertelność wygląda z jej źrenic!
Na jej obliczu cudowny rumieniec
Wiecznym i świeżym błyszczy się szkarlatem,
Jakby granatów posypany kwiatem,

Jej włosy jako hiacynty płyną,
Gdy, okolona rówiennic drużyną,
Stanie, nad wszystkie głową wyniesiona,
I da warkoczom płynąć przez ramiona.
Włosem zamiata ślad swój na marmurach,
Ślad nóżki, bielszej, niżli śniegi w górach,
Kiedy z rodzinnych obłoków wylecą
I, ziemią jeszcze nieskalane, świecą.
Jako monarcha ptaków Frangestanu,
Łabędź, podnosi głowę z oceanu
I pysznie skrzydłem uderza po fali,
Skoro dostrzeże podróżnika w dali —
Z taką powagą ona zwraca głowę
I śnieżne ramię i piersi perłowe,

I z taką piękną dumą wzrokiem miota!...
Gdy na nią oczy śmie zwrócić pustota —
Cofną się, blasku wytrzymać nie mogą:
Pochlebiać chciały — upadają z trwogą.

Jak była oczom piękną Gruzyczka,
Tak miała serce czułe dla kochanka.
Kochanka?... Któż jej kochanek?... Hassanie,
Ty nim nie jesteś, dziki muzułmanie!

Ponury Hassan dał rozkaz podróży.
Oddział wassalów, co mu w dworcu służy,
Jak orszak i straż, pojedzie za panem,
Každy z janczarką, z łukiem, z ataganem.
Hassan sam zbrojny jedzie na ich czele;
Zwiesił na pasie krzywą karabelę,
Wypróbowaną na albańskich głowach,
Kiedy raz zbójców napotkał w parowach
I tak rozgromił muzułman zwycięski,
Że ledwie kilku uszło z wieścią klęski —
Za pas dwa zatknął, bogato oprawne
W perły i w złoto, pistolety sławne;
Hassan przed laty dostał je od baszy;
Ich widok zbójców i wabi i straszy.
Mówią, że Hassan jedzie pojąć żonę,
Pocieszyć znowu serce, zakrwawione
Zdradą Leili, co uszła z haremu,
I dziś — o zgrozo! — służy niewiernemu.

Ostatnim blaskiem zachodniego słońca
Złocą się góry i kaskada grzmiąca,
Żywiona czystym i świeżym gór śniegiem.
Tu często kupiec Grek staje noclegiem,
Znajdując pokój w ustroniu głębokiem
Pewniej, niż w mieście pod swych panów bokiem.
Tu się nie lęka o całość swej skrzyni,
W miastach niewolnik, wolny na pustyni —
Tu, wesół, spróżnia czasę, pełną wina,
Którym się brzydzą usta moslemina.

Najpierwszy jedzie Tatar, wódz orszaku,
Z daleka widny po żółtym kołpaku —
Opodał konni ciasną jamy szyją
Po krętej ścieżce na skałę się wiją.
Nad nimi sterczą w górę czarne szczyty,
Gdzie sępy ostrzą dzioby o granity
I lecą na dół; już zwietrzyli łupy;
Nim zajdzie słońce, będą świeże trupy.
U spodu rzeka, która w zimie bucha
Ogromną wodą, a w upały, sucha,
Nagie i czarne łono swe odsłania
I kilka kaskad srebrzystych pochłania.
Wokoło ścieżki kawały granitu
Lecą bezładnie, stracone ze szczytu;
Czas je pospychał albo zbiły gromy.
Wierzch skały niknie, we mgle niewidomy,
Bo żaden z ludzi czoła Liakury
W pogodę nawet nie widział bez chmury.

Już w gaj wjechali i po kilku chwilach
Dojdą wierzchołka; już krzyczą: „Bismillah!
Tu już bezpiecznie, stąd już widać błonie;
Wkrótce w dół zjedziem, na wiatr puścim konie“.
Gdy czausz tak mówił — ogień z góry błysnął,
Nad uchem ołów niewidzialny świsnął,
Tatar, przewodnik, wyleciał z kulbaki.
Ledwie czas mają zatrzymać rumaki —
Skoczyli z siodeł, janczarki odwiedli,
Ale trzech spadło pierwej, niżli zsiadli.
Z rąk niewidzialnych rany odbierają
I, ginąc, darmo o zemstę wołają.
Dobyli szabel, na rumaków karkach,
Na odwiedzionych wsparli się janczarkach,
Napół wciśnieni między końskie boki —
Inni uciekli pod ścianę opoki
I tam ręcznego czekają spotkania,
Nie lubiąc służyć za cel do strzelania
Wrogom, co bronią niewidzialną rażą,
A wstępnym bojem spotkać się nie wazą.

Sam Hassan został; z konia zsiąść nie raczy,
Spokojnie jedzie, aż z przodu obaczy

Blask ręcznej broni. Rozbójników zgraja
Strzela wzdłuż drogi, z przodu się zaczaja
I z tyłu słychać z janczarek łoskotu,
Że mu przecięto drogę do odwrotu.
Więc, wściekły, brodę od gniewu najeżył
I wkoło wzrokiem ognistym uderzył:
„Choć wrogi wkoło, choć gęste wystrzały,
Jam z krwawszych bitew nieraz wyszedł cały”.
Zbójcy wychodzą, stają na skał szczycie:
„Rzucaj broń — krzyczą — komu miłe życie!”
Ale Hassana oczy i rozkazy
Straszniejsze, niżli nieprzyjaciół razy,
I z garstki szczupłej, ale wiernej panu,
Żaden nie rzucił swego ataganu
I żaden podle nie krzyknął „amanul” —
Nieprzyjaciele coraz bliżej godzą,
Razem ze wszystkich zasadzek wychodzą,
A z gęstwi lasu dowódca orszaku
Leci sam przodem na dzielnym rumaku.
Któż ten dowódca? Strój nosi albański,
Ale miecz prosty, miecz to chrześcijański...
„Znam go, znam Giaura! — wściekły Hassan woła —
Znam go, poznałem ze smagłego czoła,
Poznałem czarne, złowrogie żrenice,
Jego nikczemnej zdrady pomocnice!
Konia czarnego znam, choć leci pędem,
Chociaż nakryty arnauckim rzędem.
Podły odstępco twojej podlej wiary!
Teraz cię turban nie zbawi od kary.
Gdziekolwiek spotkał, w jakiegokolwiek chwili,
Dobrze, żem spotkał zdrajcę mej Leili!”

Jak się wezbrana rzeka w morze leje
I, morską burzę spotkawszy, szaleje,
Łamią się fale, drżą opoki brzegu,
A nurty ryczą pod pianami śniegu —
Tak się spotkały wrogów zgraje obie,
Losem i gniewem gnane przeciw sobie.
Szable nad uchem grzmiały, lecąc w kawały,
Huczą po skałach dalekie wystrzały —
Starcia się łoskot i karabel dźwięki,
Huk karabinów, konających jęki

Echo żałośne po dolinie szerzy,
Przywyklej tylko do śpiewów pasterzy.
Liczba niewielka, lecz bitwa straszliwa:
Nikt przebaczenia ni daje, ni wzywa.
Paro kochanków, mocne są twe sploty,
Gdy się ściskacie podzielać pieśczęty!
Lecz nie tak cisną miłości ramiona,
Gdy w nich spoczywa piękność ulubiona,
Jako się barki zwiążą nienawisnie,
Kiedy wróg wroga ostatni raz ściśniesz!
Przyjaźń ostygnie, pieśczęta się skończy —
Objęcia wrogów i śmierć nie rozłączy.

Z szablą, po samą rękęjęś uciętą,
Krwia opryskana i mocno ujętą
W sinej, od ciała odrąbanej dłoni,
Co jeszcze drgała, nie puszczając broni —
Obok turbana, którego zawoje
Miecz Giaura zerwał i przerznął na dwoje —
W deli długiej, zmiętej, rozpostartej,
Od mnogich razów na sztuki podartej,
Zaczerwienionej, jak chmury przed burzą,
Gdy po dniu jasnym burzliwą noc wróżą —
Krwia zlawszy piasek i gałęzie boru,
Gdzie wiszą szmaty jego palamporu —
Z piersią przebitą i otwartą ciosom,
Barkami na wznak, twarzą ku niebiosom —
Tak leżał Hassan. Oczy już zbiegły —
Jeszcze otwarte, Giaura wyzywały.
Giaur stanął nad nim i w Hassana lica
Utopił równie straszne dwie żrenice.

„Tak! Tyś pochował w falach mą Leilę —
Jam cię pochował w czerwonej mogile!
Jej duch kierował mieczem, jej morderca
Uczuł raz pierwszy, co to jest ból serca!
Proroka wołał, ale nadaremnie:
Prorok twej głowy nie wyrwie z pode mniesz!
Allacha wołał — wiatr prośbę rozdmuchał...
Allah nie słyszał, albo nie wysłuchał...
O psie pogański! Czyż Opatrzność, głucha
Na krzyk Leili, twych krzyków usłucha?

Zbójcą zostałem! Jeździłem na wzwiady,
Aż wkońcu zdrajca padł ofiarą zdrady!
Jam spełnił swoje, zemścił się nad tobą...
A teraz, dalej... w świat... Jadę sam z sobą!..."

* * *

Na polu słychać brzęk dzwonek wielbłąda,
Matka w ogrodzie z altany wygląda.
Na łąkach błyszczy już wieczorna rosa,
Już ku wschodowi ciemnieją niebios
I rozniecają drżących gwiazd ognisko.
Już wieczór, Hassan zapewne już blisko...
Matka, stroskana, zstępuje i bieży
Do swych haremów i pogłada z wieży:
„Nie widać!... Nie zwykł jeździć tak pomału,
Nie zwykł popasać nawet w czas upału.
Nie przysłał darów ślubnych... Czy się lenił?
Czy konie strudził? Czy serce odmienił?
Skarga niesłuszną! Już Tatar posłaniec
Widny z daleka, już na skały kraniec
Wstępuje z wolna, już zjeżdża z urwiska
I wązami na dół się przeciska.
Koń nic nie winien, koń pewnie z ciężarem,
Zapewne ślubnym objuczony darem;
Tatara mile przyjmę i nagrodzę
Za prędką jazdę po takiej złej drodze“.

W bramie zsiadł Tatar, od siodła odpina
Juki niewielkie. Czy to dary syna?
Na twarzy smagłej bladeść: czy to smutek?
Czy podróznego utrudzenia skutek?
Odzież, spryskana krwi świeżej kroplami.
Może poranił konia ostrogami?
Rozwinał pakę... O aniele święty!
O Azraelu! To zawój rozcięty!
To syna szaty, całe krwią zbroczone!...
„Pani, okropną twój syn pojął żonę!
Mnie oszczędziły ręce poganina,
Bym ci pokazał krew twojego syna.
Legł śmiercią mężnych. Pokój Hassanowi!
Przekleństwo wieczne zabójcy Giaurowi!“

* * *

Turban, w kamieniu prostym wyrzezany.
I słup, już dzikiem zielskiem opasany,
Na nim z koranu modlitwa wyrzta,
Którą dziś ledwie podróżny wyczyta —
To cały pomnik w bezludnej ustroni,
Gdzie Hassan zginął od niewiernej broni.
Zacny Osmanlis! Nikt między wiernemi
Przykładniej świętej nienawiedził ziemi,
Nikt bardziej winem nie gardził wyklętem
I nikt pobożniej ku przybytkom świętym
Twarzy nie zwracał, gdy na świątyni dachu
Słyszał wołanie: „Illa-hu, Alla-hu!”

Z rąk cudzoziemca wziął śmiertelne rany
I wśród ojczyzny leży, jak wygnany,
Zdała od domu, na bezdrożu dzikiem —
Ani się pomścił nad swym rozbójnikiem.
Lecz duch Hassana już rajskie dziewice
Wiodą w rozkoszy wiecznej okolice,
Okiem błyskają ku niemu, jak słońcem,
Wiecznie pogodnem i nie zachodzącem.
Biega, zielone chustki wywijają,
Pocałunkami rycerza witają,
Bo raj rozkoszy zgotowany temu,
Kto zginął, walcząc przeciw niewiernemu.

Lecz ty, niewierny, ciebie aniół śmierci,
Monkir, swą kosą rozerwie na ćwierci,
Potem zawlecze na nowe katusze
Przed tron Eblisa twą przekłątą duszę.
Tam ogień, wiecznych męczarni narzędzie,
Ciało twe palić, w duszy goreć będzie;
Słuch nie obejmie, język nie obwieści,
Ile się piekła wewnątrz ciebie zmieści!...

Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem
I trup twój, z grobu wylażąc wieczorem,
Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną,
Powinowatych spijać krew niewinną.
Tam, na rodzeństwo własne zajuszony,
Wyssiesz krew swojej siostry, córki, żony;
Ścierw twój zasilisz cudzym życiem zdrojem,
Chciwie pić będziesz, brzydząc się napojem —

A twe ofiary, rozstając się z światem,
Poznają, że ich ojciec był ich katem;
Przeklną cię, twoje usłyszą przekleństwa —
I na pniu wyschnie szczep twego rodzeństwa.
Ostatnia twoja ofiara na świecie
Będzie twa córka, najmiłsze twe dziecko;
Ona, konając, krzyknie na cię: „Ojciec!”
I krzyk ten ściśnie usta dzieciobójcze,
Ale ssać muszą, dopóki się żarzy
Ogień w żrenicach, rumieniec na twarzy.
Aż ujrzysz wkońcu, jak szklana powłoka
Zamrozi, zaćmi ostatni blask oka;
Natenczas ręką przekłętą z jej głowy
Oderwiesz włosów warkocz bursztynowy —
Z tego warkocza pukiel darowany
Może na sercu nosi jej kochany —
A ty dziś w piekle złożysz jego szczątki,
Jak samobójstwa twojego pamiątki.
Krwia twoją własną, najmiłszą ociekły,
Gryząc twe usta i zgrzytając, wściekły,
Wrócisz się znowu pomiędzy grobowce,
A tam upiory, twoi współwędrowce,
Gule, Afryty spotkają cię w mroku.
I oni twego zlekną się widoku
I do podziemnych skryją się otworów,
Spotkawszy widmo, brzydsze od upiorów.

Jak się ten zowie kalajor ponury?
Twarz mnie znajoma... Raz go napotkałem
W ojczyźnie mojej. Leciał między góry
Na dzielnym koniu — pominął mnie cwałem —
Leciał, jak tylko zdoła koń wyskoczyć.
Oblicze jeźdźca ledwie mogłem zoczyć,
Lecz widać było z twarzy i wejrzenia,
Że go opętał duch złego sumienia...
Nie chciałbym nigdzie zdybać takiej twarzy,
Bo złą jest wróżbą spotkanie zbrodniarzy;
I teraz strasznie wygląda ten człowiek,
Jak gdyby śmierć mu patrzyła z pod powiek.

Sześć lat minęło, jak przybył w te strony.
Wszedł do klasztoru. Czy światem znudzony?
Czy za grzech jakiś pokutę odprawia?
Ale przed nikim grzechu nie objawia.
Nigdy on w ławkach podczas mszy nie siedzi,
Nie chodził ani razu do spowiedzi,
Ani się kłania przed Bogarodzą,
Ani przed ołtarz idzie z kadzielnicą —
Dni całe siedzi zamknięty w ukryciu.
Nie wiem o jego przygodach i życiu;
Słyszałem tylko, że przybył ze wschodu
Tureckim statkiem od stron Carógrodu.
Żeby był Turkiem, z twarzy się nie zdaje,
Zna chrześcijańską mowę i zwyczaje;
Pewnie skruszony jaki apóstata,
Dziś oplakuje przeszłe błędów lata.
Tylko że świętych obrazów się lęka,
Przed Pańskim chlebem i winem nie kłęka.
Dał wielki skarbiec, który może złupił,
I tem gościnność w klasztorze zakupił;
Lecz, gdybym ja był na miejscu przeora,
Alboby wygnał tego kalajora,
Albo w pokutnej zamurował celi
Tak, żeby o nim ludzie nie wiedzieli.

Często on marzy, bezprzytomnie gada
O pięknej pannie, która w morze wpada,
Słyszy szcęk mieczów, strzały nad opoką
I widzi Turka konające oko.
Ilekoć na tym wierzchu skały stawa,
Grozi mu z dołu jakaś ręka krwawa.
On sam ją widzi i, czyja, pamięta;
Ręka, pałaszem od ciała odcięta,
Wystaje z ziemi i kiwa nań w dali,
Ażeby skoczył ze skały do fali.

* * *

Z pod mnichowskiego czarnego kaptura
Świeci, jak z grobu, żrenica ponura;
Czasem z ukosa błyskawice ciśnie
I całą burzą dawnych lat zabłyśnie;

Barwa tych oczu co chwila się mieni.
Chcą ją uważać widzowie zdziwieni —
I wnet uczują ten urok spojrzenia
Wymowny, trudny do wypowiedzenia,
Cechę umysłu, co, niezgięty w dumie,
Zna swoją wyższość i pokazać umie.
A jako ptaszek, gdy go wąż urzeczy,
Trzepioce skrzydłem, ale nie uciecze —
Tak widz, ujęty w sidła jego wzroku,
Chce i nie może rozerwać uroku.
Przed nim wpółtrwożny braciszek umyka,
Kiedy samego przypadkiem spotyka,
Bo on swym wzrokiem i gorzkim uśmiechem
Zaraża wszystkich boleścią i grzechem.
Przecież zbyt rzadko uśmiechać się raczy;
Śmiejąc się, tylko urąga rozpaczy.
Porusza usta i drżące wnet przytnie;
Widać, że radość już w nich nie zakwitnie
I że uczucie wzgardy i niedoli
Już nigdy szczerze śmiać się nie dozwoli.
I tak też było. Trupie jego śmiechy
Nie są poczęte z serdecznej uciechy.
Okropne lica! Jakież być musiały,
Kiedy za młodu namiętnie gorzały?
Wiek jeszcze wszystkich rysów nie pozglądał,
Tylko szpetnemi piękne poprzegradzał;
Jeszcze niekiedy rumieniec w nich pała —
Znaczno, że dusza nie całkiem czerniała.

Gmin widzi tylko w tem posępnem oku
Świadectwo zbrodni i pieczęć wyroku;
Pilniejszy badacz odgadnie z wejrzenia
Wielkość umysłu, zacność urodzenia,
Dary, niestety, zbyt źle umieszczone,
Skalane zbrodnią, smutkiem przetrawione.
Był to przybytek nie podły, nie mały,
Gdy w nim tak wielkie zalety mieszkały —
Dziś został pustym, lecz poważnym gmachem.
Ludzie nań lubią poglądać ze strachem.

Chaty bez dachów w pustkach widzi codzien
I rzadko do nich zagląda przechodzień —

Lecz wieża, legła w szturmie albo w burzy,
Co się czarnemi ruinami chmurzy,
Wzbudza podróŜnych dumania i  ale;
Złamane luki, opuszczone sale,
Wiele o dawnej powiadaj  chwale.

* * *

W d ugiej kapicy fałdy obwini ty,
Z cicha przez kolumn przesuwaj  si  r  dy,
Straszy patrz cych i, sam strachem zdj ty,
Staj  i patrzy na  wi te obr  dy;
Lecz, gdy si  ozwa  u ołtarza dzwonek,
Kni  za uk  kli — cofa si  w przysionek.
Tam, przy niepewnym pochodni promieniu,
Twarz jego b ada polyska si  w cieniu,
Tam b dzie czeka , a  si  nieszp r sko czy;
Słucha  piewania, lecz g osu nie  aczy.
Patrz, tam ci   rzuca na bielone  ciany
Kaptur opad y, i w os rozczochrany,
Gesty i czarny bez ladnie si  wij ,
Jakby Gorgona swe najbrzydsze  mij ,
Wyrwawszy z g owy, sp   a mu na skronie.
Bo ten kalajor, cho  mieszka w zakonie,
 lubu nie zrobi , wi c nie strzy e g owy
I nosi w osy, jak cz owiek  wiatowy.
Kapic  przywdzia , jako inne mnichy;
Da  skarb na ko ci  , lecz zapewne z pychy,
Nie z pobo no ci hojnie ko ci   nada ,
W kt rym ni razu pacierza nie gada .
Tam, patrz na niego, w dzwonek uderzono:
Wszyscy uk  kli sakrament wzniesiono, —
Stoi, jak posag, i wida  z postawy
Wyraz rozpacz, w zgardy i obawy.
Ratuj nasz ko ci  , o  wi ty Bazyli!
Bo my na kar  Bo   zas u yli,
 e my takiego grzesznika wp  scili.
Je eli z y duch czasem sobie sprawia
Cz owiecz  postac — on tak si  objawia.
Te oczy jego, na s owo kap a skie,
Nie s  niebieskie, ni ziemskie — szata skie!

* * *

Serce zbyt czule — do kochania skłonne,
Lecz nie zna, co to kochanie dożgonne;
Długie cierpienia dzielić — siły nie ma,
Długich z rozpaczą walek nie wytrzyma;
A twarde serce gdy miłość skaleczy,
Jej rany nigdy już czas nie uleczy!
Jako rodzimy kruszec od płomienia
Wprzód się różżarza, niżli zaczerwienia —
Wrzucony w pieca płomieniste jamy,
Zgina się, miękczy, lecz zawsze ten samy,
A potem, wedle sztukmistrza rozkazów,
Służy do dania lub odbicia razów,
Albo pierś twoją przed śmiercią zastawi,
Albo pierś wroga śmiertelnie zakrwawi —
Lecz, gdy raz śmierci ukuto narzędzie,
Ten, gdy je ostrzy, niech ostrożnym będzie! —
Tak ogień uczuć i sztuka kobieca
Najtwardsze serca zmiękcza i roznieca —
Lecz, raz nagięte, zmianom nie ulegnie
I pierwiej pęknie, niżli się odegnie.

* * *

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,
Przerwa mąk tylko powiększa męczarnie;
Pusta pierś, czując otchłanie dokoła,
Chce je zaludnić i o boleść woła,
Bo, niedzielone, każde czucie nudne,
I szczęście samo do zniesienia trudne.
Serce w cierpieniach, gdy samotność widzi,
Chcąc mieć pociechę, wszystkich znienawidzi.
I jest to serce, jak człowiek w mogile,
Gdyby z letargu zbudził się na chwilę
I czuł z wzdrygnięciem, że robactwo toczy
Odżyłe jego oblicze i oczy —
I nie miał siły bronić swych wnętrzności
Od tych szkaradnych, niespodzianych gości,
To serce jest, jak pelikan, gdy leci
Przez obszar pustyń do gniazda, do dzieci,
Krew swą gotowy na żywność im przelać,
Życie z głodnemi nieskąpy podzielać;
Już dziobem piersi rozranił szlachetne
I widzi tylko swe gniazdo — bezdzietne.

Najsrozsze męki, które nędzni znoszą,
Samotnej duszy zdają się rozkoszą,
Sierocę, stepem otoczonej dzikim,
Trawiącej uczucia, nie dzielone z nikim.
Któżby był niebios ciekawy widoku
Bez słońca i bez żadnego obłoku?
Lepiej jest płynąć, choć się niebo chmurzy,
Niż morskiej nigdy już nie doznać burzy —
I, gdy żywioły zakończyły wojnę,
Być wyrzuconym na brzegi spokojne,
W pustą zatokę i, bez towarzyszy,
Późnego zgonu czekać w wiecznej ciszy.
Lepiej raz przepaść w zaburzone fale,
Niżli żyć, gnijąc po trochu na skale.

„Tyś dni twe przeżył, ojcze spowiedniku,
Licząc różańce, prawiąc msze bez liku,
Za cudze zbrodnie błagając gniew Boski,
A sam nie znając zgryzoty, ni troski,
Prócz smutków krótkich, zwyczajnych w tem życiu;
Siwy — spokojny, jak byłeś w powiciu!
Przeraża ciebie walka uczuć dzika,
Ileć raz zajrzysz w serce pokutnika;
Choć jego skargę, jego łzę żalosną
Przyjmujesz w duszę czystą i litosną.
Moje dni krótkie na płaczu padole,
Obfite w rozkosz, lecz płodniejsze w bole...
Przecież, pomiędzy rozkosze i trudy
Przeszedłem życie, nie doznawszy nudy.
Na ucztach, w bojach, z kielichem, z kindziałem,
Zawsze spokojność gnuśną pogardzałem.
Dziś nie nie kocham, ani nienawidzę,
Pychy nie czuję, nadziei nie widzę —
A dzisiaj jeszcze wołałbym być gadem
I pod klasztorem pęłzać, strasząc jadem,
Niż być skazanym w cichym mniszym stanie
Na modlenie się i na rozmyślanie!
Przecież spoczynku nadzieja mnie łechce;
Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chcę.

Wkrótce się wszystko skończy, tak, jak życzę:
Zasnę w mogile, nie marząc, czem byłem.
Choć moje życie zda się tak zbrodnicze,
Gdybym mógł odżyć, żyłbym tak, jak żyłem.
Dziś w mej pamięci, jak w ciemnej mogile,
Leżą, już zmarłe, mych rozkoszy chwile;
Lepiejby dawno leżeć razem z niemi,
Niż ciężką włożyć tęsknotę po ziemi.
Nigdy mój umysł nie upadł na męstwie
W długiem i strasznem żywota męczeństwie;
Sam dobrowolnie w grób się nie położę,
Jak dawni głupcy, lub dzisiejsi tchórze.
Ze śmiercią nieraz spotkałem się z bliska;
Chętniebym poległ wśród pobożowiska,
Gdybym rycerskim mógł oddychać szaleń
I kochał sławę, jak piękność kochałem.
Lecz jam nie walczył dla okłasków gminu,
Nie dbam o zdobycz lub stratę wawrzynu;
To innych dzieło; niech rzna się żołdacy,
Dla wielkiej sławy lub nikczemnej płacy —
Ale mnie dzisiaj jeszcze niech poruszy
Przedmiot, prawdziwie godny mojej duszy:
Niech mam przed sobą kochankę lub wroga!
Choćby mi groził i miecz i pożoga,
Gdy serce mścić się lub bronić rozkaże,
Na miecz i ogień jeszcze się odważę.
Bo mężny na śmierć ze wzgardą poziera,
Nędzarz jej pragnie, tchórz się jej wydiera.
Kto mi dał życie, niechaj je odbiera!
Ja śmierć bez trwogi spotykałem nieraz,
Gdy był szczęśliwy i dumny ... — A teraz?...

Kochałem, ojcie ... O, nie, ubóstwiałem!
Lecz to są słowa — słowo często kłamie;
Ja miłość moją czynem pokazałem.
Przypatrz się rdzawej na tym mieczu plamie:
To jest krew dawna — dotąd się nie starła —
Przelana dla tej, co dla mnie umarła.
Krew ta dobyta z serca mego wroga!
Nie trwoż się, księżo, nie wznos rąk do Boga,
Za grzech zabójstwa nie lękam się kary:
Wróg mój był także wrogiem twojej wiary.

samo wspomnienie o Maryi Synie
Już obudzało złość w tym poganinie.
Głupiec niewdzięczny! Bo, jeżeli rana,
Jeśli śmierć, ręką chrześcijan zadana,
Jest Turkom kluczem rajskiego ogrójca,
Tedy do raju wysłał go zabójca —
I teraz może hurys czarnooka
Witać Hassana u bramy proroka.
Kochałem. Miłość często drogę znajdzie
Tam nawet, kędy głodny zwierz nie zajdzie,
A miłość taka, śmiała na przygody,
Czyliżby miała zostać bez nagrody?
Gdzie — kiedy? Pocóż mam głosić przed światem?
Byłem szczęśliwy w miłości, dość na tem.
A przecież często żałuję, daremnie!
Wolałbym nie być kochany wzajemnie...
Ona umarła... Jak? O to nie pytaj!
Jeśli śmiesz, sam to odgadnij, wyczytaj,
Bo tu wyryte noszę na mem czole
Kaina pismem me zbrodnie i bole!
Ale mnie nie klnij!... Pcsłuchaj: ja byłem
Przyczyną śmierci — lecz nie ja zabiłem.
Mógłbym i śmiałbym to samo uczynić,
Gdyby kochanka śmiała mi przewinić.
Jemu niewierną... więc on ją pochował —
Mnie była wierną... jam go zamordował.
Choć śmierć jej była zasłużoną karą,
Lecz jej niewierność była dla mnie wiara,
Bo mnie oddała serce, skarb sieroty,
Jedyny, którym nie rządzą despoty.
Ach, późnom przybył, nie mogłem jej zbawić!
Mogłem jej tylko małą ulgę sprawić —
Mogłem w ślad za nią jej wroga wyprawić.
Jego śmierć lekka, ale jej męczeństwo
Było dla myśli mych takim straszidłem,
Ze wkońcu ludziom i sobie obrzydłem.

„On zginął słusznie, zrzadzeniem wyroków.
On wiedział o tem od swoich proroków,
Których słuch wieszczy śmierć przeczuwa w dali
I słyszy wystrzał wprzód, nim broń wypali;
Zginął wśród bitwy, zgiełku i hałasu,
Bez mak, bez bólu — cierpieć nie miał czasu.

Raz tylko wezwać Mahometa zdołał,
Raz tylko w niebo o pomstę zawołał.
Poznał mnie w tłumie... Lecieliśmy cwałem...
On poległ... Długo nad leżącym stałem
I duszy jego ujęcia pilnowałem.
Konał, jak tygrys, pokłuty od szczwaczy,
Lecz nie czuł tego, co czuję: rozpaczy!
Szukałem w licu sinem, krwią nabieglem,
Znaków boleści: żadnych nie dostrzegłem.
Rysy, śmiertelną okryte ciemnotą,
Jeszcze wściekłością tchnęły — nie zgryzotą.
Cóżbym dał za to, gdybym w jego twarzy
Mógł widzieć rozpacz ginących zbrodniarzy!
Widzieć, jak późna, niedołężna skrucha
Z konającego wywołuje ducha
Zbrodnię — i nie chce zbrodniarza rozgrzeszyć,
Nie może zbawić, a nawet pocieszyć.

* * *

W krainach zimnych i serca są chłodne,
Uczuć prawdziwej miłości niegodne;
W mojem gorącym sercu czucia moje
Wrzały, jak w Etnie płomieniste źródle.
Nie umiem nucić w żalosnych piosenkach
O lubych więzach i okrutnych wdziękach;
Jeśli krwi burza, oczu błyskawica,
Ust nieme drżenie, mieniające się lica,
Serca katownia i głowy szaleństwo,
Śmiałość w zamiarach i w spełnieniu męstwo,
Pierś, chciwa zemsty, dłoń, zbrojna kindżałem,
Wszystko, co czułem i co dokonałem,
Jeśli to znakiem kochania — kochałem!
Nie wiem, co wzdychać i skargi wywierać —
Wiem, jak wzajemność zyskać i umierać.
Umrę — lecz pierwszej rozkoszy użyłem;
Niech, co chce, będzie — szczęśliwy już byłem.
Mamże kląć losom? Jam sprawca mej doli,
Ja chciałem cierpieć, nie zmieniłem woli.
Dziś wróc mi dawne trudy i rozkosze,
Jam gotów znosić, co zniosłem, co znoszę,
Gotów żyć znowu, jakeśmy z nią żyli,
Gotów na wszystko — prócz śmierci Leili!

Życia mojego żałować nie warto —
Żaluję życia, które jej wydarło.
Ona śpi, falami nakryta chłodnemi...
Ach, czemuż grobu nie miała na ziemi!
Czemuż to serce schorzone nie może
Znaleźć i dzielić jej podziemne łożo!
Ach, był to anioł życia i światłości!
Widzę go dotąd, w oczach moich gości,
Kraży wkoło mnie, wabi mnie i nęci,
Moja zaranna jutrzienka pamięci!

Zaiste, miłość jest świętym pozorem,
Iskrą, zatloną w ogniach nieśmiertelnych,
Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.
Pobożność duszę w niebiosą porywa, —
Ale z miłością niebo w duszę wpływa,
Uczucie, które bóstwem zapalamy,
Które wytrawia wszystkie myśli plamy.
Jest to promyczek wszechwórczego słońca,
Korona, duszę wokoło wieńcząca...
Wyznam, że moja miłość była inna:
Była zbyt ziemską, ludzką, nawet gminną.
Jam grzesznik, ojczu, lecz ona niewinna!
Ach, ona była mą gwiazdą polarną!
Zgasła... Któż teraz oświeci noc czarną?
Ach, gdyby jeszcze weszła mi pogodnie,
Wiodła mnie znowu, chociażby na zbrodnie!
Bo cóż dziwnego, że, kto wraz postrada
I całe szczęście i wszystkie nadzieje,
Pokornie głowy pod wyrok nie składa,
Ale klnie losom, i z bólu szaleje,
I w zbrodniach szuka męczarniom ulżenia,
A zwiększa tylko winy i cierpienia?
Ach, serce, chore na wewnętrzne rany,
Nie dba na żaden cios, zewnątrz zadany!
Kto raz spadł z niebios, już się nie nie lęka:
Mniejsza, gdzie spadnie — wie, że wszędzie męka

Widzę, kapłanie, że tobie obrzydłem;
Drżysz i odwracasz oczy, pełne trwogi.
I tegom dożył, żem stał się straszidłem!
Jestem dla ludzi, jako ptak złowrogi!

Prawda, że miałem drapieżność jastrzębia,
Żem latał, niszcząc i lejąc krwi strugi;
Alem się uczył kochać od gołębia —
Umreć, nie znając, co — kochać raz drugi.
Dobrzeby było nieraz ludzi dumnych
Uczyć przykładem ptaków bezrozumnych!
Słowik, co w gajach nuci z wiosny porą,
Łabędź, co zdobi błękitne jezioro,
Małżonkę sobie jedną tylko biorą.
Niechaj trzpiot z licznych miłostek się chwali,
Niech tych wyśmiewa, co w miłości stali,
Niech sobie cacek szuka coraz innych —
Ja mu nie zajrzę tych uciech dziecinnych.
Lecz u mnie człowiek lekki i przewrotny
Mniej wart, niżeli ów łabędź samotny.
Stokroć mniej, niżli nieszczęsna dziewczyna,
Którą, uwiódłszy, zdrajca zapomina.
Nie, ta na sercu mem nie cięży wina!
Leilo! Byłaś myśli moich treścią,
Moją rozkoszą i moją boleścią!
Tyś była cnotą, ty zbrodniami memi,
Nadzieją w niebie — i wszystkim na ziemi!
Tak piękna, jak ty, nie była stworzona,
A jeśli jest gdzie, już nie dla mnie ona...
Nie chciałbym widzieć na ziemi i w niebie
Podobnej tobie — chyba samą siebie!
Życia mojego okropne wypadki,
Łoże śmiertelne przyzywam na świadki,
Że ciebie dotąd kocham, jak kochałem...
Ty jesteś lubym serca mego szaleń!...

I jej nie było — a jam z nią nie zginął!
Żyłem, lecz ból mi oddychać nie dawał;
Waż pierś mą ścisnął, serce me obwinał,
Myśli me kasał i zemstą napawał.
Odtąd świat, cały miałem w obrzydzeniu,
Nie śmiałem zajrzeć w oczy przyrodzeniu;
Na wszystkie jego wdzięki i ozdoby
Padł całun mojej wewnętrznej żaloby.
Reszta, kapłanie, wiesz z mojej powieści,
Wszystkie me grzechy i część mych boleści;
Ale mi nie mów więcej o pokucie!
Już późno! Bliskiej śmierci mam przecucie.

Chociażbym przyjął wiarę objawioną,
Czy ty odrobisz, co już raz zrobiono?
Za łyzy pociechy wdzięczen jestem tobie.
Ksiądz nie pomoże nic w mojej chorobie;
Tajnie mej duszy sam w milczeniu badaj —
Jeśli masz litość nade mną, nie gadaj!
Gdybyś mógł wrócić życie mej Leili,
Jabym pokutę zaczął od tej chwili,
Kupiłbym zaraz i msze i odpusty
I modliłbym się stygnącymi usty ...

Pójdź do jaskini, gdy strzelcy wychwyca
Z gniazda lwie małe, i rozmów się z lwicą,
Spróbuj ukoić jej żalosne jęki!... —
Mojej nie ulżysz — nie rozdrażniaj męki!

* * *

„W młodości latach, w szczęśliwych godzinach,
Gdym lubił dzielić smutki i wesela,
W mojej ojczyzny kwitnących dolinach
Miałem — czy mam go dotąd? — przyjaciela.
Daj mu ten pierścień! Przysięgliśmy na nim
Wspomnieć o sobie choć raz przed skonaniem.
Wiem, że mnie kochał; chcę, by się dowiedział
O moim zgonie. On mi przepowiedział...
Dziwno! On wzrokiem przeniknął proroczym —
Przed laty — wszystko, co ma ze mną stać się;
Śmiałem się — wtenczas mogłem jeszcze śmiać się —
Gdy on ostrzegał, nie pamiętam, o czym.
Lecz teraz myślą wyzywam na nowo
Wzgardzone niegdyś każde jego słowo.
Powiedz, że zgadnął... Będzie mu niemiło,
Że się proroctwo tak na mnie spełniło;
Powiedz, że chociaż w tym wieku namiętnym,
Gdyśmy wesołe przeegrali chwile,
Lecąc pospołu w niebezpieczeństw tyle,
Wtenczas bywałem często niepamiętnym
I roztargnionym, może obojętnym —
Powiedz, że dzisiaj językiem zdrętwiałym
Za jego szczęście pomodlić się chciałem.
Ale cóż taka modlitwa pomaga,
Gdy winowajca za niewinnym błaga? —

Przed ludźmi niech on sławy mej nie broni:
On, wiem, że dobry — przebaczy, a oni ..
Niech, co chcą, mówią!... Sława? Cóż mi po niej!
Nie będę prosił, aby zgonu mego
Nie opłakiwał — nie jestem tak dumny;
Nie masz piękniejszej ozdoby dla trumny,
Jak łza żalosna brata kochanego.
Pierścień ten, niech go z rąk twoich otrzyma,
Wręcz mu i opisz, coś miał przed oczyma:
Ciało uwiędłe, duszę zagaszoną,
Łódź, falą uczuć na step wyrzuconą,
Zwój pism zatarty, liść, z dalekiej strony
Wichrem przygnany i mrozem zwarzony..."

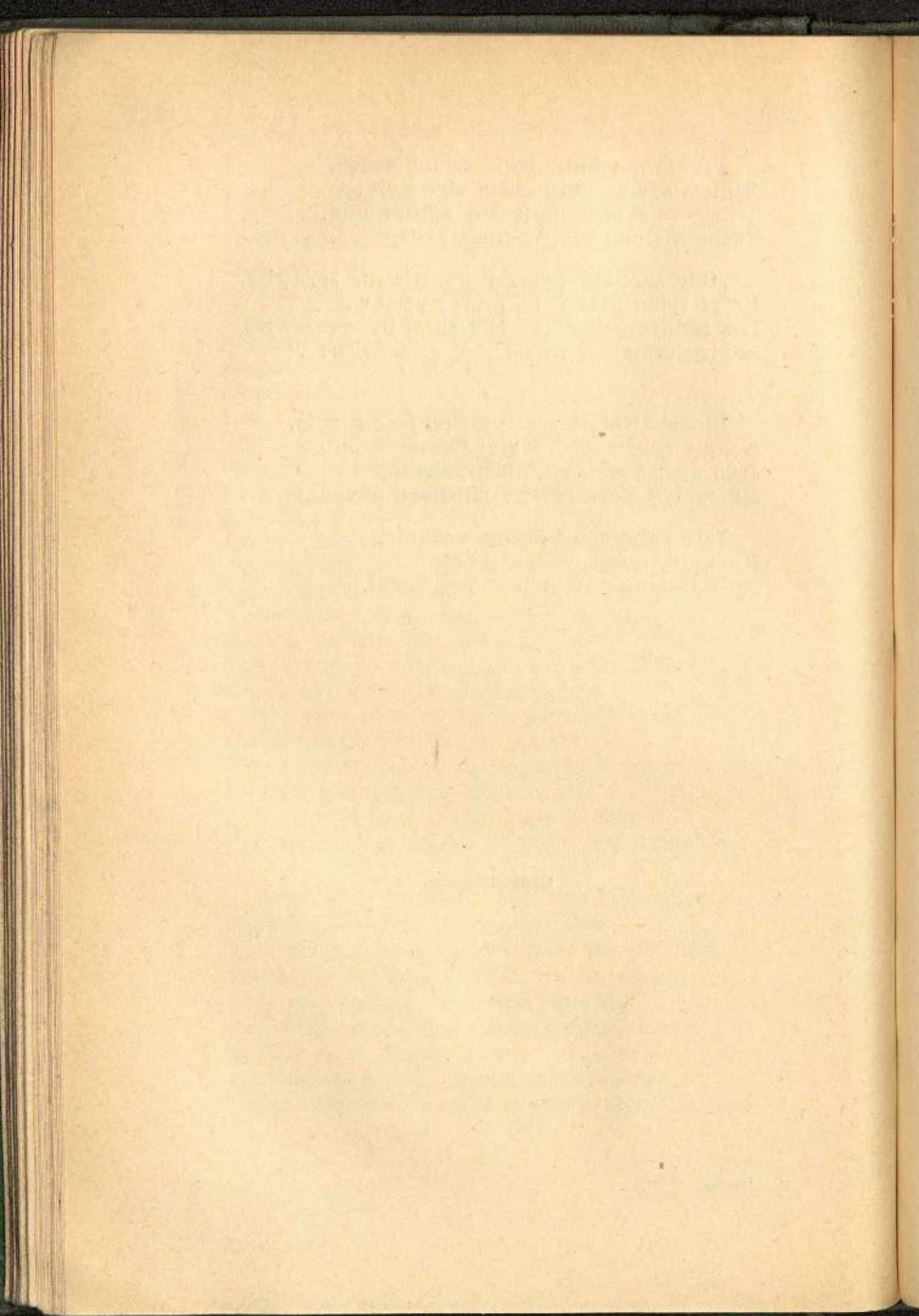
*

Tylko mi nie mów o snu przywidzeniach!...
Nie! To, mój ojcie, nie było w marzeniach!
Kto marzy, ten śpi; ja wtenczas nie spałem,
Ja teraz nie śpię — i zapłakać chciałem,
Ale nie mogłem. Żrenica, łez głodna,
Czułem, że była wysechła aż do dna —
Chciałem wydobyć z niej łzę, łzę jedyną...
Byłaby dziwną i miłą nowiną...
Chciałem i teraz chcę, lecz rozpacz wzbrania,
Rozpacz, silniejsza, niżli chęć płakania!
Nie mów pacierzy — w skutek ich nie wierzę:
Silniejsza rozpacz, niż twoje pacierze.
Zbawienia nie wart jestem i nie żądam;
Nie raj, ale spoczynku wyglądam.

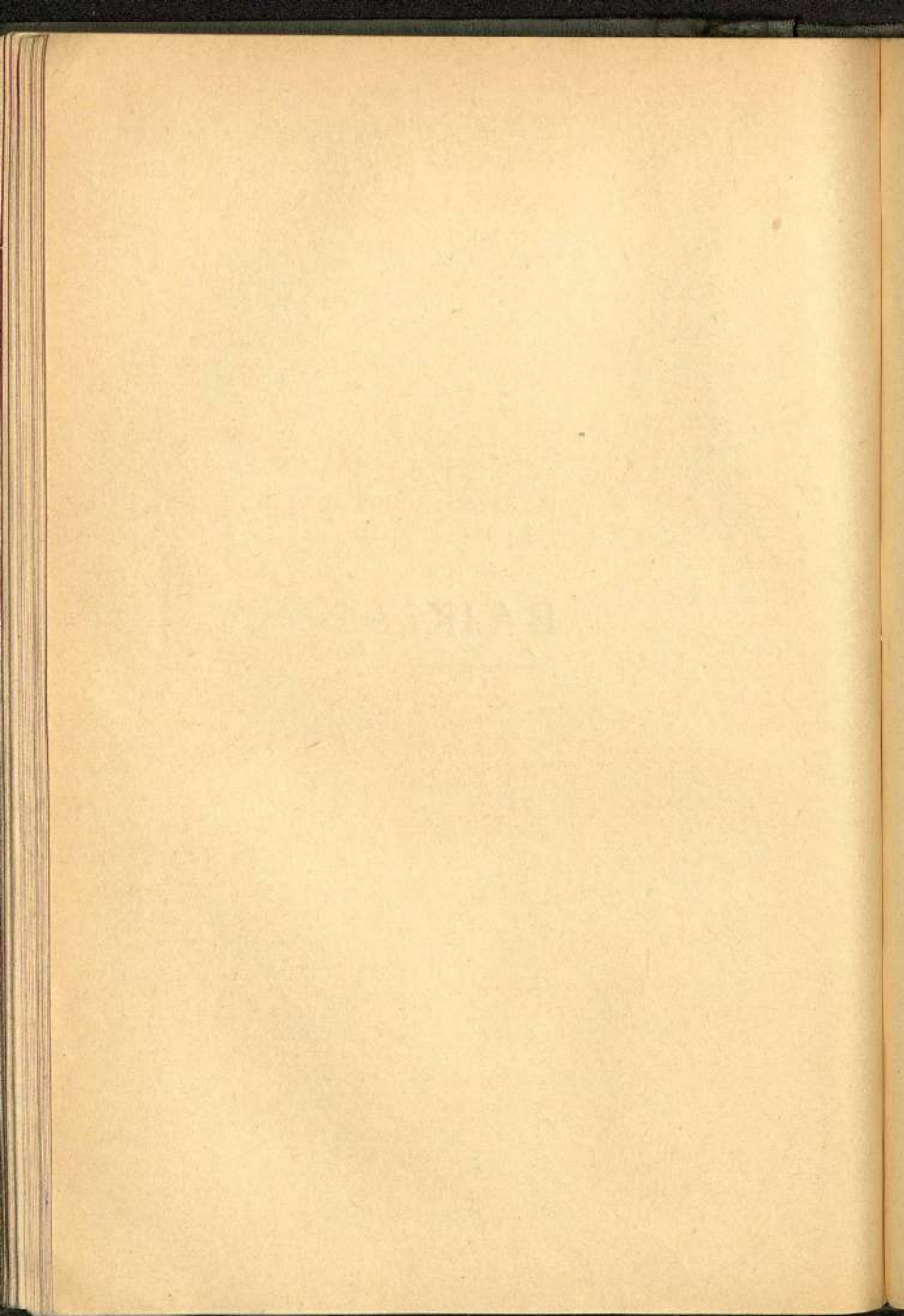
Wtenczas widziałem, ojcie — tak, tu była!
Widziałem dobrze... Powstała — odżyła!
Białą świecącą obwiana symarą,
Jak widzę, teraz, tam, nad falą szarą,
Gwiazdę, błyszczącą przez obłok zachodni —
Ona świeciła jaśniej i łagodniej!
Dziś gwiazda świeci słabiej i tajemniej,
Jutro, wieczorem wniwdzie jeszcze ciemniej;
Ja, nim doczekam jej promieni drżących,
Nieczuła bryła i postrach żyjących,
Ja umrę ojcie. . Już, kończąc cierpienie,
Zbiera się dusza w ostatnie westchnienie...

Tu ją widziałem, ojczy, i powstałem,
I wszystkich naszych nieszczęść zapomniałem,
I porwałem się z łoża, i objąłem —
I cóż do mego serca przycisnąłem?
Cień był w objęciu bez tchu i bez życia!
Sercem nie czułem wzajemnego bicia!
Lecz to Leila, to jej postać była!
Kochanko moja, jak się ty zmieniła!
Spojrzałaś tylko, słowa nie wyrzekłaś,
Byłaś tak blisko — i z rąk mi uciekłaś...
Lecz, choć tak zimna, tak dla mnie zmieniona,
Obym się tylko przycisnął do łona —
Całe me szczęście objąlbym w ramiona!...
Niestety, marę objąłem ulotną!
Ręce opadły na mą pierś samotną...
Lecz — patrz! — To ona! To jej szata długa,
Jej ręka śnieżna! Patrz, jak na mnie mruga
Tem czarnem okiem!... Włosy rozpostarła...
Nie — jam nie wierzył — ona nie umarła!
Ale on umarł! Jam go sam obalił,
Jam go pochował, kamieniem przywalił...
On tu nie wróci, bo ciężka mogiła
Ciśnie go z góry... Ty — pociś wróciła?
Oni mówili, że ta twarz, jak zorze,
Ta postać śliczna — już zapadła w morze,
I że się nad nią fala szumna leje!...
Rybacy mówią... Szkaradne to dzieje!...
Chciałbym powiedzieć — język mi trętwieje...

Ach! Jeśli prawda, że ty wyszłaś z morza
Szukać dla siebie spokojnego łoża —
Ach, przesun mokrą dłoń przez me powieki,
Niech już ostygną, zamkną się na wieki,
Lub rękę połóż na me serce wdowie!
Czy ciebie mara czy duchem świat zowie,
Zostań — oświecać chorego wezglowie!...
Odchodząc, weźmij z sobą mego ducha!
Potem niech wyje szturm, niech morze bucha!



BAJKI.



PIES I WILK.

Z LAFONTAINA.

Jeden, bardzo mizerny, wilk — skóra a kości! —
Myszkując po zamrozkach, kiedy w łapy dmucha,
Zdybie przypadkiem brysia jegomości,
Bernadyńskiego karku, sędziowskiego brzucha;
Sierść na nim błyszczący, gdyby szmelcowana,
Podgarle tłuste, zwisłe po kolana.

— A, witaj, panie kumie! Witaj, panie brychu!
Już od lat kopy o was ni widu, ni slychu!
Wtedyś był mały kondlik, ale kto nie z postem,
Prędko zmienia figurę! Jakże służy zdrowie?!”
— „Niczego“ — brysio odpowie,
I za grzeczność kiwnął chwostem.
— „Oj, oj!... Niczego! Widać ze wzrostu i tuszy!
Co to za łeb, mój Boże! Choć walić obuchem!
A kark jaki! A brzuch jaki!
Brzuch — niech mnie porwą sobaki,
Jeżeli, uczciwszy uszy,
Wieprza widziałem kiedy z takim brzuchem!”
— „Żartuj zdrów, kumie wilku! Lecz, mówiąc bez żartu,
Jeżeli chcesz, możesz sobie równie wypchać boki”.
— „A to jak, kiedyś łaskaw?” — „Ot tak: bez odwłoki
Bory i nory oddawszy czartu,
I łajdackich po polu wyrzekłszy się świstań.
Idź między ludzi — i na służbę przystań!”
— „Lecz w tej służbie co robić?” — wilk znowu zapyta.
— „Co robić?... Dziecko jesteś! Służba wyśmienita!
Ot jedno z drugiem: nic a nic!
Dziedzińca pilnować granic,
Przybycie gości szczekaniem głosić,
Na dziada warknąć, żyda potarmosić,

Panom pochlebiać ukłonem,
 Sługom wachlować ogonem.
 A za toż, bracie, niczego nie braknie!
 Od panów, paniątek, dziewczynek
 Okruszyn, kostek, polewek —
 Słowem, czego dusza łaknie“.
 Pies mówił, a wilk słuchał uchem, gębą, nosem;
 Nie stracił słówka, polknął dyskurs cały
 I, nad smacznej przyszłości medytując losem,
 Już obiecane wietrzył specyaly!
 Wtem patrzy... „A to co?“ — „Gdzie?“ — „Ot, tu, na karku“.
 — „Eh, błazeństwo!...“ — „Cóż przecie?“ — „Oto widzisz,
 troszkę
 Przyczესano... bo na noc kładą mi obrożkę,
 Ażebym lepiej pilnował folwarku!
 — „Czy tak? Pięknaś wiadomość schował na ostatku!“
 — „I cóż, wilku, nie idziesz?“ — „Co nie, to nie, bratku!
 Lepszy w wolności kęsek ładajaki,
 Niżli w nieweli przysmaki“.
 Rzekł, i drapnawszy, co miał skoku w łapie,
 Aż dotąd drapie!

Okolo 1822.

ŁUDZIE NA CZYSTYM POLU...

Ludzie na czystym polu stawili dom nowy —
 Opodał z ropuchami klóciły się sowy.
 Rzekła sowa: „To dla mnie budują pokoje“.
 A ropucha ziewnęła: „Moje to są, moje“.
 Rzekł człowiek: „Sowy dotąd żyły w rozwalinach,
 A ropuchy w pogniłych ścianach i szczelinach;
 My budujem podłogę czystą i dach nowy —
 A gdzież tam będzie miejsce dla żab i dla sowy?“

ŻABY I ICH KRÓLE.

Rzeczpospolita żabska wodami i łądem
 Szerzyła się od wieku, a stała nierządem.
 Tam każda obywatelka,
 Mała, czy wielka,
 Gdzie chciała, mogła skakać,
 Karmić się i ikrzyć.
 Ten zbytek swobod wkońcu zaczynał się przykrzyć.

Zauważyły, że sąsiednie państwa
Używają pod królmi rządowego poddaństwa:
Że lew panem czworonogów,
Orzeł nad ptaki,
U pszczoł jest królowa ula —
A więc w krzyk do Jowisza:
„Królu, ojcze bogów,
Dajże i nam króla, króla!”

Powolny Bóg wszechzabstwu na króla użył
Małego, jak Łokietek, Kija Kijowicza.
Spadł Kij i pluskiem wszemu obwieścił się błotu.
Struchlały żaby na ten majestat łoskotu —
Milczą dzień i noc, ledwie śmiejąc dychać.
Nazajutrz jedna drugiej pytają: „Co sływać?
Czy niema co od króla?” Aż śmielsze i starsze
Ruszają przed oblicze stawić się monarsze.
Zrazu zdala, w bojaźni, by się nie narazić —
Potem, przemógłszy te strachy,
Brat za brat z królem biorą się pod pachy
I zaczynają na kark mu włożyć.
„Toż to taki ma być król?... Najjaśniejszy Bela!
Niewiele z niego będziem mieć wesela:
Król, co po karku bezkarnie go gładzim!
Niechaj nam abdykuje zaraz niedolega!
Potrzebna jest nam władza, ale władza tęga!”

Bóg, gdy ta nowa skarga żab niebo przebija,
Zdegradował króla Kija,
A zamianował węża królem żabim.
Ten pelzacz, pływacz i biegacz,
Podśluchiwać i dostrzegacz,
Wszędzie wżera: pod wodę, pod kamienie, pod pnie,
Wszędzie szuka nadużyć i karze okropnie.
Arystokracja najprzód gryziona jest żabią,
Że się nadyma i zbyt się utłuszcza —
Gryziony potem chudy lud, że nie zarabia,
I że się na dno biedy opuszcza —
Gryzione są krzykacze, że wrzeszczą namiętnie,
Gryzieni cisi, że śmiać siedzieć obojętnie.

Tak, gryząc je swobodnie, wąż do dziś dnia hula,
A Rzeczpospolita żabia bolesnemi skwierki
Do dziś dnia woła o innego Króla,
Lecz Bóg nie chce się więcej mieszać w jej rozterki.

CHŁOP I ŻMIJA.

Z LAFONTAINA.

W pamiętnikach bestjograficznych Ezopa
Jest wzmianka o uczynku miłosiernym chłopie
I o pewnego węża postępku lajdackim.

Chłop wyszedł zimnym rankiem po chrośniak do sadu,
Aż tu pod bramą wąż mu do nóg pada plackiem:
Przeziębły, wpół skostniały, przysypyany szronem,
Już zdychał, już ostatni raz kiwnął ogonem.
Chłop zlitował się nad tą mizeryą gadu,
Wziął go za ogon, niesie nazad w chatę,

Kładzie go na przypiecku,
Podściela mu kożuszek, jak własnemu dziecku,
(Nie wiedząc, jaką weźmie od gościa zapłatę)

Póty dmucha, póty chucha,
Aż w nieboszczyku dobudził się ducha.
Nieboszczyk wąż, jak ożył, tak się wnet nasrożył:
Rozkręcił się, do góry wyprężył się, syknął
I całym sobą w chłopą się wycela.

W swojego dobrodzieja, w swego zbawiciela
„A to co się ma znaczyć? — zdziwiony chłop krzyknął. —
To ty w nagrodę dobrego czynu

Jeszcze chcesz mnie ukąsić? A ty żmii synu!”
I wnet, porwawszy dubasa.

Tnie węża raz pod ucho, drugi raz w pół pasa.
Odleciał ogon w jeden, a pysk w drugi kątek,
Rozpadło się żmiiśko na troje żmijątek...

Darmo drgają

I biegają

Ogon za szyją, za ogonem szyja:

Już nie zmartwychwstanie żmija.

Przytrafia się to często, że dobry człek jaki
Niewdzięcznika przygarnie —
Ale trafia się częściej, że niewdzięcznik taki
Przepada marnie.

OSIOŁ I PIES.

„Jeżeli chcesz, ośle, by pies kochał ciebie,
Kochajże ty psa“ — słowa są Lokmana.
Rozumiał je nasz osioł, boć już nie był źrebie,
Ale z nich drwił. Ta lekkość jak była skarana.
Opowiem dla was, bydłat potomnych, nauki.

Ten osioł, nosząc, jak zazwyczaj, juki,
Szedł w ślad za panem, a za nimi z tyłu,
Mający nad jukami i bydłkiem dozór,
Ledwie widny w kłębach pyłu,
Biegł pies, wywiesiwszy ozór.
Bogdaj takich dozerców! Przez drogi czas wszytek
Nie tknął się swego podwładnego lytek;
Owszem, bawiąc go, to z boku harcuje,
To się naprzód wysforuje,
Ogonem wciąż dla zachętu
Krętu — wētu...
Szli tak aż do południa.
Pan na skwar narzekał,
Siadł pod drzewem i zasnął.
Tegoć osioł czekał.
Obejrzał się, naprzód darń przy drodze siekał,
Potem postrzygać zaczął czubek miedzy —
Nakonec, przez rów, hopsa!
Widzi się w łące,
Jakoś mimo wiedzy.
Nie znalazłci tam przysmaków,
Chwastowiska ni bodziaków,
Lecz koniczyny do pasa.

„Będziesz się miała z pyszna!
Tylko ty, człowiecze,
Zmiłuj się, śpij!“ Tak westchnął i siecze a siecze.
Psu oskoma i pokusa:
„Mój osłosiu, od rana jestem na czczo, mdli mię;
Ty masz wędzonkę w jukach, aż stąd czuć po dymie —
Pozwól, że dam jej całusa!
Wiesz, jak zrobim? Ja stanę na łapy dębkiem.
A ty przykleknij na jedno kolano“.
Nasz egoista, jakby do muru gadano,
Siecze a żuje, milcząc. Aż wreszcie półgębkiem,
Wypchanym koniczyną: „Co się tu wałęsasz?

Poszedłbyś, psie, do nogi! Jak jegomość wstanie,
 Da ci się śniadanie".
 Odpowiedzi nie czekał
 I obuszczał znowu
 Tak zarwał trawy,
 Że aż wygryzł w ziemi dołek,
 Klnąc psa, że mu przeszkadza.
 Wtem, nagle, z za rowu,
 Błysnął ku niemu parą krwawych świec wilkolek,
 Biorąc go na cel i na tuj.
 Wtedy do psa: „Bracie, broń, ciuciu, na, tu, ratuj!”
 A pies: „Ja nie twój Ratuj, ani twój pan Broniec,
 Nie wrzeszcz i łaki nie tratuj,
 Czekaj, aż jegomość wstanie
 Na waści obronienie i poratowanie”.
 W tejże chwili wilk osła dorzwał.
 Ot i koniec.

KOMAR, NIEWIELKIE LICHÓ...

Komar, niewielkie lichó, lecz bardzo czupurne,
 Wyciągnawszy pyszczyk i skrzydła poczwórne
 I żądelko, krwi chciwe, latał ponad śpiącym
 I: „Krwi, krwi, krwi!” wołał głosem bzykającym.
 „Drżyj, człowieku! Wybiła ostatnia godzina!
 Jestem Marat owadów, lotna gilotyna”.
 Aż przebudził się człowiek; czatował po głosie
 I za pierwszym ukluciem — paf, zabił na nosie.
 Szedł z nieboszczykiem w okno, nie mógł znaleźć śladów
 Tej lotnej gilotyny, Marata owadów.
 Człowiek, gniotąc go w palcach: „Nie budź śpiących, bracie,
 Atomie terroryzmu, owadów Maracie!
 Kiedyś tak małe lichó, nie rób tyle krzyku,
 A, kiedy chcesz ukąsić, kąsajże bez bzyku!
 Jeśli ci krwi potrzeba, gdzie chcesz, nos mi wtykaj —
 Tylko, kiedyś tak mały, kąsaj, a nie bzykaj!”

TRÓJKA KONI.

Z poetów Litwy tylko jeden bard Antoni
 Miał trójkę koni.

Pamięć ich na ówczesnym została Parnasie
Tak żywa, że dziś mógłbym zrobić ich rysopis.
Nie dziw tedy, że, gdy się wczoraj rozgadało
O dawnych rzeczach i o owym czasie,
Zapytałem: „Co się też z temi końmi stało?”
Na to mi odpowiedział w te słowa Bajkopis:

W przeznaczeniach tych koni była jakaś tajnia.
Postawiono je razem na obroku,
A po roku
Jeden drugiego nie mógł znieść ani widoku.
Chociaż żłób długi i przestronna stajnia —
Wszędzie im ciasno, wieczne parskania i bitki.
Musiałem w końcu sprzedać każdego z osobna.
Ale cóż stąd? Wyroku zmienić niepodobna:
Znowu je kacap jakiś sprzął do swej kibitki!
Ledwie z miejsca, natychmiast wszystkie się ofukły.
„Ej, wy, chochołskorodzie! — rżał Lezgin wysmukły —
Nie biesuj! Wiedz, że sobie nie dam plwać w wędzidło!”
A Mazur: „Wej, ciarachy! Dyć i my nie bydło;
Nie targajta, bo żgniema, że będzieta chramać!”
Na to kozak, pieniąc się: „Ciszej, ty, lachska mać,
I ty, muzyku! Niechno staniemy przy żłobie,
Oj, dam ja wam!” A on: „Oj, damyż my tobie!”
Nuż wierzgać jak w najlepsze. A kacap do bicza,
Jak utnie z całej ręki w bok Chochołowicza,
Potem z kolei raz wraz po Lezgu, po Chłopie:
Nie było czasu brykać. Rwą w pełnym galopie
Trzy mile ukraińskie ku pocztowej szopie,
Szczęśliwie, że tam wreszcie, zatrzymawszy sanki,
Kacap dał im odetchnąć i wyspał trzęsianki.
Jadły razem, o kłótniach nie było i wzmianki.
I tak sekret tych koni odkrył się przed światem:
Kłóca się nad obrokiem, godzą się pod batem.
1832.

TCHÓRZ NA WYBORACH.

Po owej porażce zwierząt
Wszczął się w ich armji nierząd.
Zwołana wojenna rada —
Z rady zwada:

Każdy każdemu się żali,
Każdy przed każdym się chwali
I każdy winę na każdego wali;
Tchórzowi tylko wszyscy pokój dali.

Obywatel tchórz w rządzie nie zasiadał
Ani wojskowo nie służył,
Więc w politycznem życiu się nie zużył.
Ufny w niepokalaną swą przeszłość, tak gadał:
„Obywatele! Czas jest przystąpić do kwestji:
Czemu przypiszę klęski tej kampanji?
Czy, że na wodza brak nam zdolnej bestji?
Nie! Ale my ulegli przesądów tyranji!
Grzesznym przodków obyczajem
Nie tym buławę oddaję,
Których zasługa i talent wyniosą,
Ale tylko mamy w cenie:
Ci drapieżne urodzenie,
Tamci rogate znaczenie,
A owi socyalne tłuste położenie.
Otóż dowódcy nasi, przypatrzcie się, kto są?
Lew prezes, istny pańskich ideał nałógów —
Radca żubr, już dziad, ledwie goni resztą rogów;
Niedźwiedź mruk, niechno stanie przed wojskiem: co powie?
Z lamparta byłoby coś, ale mu pstro w głowie;
Że pułkownik wilk sławny, toć tylko z rabunków
I z procesu, co zrobił owemu jagniątku —
A o kwatermistrzu lisie
Lepiej przemilczeć zda mi się.
Niżli zazierać do jego rachunków:
Sam się nie tai, że skory do wziętku.
Pominiemy odyńca; pan ten tylko pragnie
Skarbić żołędzie i spoczywać w bagnie,
Przywykleszy doń, niż do marsowego kurzu.
Co się zaś tyczy osła, ten był i jest błaznem“.

Gdy tchórz tak gadał, rada, wrac entuzjazmem,
Gotowa za krasomowstwo,
Dać mu naczelne wodzostwo,
Odezwała się nagle w jeden głos: „Żyj, tchórz!“
On, stropion krzykiem tym wśród perory,
Zmieszal się, owszem, dał czuć najwyraźniej,
Że był w gwałtownej bojaźni.
Dopiero rozruch. „Precz z nim! Pfe, tchórz, a do nory!“

Szczęściem, tuż była. Wśród sarkau i śmiechu
Wpadł w nią i rył bez oddechu —
Aż gdy na sażeń czuł się pod podwórzem,
Rzekł do siebie z ironją czystego sumienia:
„Ot, proszę, co też to jest przesąd urodzenia!
Obranoby mnie wodzem, żebym nie był tchórzem“.
1832.

PCHŁA I RABIN.

Pewny rabin, w talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; wkońcu się obruszy,
Dalej czatować... Złowił. Siedzi, przycięnięta,
Kręci się, wyciągając główkę i nożęta:
„Daruj, rabi! Mądremu nie godzi się gniewać!
Potomkowi Lewitów możnaż krew przelewać?“
„Krew za krew! — wrzasnął rabin — Beliala płodzie!
Filistynko na cudzej wytuczona szkodzie!
Mrówki mają swój śpichlerz — pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje —
Ty się jedna wśród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko, tem szkodliwsza, iż cudze wypijasz“.
Zakończył, i gdy więźnia bez litości diabli,
Pchła, konając, pisała: „A czem żyje rabi?“

DZWON I DZWONKI.

Dzwonki razu jednego świegotały z wieży
Do dzwona, który w piasku pod kościołem leży:
„Widzisz, bracie, choć mniejsi, jak śpiewać umiemy;
Cóż tobie po wielkości, gdyś głuchy i niemy?“
„O, głośni braciszkwie! — dzwon smutny zaszeptał:
Dziękujcie plebanowi, że mię w piasek wdeptał!“

PRZYJACIELE.

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka, Leszek.
Z tych, co to: gdzie ty, tam ja — co moje, to twoje.
Mówiono o nich, że, gdy znaleźli orzeszek,
Ziarno dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono niewiele:
Rzekłbyś — dwójduch w jednym ciełe.

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czule mowy
Do kukań zozul i krakań gawronich —
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb — nuż po pniu skakać, jak dzięciołek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!”
Kum już wylaź na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz — a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło, maca: jak trup, leży;
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc, mruknawszy, ze wzgardą odwraca się w knieję,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.

Dopieroż Mieszek odżył... „Było z tobą krucho!
— Woła kum. — Szczęście, Mieszku, że cię nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?”
„Powiedział mi — rzekł Mieszek — przysłowie niedźwiedzie,
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie”.

1829.

ZAJĄC I ŻABA.

Z LAFONTAINA.

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,
Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,
Teraz podupadł na nogach.
Poczuł, że się źle z nim skończy,
Więc jęknął z głębi serca: „Ach, niemasz pod słońcem
Lichszego powołania, jak zostać zającem,
Co mię w dzień pies, lis, konik, kania
I wrona
Nawet i ona,
Jak chce, tak gania!
A w noc, gdy drzemię, oko się nie zmruża,
Bo: lada komar bzyknie przez siatki pajęczę,
Wnet drży me serce zające,
Tchórzac tchórzliwiej od tchórza.
Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem,
Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.

Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiośnianych kolebko!
Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko,
Pożegnalnemi łzami dozwólcie się skropić!
Oznajmuję wszem wobec, że idę się topić!"

Tak z płaczem, gdy do stawu zwraca skoki słabe,
Po drodze stąpił na żabę.
Ta mu, jak raca, drgnąwszy, z pod nóg szusła
I z góry na łeb w staw plusła.
A zając rzekł do siebie: „Niech nikt nie narzeka,
Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórze stoi;
Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka,
I swojego zająca, którego się boi".
1829.

KOZA, KOZKA I WILK.

Z LAFONTAINA.

Sąsiadka koza, ta, co to rozwódka
Z rodu Ostrorożanka, a tak rzeżka czołem,
Że umie łeb za łeb rozmówić się z wołem
I nie da lada wilku brać się do podbródka,
Wczoraj, w las idąc zbierać na domu potrzebę
Rokitę czy lipią skórę,
Na gospodarstwie zostawiła córkę,
Której jest na imię Bebe.
A że młodym osobom pod niebytność matki
Rozliczne grozą przypadki,
Nakazuje dziecku srogo:
„Nie ruszać mi za próg nogą
I nie przyjmować nikogo, nikogo!
Jest tu wilk w okolicy; mam go w podejrzeniu,
Że zamysła o czym brzydkim;
Pilnujże drzwi, aż wrócę i dam znak kopytkiem,
Wołając cię po imieniu:
„Bebel!" Lepiej, że zgrzeszym ostrożności zbytkiem,
Niż, gdyby miało kiedy być przysłowiem trzodzie:
Mądra koza po szkodzie".

O wilku mówiono w izbie,
A wilk tuż siedział na przyźbie;
Podśluchał. Matka z domu, a on wnet do córki:
Stuk i puk — we drzwi komórki.
Wilk zwykle wyciem łaje albo grozi,

Lecz, gdy prosić ma potrzebę
 Nieżle udaje śpiew kozi;
 Więc, jako mógł najkoziej, odezwał się: „Bebe!
 Otwórz!” A kózka na to: „Przepraszam, nie można.
 Mamy niemasz, jestem sama”.
 On znowu: „Bebe, otwórz, to ja, mama!”
 Na to znów kózka ostrożna:
 „Głos wprowadzie matczyn, ale, czyś ty matka,
 Jak mogę wiedzieć, gdy zamknięta klatka?
 Podejdźże tu i przez to pod progiem korytk’
 Pokaż mi na znak kopytko”.

Wilk odszedł, kląąc Bebę i mać jej z ruska brzydko.

Ta bajka jest po całym świecie znana z treści:
 Lecz, żeby ją dać poznać polskiej płci niewieściej,
 Udawajmy, że wzięta z francuskiej powieści.
 1830.

KRÓL CHORY I LISY.

„Na ukaz Jego Lwiej Mości,
 Dany do nas (z Jaskiniewska
 Zbójskiego, gdzie dla słabości
 Zdrowia ma Jego Królewska
 Mość pobyt) do gabinetu
 Ministrów, My, z ich kompletu,
 Zamianowani być przy Nim
 Na służbie, wiadomo czynim:
 Po pierwsze: Z obywatelstwa
 Drapieżnego, tudzież stanu
 Bydlego, wybrać poselstwa
 Z tem, iżby, wskutek uchwały
 Powiatów, one udaly
 Się Najjaśniejszemu Panu
 Życzyć w najpoddańszy sposób
 Co jak najdłuższego życia.
 Powtóre: Posłów brać z osób,
 Zaszczytnie nam znanych z tycia.
 Dan — rezydencja letnia
 Jaskiniewsk, 1-go kwietnia.
 Przyczem, Ministra rozkazem,
 Postanowiono zarazem:

Posłom z ich towarzyszami,
W tej podróży nadzwyczajnej,
Kazał jechać z paszportami
Z Lwiej Kancelarji Tajnej;
Zaczem niech się nikt nie waży
Ani z policyjnej straży,
Ani nawet z dygnitarzy,
Posła ukąsić lub drapnąć,
A tem mniej w pół drogi capnąć“.

Na ten rozkaz ode dworu
Baraństwo, tudzież stań ośli,
Pierwsi sejmikować pośli;
Pilnując się onych toru,
Wszyscy inni z pół i z borów
Zgromadzić się mają dzisiaj;
Tylko jedna gielda lisia
Wstrzymuje się od wyborów.
Skądże im ta taktyka i co jej powodem?
Wydał to jeden stary urzędnik, lis rodem.
„Uważam, rzekł, dawno trop wszelkiego zwierza
Przed i za Jaskiniewskiem; upewniam was o tem,
Że pełno zewsząd śladów ku monarsze zmierza,
Ale żadnego nie widać z powrotem“.

1831.

LIS I KOZIEŁ.

Już był w ogródku, już witał się z gaską —
Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
Gdzie wodę zbierano.
Ani pomyśleć o wyskoczeniu:
Chociaż wody nie było i nawet nie grzązko —
Studnia na półczwarta łokcia;
Za wysokie progi
Na lisie nogi.
Zrąb tak gładki, że nigdzie nie wcibić paznogcia.
Postaw się teraz w tego lisa położeniu!
Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy,
Wołając gromu, ażeby go dobił —
Nasz lis takich głupstw nie robił

Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.
Zaczem maca wkoło zębem,
A patrzy w górę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije;
Cmoka mocno, głośno chlepcę
I tak sam do siebie szeptem:
„Oto mi woda! Takiej nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu splukać,
Ale mi ją szkoda zbrukać...
Szkoda!
Bo co też to za woda!“
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
„Ej! — krzyknął z góry — ej, ty, ryzykudła,
Wara od źródła!“
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi
A z rogów na zrąb — i w nogi.

GOLONO, STRYŻONO.

U nas, kto jest niby chory,
Zwołuje zaraz doktory —
Lecz, czując się bardzo słaby,
Prosi chłopca albo baby.
Ci ze swego aptekarstwa
Potrafią i podagrze
I chiragrze i głuchotom
I suchotom i głupotom
Radzić — a i u nich wszakże
Niemasz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza.
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się w tydzień potem.
Ledwie poznał, że to ona,
Bo była wpół ogolona.

„O zbóje! Żeby ją skryli,
Używając takich figli,
Że biedaczkę wygolili!...”
„Powiedz raczej, że ostrzygli
— Robi mu uwagę żona —
Bo psów nie gola, lecz strzygą”.
„A no, patrzajcież bo mi go,
— Odezwie Mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe, jak pięść, lice,
Chcesz nauczać nas, pod wąsem,
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan, co mu łysina
Prześwieca się, jak ta psina,
Myślisz, że jest postrzyżona?...”
„A wąsiki ekonoma
— Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą, jak u sosny,
A błyszczą, jak namaszczone,
Sąć golone czy strzyżone?...”
„Bierz ci lichu twego pana
I pana i ekonoma!
Dobrze, że suka jest doma,
Choć też szpetnie ogolona”.
„Toć i jam się ucieszyła
— Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła,
Choć też szpetnie ostrzyżona”.
„Głupiaś z twemi nożycami!”
„I ty z twojemi brzytwami!...”
„Że golona — przypatrzże się!”
„Że strzyżona — pokaże się!...”

Tak się kłóć mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega:
— „Ogolona!” „Ostrzyżona!”

Idzie sąsiad: „Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona!”
Idzie żyd: „Powiedz-no, żydzie,
Czy golona, czy strzyżona?”
Od żyda aż do plebana,

Od plebana aż do pana,
Sprawa zapieczętowana;
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził:
Że wygrała męska strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony —
Po drodze chłop pyta żony,
Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy, jak zakłęta.
U progu suka ich wita:
„Pójdź tu, moja ogolona!” —
Woła mąż. A kobieta:
„Pójdź tu, moja ostrzyżona!”

Mazur, wściekły, już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał,
Tylko, wziawszy pod rękawki,
Wlecze ją wprost do sadzawki
I topi, jak kadź ogórków.
Ona, nienawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz —
On, trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: „A no, teraz:
Czy golona, czy strzyżona?”
Biedaczka, ze śmiercią w walce,
Czując skonu paralizę,
Wytknęła tylko dwa palce
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok uciekł z wody.
Ona poszła do gospody —
On się puścił aż do Zgierza
I tam przystał za żołnierza.

ŻONA UPARTA.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże
Nad rzeką. Niechno człowiek się pokaże,
Co na afisze nie patrzy
I od korzenników bladszy,

Niedbale utrzewiczony
I źle urękawiczony —
Myślą, że się chce topić;
A więc, pełni zgrozy,
Ratują go od śmierci, a wiedą do kozy.

Taki to jakiś po Sekwany brzegu
Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go w biegu
I urzędownie pyta o powody
Tego biegu przeciw wody.

„Nieszczęście! — woła biedak — Pomocy! Ratunku!
Żona mi utonęła! Żona, iż tak rzekę,
Wpadła mi w rzekę“.

A na to żandarm mu rzecze:

„O, praw hydrauliki nieświadom człowieczet
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku.
Ono z góry w dół płynie wedle praw przyrody,
A ty za żoną biegniesz przeciw wody!“

„Boć to ciało — rzekł szukacz — było w życiu dziwne,
Zawždy wszystkiemu przeciwne —
I domyslać się mam pewne powody,
Że popłynęło z rzeką przeciw wody“.

KRÓL BOBO I KRÓLEWNA LALA.

URYWEK.

Za czarnem i sinem morzem był kraj, zbyt cudny,
Obfity w łąki i w maki, rybny i ludny —
A panował tam król Bobo, wielki wojownik,
A nie dosyć, że wojownik, lecz i czarownik.
Szanowali go poddani i króle bliskie
I najdalsi monarchowie i kraje wszystkie.
Więc król Bobo w sławie jaśniał, w skarby opływał,
Wszelkiego Bożego dobra wesół używał,
Nie nie robiąc, wcześniej chodząc spać, późno wstając,
Całe dni polując, pijąc, tańcząc, hulając,
Od jednych do drugich swych ziem przejeżdżając.
Pałaców trzysta sześćdziesiąt sześć wybudował,
By każdego dnia w pałacu innym nocował —
Słowem, od początku świata do owej doby,
Nie było na świecie pewnie żadnej osoby,
Ani też będzie, szczęśliwszej od króla Boby.

Męskiego potomstwa nie miał król Bobo wcale,
Tylko jedną miał córeczkę, na imię Lale,
Cudnego rozumu, cudnej urody.
Jak była najrozumniejsza, najurodziwsza,
Tak ze wszystkich panien była najnieszczęśliwsza.
Czyli rodziła się pod gwiazdą złą, w czarnym roku,
Czy ją kto z czarował w jakim uroku —
Nikt nie wiedział, ni powiedzieć umiał królownie,
Tylko, że jest nieszczęśliwa, wiedzano pewnie,
I że we dnie i w nocy płakała rzewnie,
I było też czego płakać i czego szlochać,
Bo się żaden z kawalerów nie chciał w niej kochać.
Przyjeżdżali królowice z dalekich stolic,
Odwiedzali ją książęta z bliskich okolic,
Nikt się wdziękom jej dowoli nie mógł napatrzeć —
Ale nikt się o jej rękę nie chciał oświadczyć.

Tymczasem królowna Lala rośnie a rośnie
I, nie mogąc dostać męża, wzdycha żałośnie.
Gdy nie stało kawalerów koronowanych,
Rada była pójść za kogo z książąt poddanych;
Swatała się przez swą ciotkę i przez stryjenkę,
Trzem z kolei obiecała posag i rękę.
Każdy za tak wielką łaskę kłaniał się wdzięcznie
I każdy się od wesela wykręcił z ręcznie.
Jeden mówił, że wprzód, nim wstąpi w małżeństwo
Pojedzie sam uwiadomić swoje rodzeństwo
I prosić rodziców o błogosławieństwo.
Siodła konia, z krajów Boba jedzie co prędzej,
I tyle go też widziano: nie wrócił więcej.
Drugi już się przyrzekł żenić, tylko uprosił,
Aby wprzód po zmarłym ojcu żałobę znosił.
Gdy ją znosił, przyszły druchny po pannę młodą —
A pan młody zniknął kędyś, jak kamień w wodę.
Słowem — każdy pan innego szukał pozoru,
Aż po jednym tak uciekli wszyscy ze dworu.
Gdzie jechali, powiadali, że pannę Lale
Szanują, że ją wielbią i cenią — ale
Do żenienia się z nią serca nie mają wcale.
Dlaczego serca nie mają? Nie wiedzą sami:
Panna z tylu przymiotami! I z bogactwami!
I królestwo ma w posagu! Piękne to rzeczy:
Rozum każe się w niej kochać, a serce przeczy.

A było to w owych czasach, gdzie jeszcze ludzie
Nie wiedzieli o dzisiejszej brzydkiej obłudzie,
Nie rozumieli, że można panny nie lubić,
A przecież ją dla pieniędzy tylko zaślubić,
A tak i swe i jej serce na wieki zgubić —
A więc woleli panowie iść na wygnanie,
Aniżeli bez kochania na królowanie;
Woleli iść na wygnanie o wolnem sercu,
Aniżeli bez miłości stać na kobiercu.

Tymczasem królewna Lala rośnie a rośnie;
Dotąd za mąż niewydana, wzdycha żałośnie:
„Każda panna z mego dworu, każda poddanka,
Czy prostaka, czy pastucha, znajdzie kochanka,
Ma towarzysza, ma dziatki. Ja tylko, biedna,
Bez towarzysza, bez dziatki, zostanę jedna,
I nie będzie komu po mnie zapłakać szczerze
I za moję duszę codziennie zmówić pacierze!“

Tak płaczącej pannie Lali przyszła myśl dzika,
Ażeby pójść wreszcie za mąż choć za kuchcika.

Właśnie wtenczas przed oknami chłopiec niewielki,
Oszarpany, umurzany, płukał rondelki.
„Pójdź, kuchciku; posłuchaj, co powiem tobie,
A ja cię dziś najszcześliwszym człowiekiem zrobię.
Naprzód rondle rzuć do licha i bież w krynicę,
Umyj dobrze i wyszoruj piaskiem twe lice
I ręce zmywaj, póty, aż będą czyste —
Potem przyjdź, a ja ci dam suknie uroczyste,
Dam ci kapelusz z piórami, ostrogi srebrne,
Złota kieskę, tudzież inne sprzęty potrzebne.
Za to złoto kupisz w mieście rumaka z rzędem;
Na nim wielką bramą w zamek wbież wielkim pędem,
Udasz się przed królem, ojcem moim, za księcia,
A ja dokażę, że ciebie weźmie za zięcia“.

Gdy królewna tak mówiła, kuchta drżał z trwogi,
Potem, jak stał, tak jej upadł plackiem pod nogi
I, podniósłszy głowę, z płaczem wołał: „Ach, czemu
Tak żartujesz, tak urągasz mnie, chłopcu biednemu?“
„Głupi kuchto — rzekła Lala — same gołąbki
Upieczone lecą z nieba tobie do gąbki!“

Jeżeli nie zrobisz, głupcze, co ci kazałam,
 To nie odżałujesz tego twem życiem całem".
 „Ach, królewno, Lalo moja! — kuchcik zawołał —
 Choćbym chciał zrobić, co każesz, tobym nie zdołał.
 Nie wiesz, co to lata młode przeżyć sierotą;
 Nie wiesz, co to być kuchcikiem! Pytaj mnie o to!...
 Z rana, trzeba iść do lasu łamać gałązki,
 Zgarbiwszy się, składać w kupę i wiązać w wiązki
 I na plecach nieść do domu, a tak się silić,
 Że się trzeba aż do ziemi, jak dega, chylić.
 Pod ciężarami nie mogłem wyrość na czleka,
 Lecz, jak źrebię zajeżdżone, jestem kaleka.
 Chociażbym do dworu wjechał na koniu wielkiem,
 Poznaliby wszyscy, żem jest lichym karzelkiem".
 „Nic to — rzekła królewna — jest na to rada:
 Powiedz, że ty jesteś rodem z kraju — o, lada...
 Stoi w książkach, że jest kędyś kraik małutki,
 Którego obywatele zwa się karlutki —
 Powiedz, żeś ty syn królewski z tamecznej ziemi
 Królowie, czy są wielkimi, czyli małemi,
 Czy prości, czyli garbaci, są równi sobie".
 Kuchta na to: „O, królewno! Cóż, nędzny, zrobię?
 Patrz-no tylko na mą postać, na ręce moje:
 Czyli będą mnie do twarzy książęce stroje?
 Od rana do nocy muszę kręcić pieczenie,
 Aż, jak pieczeń, tak spaliły twarz mą płomienie;
 Wieczorami rondle myję, aż dłoń stwardniała
 I, patrz, z rąk mych aż do łokcia zlaźła pobiała".
 „Nic to — rzekła mu królewna — mów przed niemi,
 Że ty jesteś syn królewski z murzyńskiej ziemi.
 Wiadomo nam, jak tam słońce oblicza smali;
 Królowie są wszyscy równi: wy czarni, my biali".

Dopiero to słysząc, kuchta aż stracił mowę
 I zadziwił się tak mocno, aż zaszedł w głowę;
 Włosy targał, ręce łamał, nogami tupał,
 A zębami zgrzytał, jakby orzechy chrupał.
 Płakał coraz głośniejsze, że aż Lale przeleknął:
 Wkońcu dostał serdecznego śmiechu i jęknął.

.

PANICZ I DZIEWCZYNA.

I.

W gajku zielonym dziewczę rwie jagody,
Na koniku wronym jedzie panicz młody.

I grzecznie się skłoni, i z konia zeskoczy;
Dziewczę się zapłoni, na dół spuści oczy.

„Dziewczyno kochana! Dziś na te dąbrowy
Z kolegami z rana przybyłem na łowy

I trafić nie mogę, gdzie leży miasteczko.
Wskaż, proszę, mi drogę, piękna pastereczko!

Czy prędko już z lasu ta ścieżka wywiedzie?“
— „Jeszcze pan zawczasu do domu zajędzie:

Na polu wnet drzewo, koło drzewa brzoški,
Stąd droga na lewo, tam, około wioski,

W górę przez zarostek, w prawo ponad rzeczką.
Tam młynek i mostek, i widać miasteczko“.

Panicz podziękował, czule rączkę ścisnął,
W usta pocałował, na konika świsnął.

Siadł, ostrogą spina — nie widać młodego...
Westchnęła dziewczyna... ja nie wiem, dlaczego.

II.

W gajku zielonym dziewczę rwie jagody,
Na koniku wronym jedzie panicz młody

I woła z daleka: „Pokaż inną drogę!
Za wioską jest rzeka, przejechać nie mogę,

Ni mostu żadnego, ni brodu wytropić:
Chciałabyś młodego chłopczyka utopić?“

— „To jedź pan drożyną na prawo kurhanu!“

— „Bóg zapłać, dziewczyno!“ — „Dziękuję waćpanu“.

W las poszła drożyna — nie widać młodego...
Westchnęła dziewczyna... Oj, wiem ja, dlaczego.

III.

W gajku zielonym dziewczę rwie jagody,
Na koniku wronym jedzie panicz młody.

I zawoła znowu: „Dziewczyno, dla Boga!
Wjechałem do rowu — jakaż twoja droga?

Nie jeździł w te szlaki nikt z dawnego czasu,
Chyba wieśniak jaki po drzewo do lasu.

Poluję dzień cały, konia-m nie popasał —
Jeździec zadyszał, konik się zahasał.

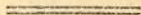
Sięde i z ponika pragnienie ugaszę —
Odkielznam konika i puszczę na paszę“.

I grzecznie się skłoni i z konia zeskeczy;
Dziewczę się zapłoni, na dół spuści oczy.

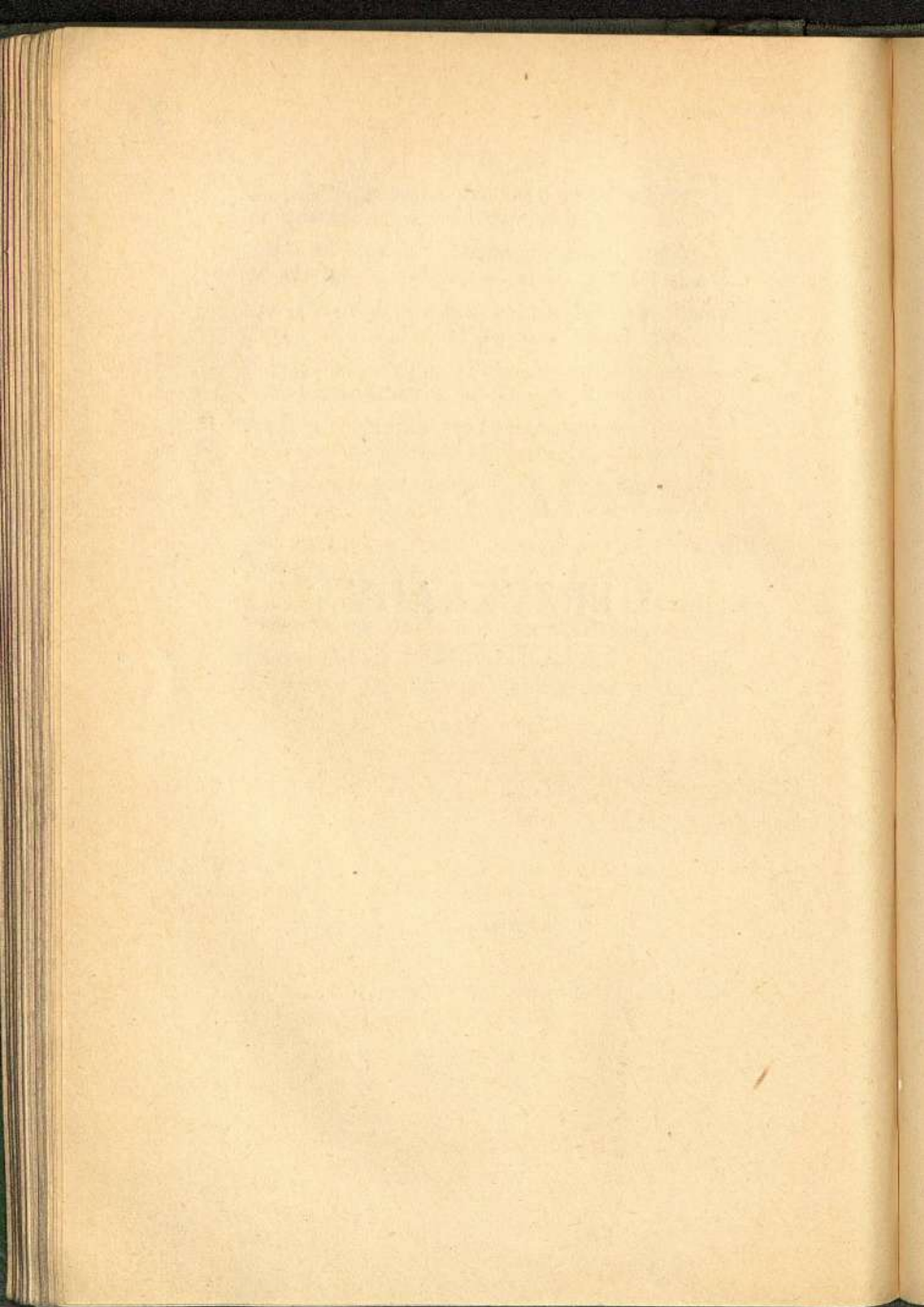
Ten milczy, ta wzdycha — po niedługiej chwili
Ten głośno, ta z cicha, coś z sobą mówili.

Lecz, że wietrzyk dmuchał w tę stronę dąbrowy,
Przetom nie dosłuchał panicza rozmowy.

Lecz z oczu i z miny tom pewnie wyczytał,
Że więcej dziewczyny o drogę nie pytał.



PRZEKŁADY



POŻEGNANIE CZAJD HAROLDA,

Z BYRONA.

I.

„Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!
Już w mglistej nikniesz powłóce...
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świegoce.
Dalej za słońcem, gdzie jasną głowę
W zachodnie pogrąża piany!
Tymczasem, słońce, bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów, kraju kochany!

II.

Za kilka godzin różane zorze
Promieńmi błysnie jasnemi;
Obaczę niebo, obaczę morze,
Lecz nie obaczę mej ziemi.
Zamek, na którym grzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje,
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

III.

Pójdź tu, mój pazu, pazu mój mały!
Co znaczą te lzy i żale?
Czyli cię wichrów zdąsanych szaly,
Czy morskie lękają fale?...
Rozwesel oko, rozjaśnij czoło!
W dobrym okręcie, w pogodę —
Lotny nasz sokół nie tak wesoło,
Jak my polecim przez wodę“.

IV.

„Niech fala szumi, niech wicher głuży.
Nie dbam — pogoda czy słota;
Te łyzy wyciska z głębi mej duszy
Nie bojaźń, ale tęsknota.
Bo tam mój stary ojciec zostanie,
Tam matka zostanie droga,
Tam wszyscy moi, prócz ciebie, panie,
Prócz ciebie tylko — i Boga.

V.

Ojciec spokojnie mię błogosławił,
Nie płacze, ani narzeka;
Lecz matka, którąm we łzach zostawił,
Z jakąż tęsknotą nas czeka?“
„Dość, dość, mój paziu! Te łyzy dziecinne
Żrenicy twojej przystoją;
Gdybym miał równie serce niewinne.
Widziałbyś we łzach i moją.

VI.

Pójdź tu, mój giermku, giermku mój młody!
Skąd ci ta bladość na twarzy?
Czy rozhukanej lękasz się wody,
Czyli francuskich korsarzy?“
— „O nie, Haroldzie! Nie dbam o życie,
Nie dbam o losów igrzyska,
Alem zostawił żonę i dziecię —
To mi łyzy gorzkie wyciska.

VII.

Żona na końcu twojego siola
W zielonej mieszka dąbrowie;
Gdy dziecię z płaczem ojca zawoła,
Cóż mu, nieszczęsna, odpowie?“
„Dość, dość, mój giermku! Słuszną twa żalność;
Ja, choć jej ganić nie mogę,
Mniejszą mam czułość, czy większą stałość:
Śmiejąc się, puszczam się w drogę.

VIII.

Kochanki, żony płacz mię nie wzruszy,
Bo, nim zabłyśnie poranek,
Z błękitnych oczu te łzy osuszy
Nowy mąż, nowy kochanek.
Nie żal mnie ziemi, gdzieś młodość strawił,
Niestraszne podróże wodne:
Żałuję tylko, że nie zostawił
Nic, co by było łoż godne.

IX.

Teraz po świecie błądę szerokim
I pędzę życie tułaczem.
Czegoż mam płakać, za kim i po kim,
Kiedy nikt po mnie nie płacze?...
Pies chyba tylko zawyje z rana
Nim, obcą karmiony ręką,
Kiedys swojego dawnego pana
Wściekłą powita paszczką.

X.

Już okręt piersią kraje głębinę
I zagłę na wiatr rozwinął;
Nie dbam, ku jakim brzegom popłynę,
Bylebym nazad nie płynął.
Gdy mię twe jasne znudzą kryształy,
Ogromna, modra płaszczyzna,
Powitam lasy, pustynie, skały...
Bądź zdrowa, luba ojczyzno!"

SEN.

Z BYRONA.

Dwoiste życie nasze. Sen ma świat udzielny
Śród otchłani, nazwanych bytem i nicestwem,
Nazwanych, lecz nieznanym. — Sen ma świat udzielny,
Z rzetelną władzą rządząc nad marnem królestwem.
Mary i życie biorą i postaci noszą,
Rozczulają i dręczą i lechcą rozkoszą —
Troskiienne ciężarem przywalają sennym
I ujmują ciężaru naszym pracom dziennym.

One się do istoty naszej mogą wcielić,
Zabrać połowę czasu i byt nasz podzielić.
Jak posłańce wieczności, błysną i przepadną,
Jako przeszłości duchy — często przyszłość zgadną,
Jak wróżące Sybille — ciemność do ich ręki
Sklada tyrańskie berło rozkoszy i męki.
One, gdy zechcą, na to przerobić nas mogą,
Czem nie byliśmy nigdy; one rażą trwogą,
Wywołując cień z grobów. Więc mary są cienie?
Przeszłość nie jest-że cieniem? Czemże jest marzenie?
Robotą duszy! Dusza może wyprowadzić
Z nicestwa światy nowe i na nich osadzić
Doskonalsze od ziemskich kształty promieniste,
Włać im duch trwalszy, niżli w ciała rzeczywiste.

Opowiem wam, co mi się dawniej przywidziało,
Może we śnie — bo, kiedy sen uwięzi ciało,
Duch wolny może obieć rozległą krainę
I długie pasmo życia w jedną zwić godzinę...
Zdało mi się, że widział młodych ludzi dwoje,
Chłopca i dziewczkę. Stali na wzgórku oboje,
A wzgórek był zielony, pochylej urody,
Niby jaki przylądek; tylko, zamiast wody,
Wkoło żywy krajobraz i powiewna fala
Kłosów i sianozęci i gdzieśgdzie zdala
Porozrzucane chaty: nad niemi dym bury
Ulotne snuł kolumny. Sam wierzchołek góry
Zdobily zasadzone drzew i kwiatów wieńce;
Nie przypadek je sadził, lecz umyślnie ręce.
Chłopiec i dziewczka patrzą: ta na okolice,
Piękne, jak ona sama, a ten na dziewczę.
W nim rozwija się młodość — w niej piękność rozwita,
W obojgu młodość, ale młodość rozmaita.
Jak wśród niebios jaśnieje wdzięczna twarz księżycy,
Tak wpośród lat niewieścich jaśniała dziewczica.
Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad lata
Serce jego; wzrok jego w całym kręgu świata
Jedyne tylko widział swej kochanki lice,
I widział ją przed sobą, w niej utkwiał źrenice
I nie mógł ich oderwać; nie było w nim ducha —
Ona była mu duchem; głosu jej, drżąc, słucha —
Ona była mu głosem; on swych oczu niema —
Ona była mu okiem, bo ścigał oczyma

Jej spojrzenia i wszystkie oglądał przedmioty
W świetle, od niej odbitem; on nie ma istoty,
Nie ma życia: w nią przelał całe życie swoje,
W niej, jako w oceanie, wszystkie myśli zdroje
Pograżył; za jej słówkiem, za ręki dotknięciem,
Krew w nim ścina się lodem, albo wre płomieniem.
Twarz jego na przemiany goreje i bladnie,
Serce boli — i bólów przyczyny nie zgadnie.
Lecz ona słodkich jego cierpień nie podziela:
Wzdycha, lecz nie do niego; ma w nim przyjaciela,
Ma brata — i nic więcej! On przestawał na tem,
Że ją zwał przyjaciółką, że go zwała bratem;
Teraz nie chce przestawać. Skądże ta różnica?
Czas rozwiązał zagadkę: kochała dziewica
I kochała innego; i właśnie w tej chwili,
Gdy oboje na górze stali i patrzyli,
Ona wzrokiem kochanka dalekiego nęci,
Żeby leciał tak bystro, jak lecą jej chęci.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widać gmach starożytny; stoi u przedsienia
Rumak z siodłem do drogi. W gotyckiej kaplicy
U ołtarza był chłopiec — nie widać dziewczycy.
Chłopiec blady, samotny, przechodził się, myślił,
Usiadł, dobywa pióro, kilka słów nakreślił
I z pochyloną głową, na rękę oparty,
Wstał znowu, wstrząsnął głową i, pisane karty
Na części rozerwawszy, w drżącej ciśnie dłoni
I z gniewem w zębach szarpie, ale łez nie roni.
Uspokoił się nieco — zapalone lica
Ostygly i zmartwiały. Wtem weszła dziewica:
Z obojętnym uśmiechem spotyka młodziana,
Choć dostrzegła, że była od niego kochana,
Że jej cień, jako całun, padł na jego duszę —
I zgadła, że on dla niej ma cierpieć katusze
Długie, straszne; nie zgadła, że miał cierpieć wiecznie.
Chłopiec wziął ją za rękę, obojętnie, grzecznie
Spojrzał — i w tej mu chwili na zwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica,
I zagasła — i znowu czoło zaszło mrokiem,
Znowu puścił jej rękę i — powolnym krokiem

Oddalił się w milczeniu — nie żegnał dziewicy.
Rozstali się z uśmiechem; on wyszedł z kaplicy,
Raz jeszcze na ojczyste gmachy okiem rzucił,
Dosiadł konia, pojechał i więcej nie wrócił.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Chłopiec dorósł młodzieńca; w obce pokolenia,
W dalekie zbłądził kraje i pod wschodniem słońcem
Połł duszę płomieniem: on wiecznym był gościem
Na lądzie i na morzu. Dokoła postaci
Podobne jemu krążą — przyjaciół czy braci?

Tu mnóstwo scen okropnych snuło się od razu,
I ów chłopiec był częstką każdego obrazu.
Ujrzałem go nakoniec. Dziwacznie przebrany,
Gdzieś daleko, w obozie wschodniej karawany,
Śród połamanych kolumn, na gruzie pomników,
Co przeżyły imiona swoich budowników,
Leżał, a przy nim wielbłąd żuł resztę obroku.
Kilka arabskich koni pasło się u stoku,
Podróżni, których znużył upał całodzienny,
Drzemali w cieniu ruin — on jeden bezsenny,
Na rękę wsparty, oczy na północ obrócił,
Z twarzą natchnienia pełną — rozmyślał czy nucił?
Niebo czyste tak wszystkie chmury zdjęło z siebie,
Że ledwie co nie widać Pana Boga w niebie.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Dziewica z oblubieńcem pierścionki zamienia;
On ją pojął, mnogiemi osypał dostatki.
Widzę ją w cudzym domu, słyszę imię matki,
Otaczają małżonkę wesołe plemiona,
Nadobne syny, córki — ale zacóż ona
Jakaś tęsknoty chmurą wdzięczną postać mroczy,
Zdradzając tajną boleść, co jej serce toczy?
Żrenice, niegdyś jasne, zamgliła powłoka,
Niby jakaś łza dawna, przystygła do oka:
Skądże to? Wszak z kochankiem złączona na wieki —
Wszakże ten, co ją kochał, jest od niej daleki,
Nie będzie myśli czystych złem życzeniem brudzić,
Nie będzie jej westchnieniem nieumyślnem nudzić.

Czegoż smutna? Wszak darmo wzajemności żądał,
Darmo w jej oczach zimnych nadziei wyglądał.
Wzgardzony, nie jest pewnie sprawcą jej katuszy,
Jest widmem dla pamięci, nie sępem dla duszy.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec szuka znowu domowego cienia:
Widzę go przed ołtarzem — z nim oblubienica
Młoda, wdzięcznej postawy, nadobnego lica,
Lecz nie była to owa najpierwsza kochanka,
Owa gwiazda błęgiego młodych lat poranka.
Musiał o niej zapomnieć: stoi zadumany,
Rozpatruje kościelne sklepienia i ściany...
Zadrżał i w tej mu chwili na zwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica —
I zagasła — i znowu czoło zaszło mrokiem.
Pogląda na swą żonę, ale błędnym wzrokiem.
Powtarza jej przysięgi, których nie rozumie —
Z kim jest, gdzie jest, zapomniął w sprzecznych myśli tłumie.
Widzi tylko swą młodość, stary gmach, kaplicę,
I listek poszarpany, i swoją dziewicę...
Te przypomnienia kirem śmiertelnej zasłony
Oddzieliły na wieki młodzieńca od żony...
Pocóż w takiej godzinie takie przypomnienia?

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Widzę dawną dziewicę. Jakie w niej odmiany!
Ona w suchotach duszy. Jej rozum znękany
Opuścił ster myślenia; wzrok jej dziko lata —
Blask, co świeci w jej oku, nie jest z tego świata;
Ona jest, jak królowa nad państwami marzeń.
Jej myśl stała się węzłem sprzecznych wyobrażeń,
Kształty, niedotykalne zmysłem śmiertelnika
I niewidzialne, ona dostrzega, dotyka
I w poufalej wzywa do siebie rozmowie:
Taką chorobę wiek nasz oblakaniem zowie.
Lecz nieraz mędrzec głębiej w oblakanie wpada,
Jeśli melancholii smutny dar posiada,
Bo wzrok melancholijny, jak teleskop, sięga;
Dalekie widma zbliża, rozłączone sprzega

I, urok życia chłodną rozdarłszy uwagą,
Rozkrywa rzeczywistość wystygłą i nagą.

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.

Młodzieniec był pielgrzymem, jak widać z odzienia.
Kształty, przy nim krążące, znikły z senną marą,
Lub wojnę z nim toczyły. On stał się ofiarą
Nienawiści swych wrogów; zewsząd, zguby bliski,
Postrzega sidła zdrady lub zemsty pociski.
Stoły jego zgryzota, jak harpia, płami —
On, jak dawny Mitrydat, karmił się jadami,
A trucizna nie była szkodliwą dla niego
I służyła mu naksztalt chleba powszedniego.
Co innym śmiercią było, tem życie przewlekał:
Zhrzydził społeczność ludzką, w pustynie uciekał,
Żył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata,
Wdał się w rozmowę z wielkim jeniusem świata:
Wzbogaconemu nauk czarodziejskich zbiorem,
Tajemna księga nocy stanęła otworem;
Jego kłatwą wyzwane z głębokości ziemi,
Duchy go otoczyły — i został się z niemi.

•Niema więcej zmian w scenach mojego widzenia.

Zbudziłem się... Jak dziwne wyroków zrządzenia!
Mój sen dla dwojga ludzi smutny koniec znaczy:
Jednemu w obłąkaniu, obojgu w rozpacz.

Roku 1824, Wilno.

EUTHANASIA.

NAŚLADOWANIE Z BYRONA.

Prędzej czy później, gdy mię czas owionie
Snem nieprzespanym, w którym się nie śni —
O, niepamięci, wtenczas chłodne skronie
Weź pod twą schronę do grobowej cieśni!

Nie proszę ręki druha, ni dziedzica,
Aby łyzy otrzeć lub grabić zostało,
Lub, żeby z włosem popsutym dziewica
Żalować przyszła lub udawać żalność.

Pocóż najęte płaczków korowody?
Samemu wstąpić pozwólcie do dołu!
Nie chciałbym chmurzyć niczyjej pogody
I brać wesela kochanemu czołu.

Przecież, miłości, jeśli w twojej sile
Poskromić jęki, marnym żalom sprostać,
Ty sama osłodzi rozstania się chwilę
Mnie, co odchodzę, i tej, co ma zostać.

Maryło moja! Kiedy przeszłe bole
Z ostatnim puszcze w niepamięć oddechem,
Niech boski pokój widzę na twem czole,
A w bólach na cię patrzyłbym z uśmiechem.

Lecz oko martwe zrazi wzrok niebieski,
Przed bładem licem zbledną twe powaby;
Uronisz łezkę — człowiek dla tej łezki,
Jak, żyjąc, słabiał, tak i umrze słaby.

A więc bez żalu i pobożnej prośby
Samotny będę w ostatniej godzinie:
Dla nieszczęśliwych śmierć mało ma groźby,
Ból jeszcze zmniejszy i prędko przeminie.

Lecz umrzeć, odejść, kędy tyle gości
Rusza przedemną, kędy reszta ruszy?...
Przepadać w nicość, jak pierwaj z nicości
Wszedłem dla życia, żyłem dla katuszy?

Gdyś wiek przeminał, wstrzymaj się u ścieku,
Ostatniem powróć na przeszłość obliczem;
Zlicz dni szczęśliwe, a wyznasz, człowieku,
Czemkolwiek byłeś, że lepiej być niczem.

CIEMNOŚĆ.

Z BYRONA.

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny?
Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy, w nieskończoność biorąc lot niezwykły,
Zbłąkawszy się, olśnawszy, uciekły i znikły

Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata:
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było —
I wszystkie namietności zattumila trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło,
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga:
O światło.

Wszystko płonie: i wspaniałe gmachy
Panów koronowanych i wieśniacze dachy.
Domy świata całego, jako lampy, płoną,
Miasta naksztalt ogromnych stosów zapalono,
I tłum ludzi dokoła pożaru się tłoczy;
Chcą jeszcze raz ostatni zajrzeć sobie w oczy.
O, jak zazdrości godni ci, co się przywlekli
Przed oblicze ognistej Etny albo Hekli!
Jak błogosławia wieczne wulkanów pożogi,
Wszyscy z jednym uczuciem nadziei i trwogi!
Rzucono ogień w puszcze — i doczesnym blaskiem
Puszcze gorą, ciemniejszą i wałą się z trzaskiem;
Zaryły się w popiele drzew strawione czoła,
I zagasiły na wieki.

Znowu noc dokoła —
I twarz ludzi z rozpaczny nie po ludzku błyska.
Odbijając ostatnie promyki ogniska.
Jedni padli i, oczy schowawszy, łzy leją,
Drudzy, na chudych łokciach podparłszy się, śmieją —
Ten biega tu i owdzie, suche żagwie zbiera,
Karmi niknącą iskrę i w niebo poziera:
Nieporuszone widzi czarnych chmur zasłony,
Jak kir, nad nieboszczykiem światem rozciągniony —
Znowu pada, i bluźni, i w piasku się ryje,
Targa włos, zgrzyta zębem, ręce gryzie, wyje.
Dzikie płastwo, strwożone, skrzydły obwisłemi
Mocując się daremnie, czołga się po ziemi —
Drapieżny zwierz, co w lasach i pustyniach żyje.
Jak swojski, ciągnie w miasto — gadziny i żmije
Pełzną ludziom pod nogi i żądlami syczą,
Nie kaleczą — i głodnym stają się zdobyczą.

Wojna, nieco ustała, wybuchnęła znowu.
Głodni żelazem sobie szukali obłowu
I z zakrwawionym kęskiem na stronie usiedli,
I w milczeniu rozpaczy samotni go jedli.
Nie została miłości iskra w ludzkim łonie;
Jedna była na całej ziemi myśl — o zgonie
Niechybnym i niesławnym. Ząb głodu pożerał
Wszystkich — i narodami świat cały wymierał.
Nikt nie myślał o kości i o ciał pogrzebie:
Chudy karmił się, jedząc chudsze od siebie.
Psy darły swoich panów. Jeden pies zachował
Wierność pału swojemu: żywego pilnował —
Teraz się umarłego wyżywieniem trudzi,
Znosi zdechłe lub słabe bydło, ptastwo, ludzi;
Sam nie dotknął pokarmu — z żałościami jęki
Lizał twarz pana swego, głaskał się u ręki,
Co go już nie głaskała — i zdechł. — I nareszcie
Wszyscy ludzie wymarli.

W pewnem ludnem mieście
Zostali dwaj ostatni — dwaj nieprzyjaciecie.
Zeszli się przy ołtarzu, gdzie jeszcze w popiele
Dogasało ognisko, i kościelne sprzęty
Święte czekały w stosach na ogień nieświęty.
Jak szkielety, chudemi rękami popołu
Grzebiąc, dostali kilka iskier z popiołu
I, pracując piersiami słabemi, ognisko
Wydobyli na chwilę — jak na pośmiewisko.
Zwrócili oczy, gdzie się płomień żywiej pali:
Ujrzeni się, wzdrygnęli, padli i skonali.
Zgrozą widoku swego zabili się spolem;
Nie poznali się z twarzy, lecz głód nad ich czołem
Wyrył: Nieprzyjaciecie.

Świat cały był stepem,
Z ludnego i pięknego — milczącym i ślepym,
Bez por roku, bez roślin, bez ludzi, bez czucia,
Trup, chaos powolnego żywiołów zepsucia.

Stoją gładkie rzek, jezior, oceanu tonie,
I nic się nie poruszy w ich milczącym łonie.
Okrety bez żeglarzów pośród morza tkwiły,
Maszty ich kawałami padały i gniły
I tonęły na wieki w spokojnych wód bryle:
Burze usnęły, fale spoczęły w mogile,
Bo nie było księżycy, coby je podźwignął.
Wicher w stęchłym powietrzu uwiązł i zastygł.
Znikły chmury — to dawne ciemności narzędzie
Stało się niepotrzebnem: ciemność była wszędzie.

CZYŻ JEST NA CAŁYM ŚWIECIE...

Czyż jest na całym świecie tak miłe ustronie,
Jak dolina, gdzie jasne zlewają się zdroje?
Dolino, będą w sercu błyszczeć kwiaty twoje,
Póki w duszy ostatni promyk życia płonie!

Nie dlatego o tobie tak wspominać miło,
Że cię szmaragd odziewa i kryształ oblewa,
Że masz żywe strumienie, urodziwe drzewa —
Ach, w tobie coś droższego, coś miłszego było!

Tu byli ukochani przyjaciele moi!
Oni rozleli lubość w lubej okolicy,
Oni czuli, że piękność, która ziemię stroi,
Miłszą jest, kiedy w miłej odbita żenicy.

Daj, Boże, abym wrócił w rozkoszne ustronie
I obok mych przyjaciół spoczął na twem łonie,
Kiedy przemina wszystkie życia niepogody
I zmieszają się serca, jako twoje wody.

PODRÓŻNY.

Z GOETHEGO.

PODRÓŻNY.

Niewiaśto młoda, bądź błogosławiona!
I niech Pan Bóg błogosławi
Niemowlątku, co się bawi
U twego łona!

Pozwól mi na tym zrębie opoki
Złożyć z siebie
Podrózne tłumoki
I odpocząć blisko ciebie!

NIEWIASTA.

Gościu! Jakie was rzemiosło
W takim lata upale
Po tej piaszczystej skale
Aż w nasze strony zaniósł?
Może wy kupcem jesteście
I z towarami, nabranemi w mieście,
Zwiedzacie sielan mieszkania?
Gościu! Ty z mego śmiesz się pytania?

PODRÓŻNY.

Towarów nie mam. Idę w bliskie miasto.
Już wieczór dzienną ochłodził pogodę.
Pokaż mi, śliczna niewiasto,
Krynice, skąd pijesz wodę!

NIEWIASTA.

Tam, kędy skały wyżyna —
Idź dalej; a ta drożyna
Wiedzie do świetlicy,
Gdzie mieszkamy —
Do krynicy,
Skąd wodę mamy.

PODRÓŻNY

Widzę przemysłnej ręki ludzkiej ślady
Pośród zarośli cienia:
Bo nie mogła skał związać w tak porządne składy
Rozrzutna dłoń przyrodzenia.

NIEWIASTA.

Dalej, wyżej —

PODRÓŻNY.

Mchu powłoka
Okryła sklepienia łuki;
Poznaję ciebie, twórczy duchu sztuki,
Twą pieczęć nosi opoka.

NIEWIASTA.

Dalej, pielgrzymie —

PODRÓŻNY.

Tu depcę napisy.

Daremnie czytać! Zatarły się rysy,
Którymi twórca tej arcy-sztuki
Chciał swą pobożność wsławić pomiędzy prawnuki.

NIEWIASTA.

Pielgrzymie! Ciebie zadziwia
To, na kamieniach rosnące, ziele?
Tam, wyżej, gdzie się droga zakrzywia,
Jest przy mej chacie kamieni wiele.

PODRÓŻNY

Wyżej?

NIEWIASTA.

Zaraz na lewo!
Gdzie wśród krzaków wyższe drzewo!
Tu!

PODRÓŻNY.

O Gracie! O Muzy!

NIEWIASTA.

Widzisz naszą gospodę.

PODRÓŻNY.

Świątyni gruzy!

NIEWIASTA.

Niżej, na boku,
Słyszysz szum potoku:
Stamtąd czerpiemy wodę.

PODRÓŻNY.

Dotąd w całej życia sile
Roztaczasz skrzydła na twej mogile,
O geniuszu dzielny!
Chociaż twoje arcydzieło
Wokoło ciebie runęło,
Tyś nieśmiertelny!

NIEWIASTA.

Zaczekaj, zaraz z gospody
Przyniosę kubek do wody.

PODRÓŻNY.

Powiewna bluszczu szata
Boskie kształty oplata!
Ze stosu gruzów, jakby z rozłamanej trumny.
Jeszcze ku niebu dążycie spolem,
Dwie bliźnie kolumny.
Tam siostra wasza sama stoi między groby —
Posepny mech nad waszem wywinał się czołem.
Patrzycie z uroczystej wyrazem żałoby
Na szanowne postaci
Waszych sióstr i waszych braci,
Zwalone pod nogi,
Białe do ziemi
Między ciernie, między głogi!
Wysmukła trawa powiewa nad niemi.

O, niewdzięczne przyrodzenie!
W takiejże u ciebie cenie
Arcydzieł twych arcydzieło?
Nieczule łamiesz własne świątynie
I siejesz na ich ruinie
Głogi!

NIEWIASTA.

Jak moje dziecko usnęło!
Gościu, czy zechcesz u nas w komorze
Odpocząć — czy tu na dworze?
Jak miły chłodek! Biegę do strumyka —
Weź tymczasem na ręce mojego chłopczyka!
Śpij, me złoto! Śpij, mój synku!

PODRÓŻNY.

Słodki dziecka spoczynku!
Święta niewinność i święte zdrowie
Kołyszą z lekka jego wezglowie.

O chłopczyku, poczęty
Na świętej przeszłości grobie!
Niechaj przeszłości duch święty
Spocznie na tobie!
Kogo duch jej okryje
Skrzydły czarownemi,
Ten z boskiem uczuciem na ziemi
Każdego dnia użyje.
O ziarnko lube,
Wschodź i wypływaj
Na wiosny chlube —
I towarzyszków głowy twym majem okrywaj!
A kiedy się świat okruszy,
Niech, jak z rodzajnego drzewa,
Pełny owoc wypłynie z głębi twojej duszy
I przed oczyma słońca dojrzewa!

NIEWIASTA.

Oby życzenie two spełniły nieba!
Jeszcze śpi mój maleńki?
Do wody na zakąskę nie mam nic, prócz chleba.

PODRÓŻNY.

Dzięki i za to, dzięki!
Jak tu wkoło mnie na całym świecie
Zieloność i kwiecie!

NIEWIASTA.

Mąż mój wkrótce powraca
Do chaty — w polu skończyła się praca.
Mój gościu! Zostań do wieczora w chacie:
Wieczierzaj z nami,
Wieśniakami!

PODRÓŻNY.

Więc tu mieszkacie?

NIEWIASTA.

Tam, na gruzach tej wielkiej, połamanej bramy,
Chatka niedaleka;

Ojciec nieboszczyk z gruzu wymurował
I nam darował;
Tam mieszkamy.
Wydał mię za mąż za dobrego czleka
I umarł na naszym ręku...
A, moja duszko, już spałeś do woli!
Patrz, jak wesół, jak swawoli!
A ty, blazenku!

PODRÓŻNY.

O ty, naturo, wiecznie płodna matko!
Wszyscy żyjący równie tobie mili:
Chcesz, aby wszyscy żyli i użyli!
Wszystkich zarówno uposażasz — chatką.
Jaskółka górne osiada pałace,
Do gzymsów gniazdo przyczepia,
Nie wie, jakie dłota prace
Zasklepia —
Gąsienica przedziwem obwinęła kwiatki
I w nich na zimę tuli swoje dziatki —
A ty, człowieku,
Między wspaniałe wylomy
Przeszłego wieku,
Nikczemne domy
Stawiasz sobie!
Używasz życia na grobie!
Bywaj mi zdrowa, szczęśliwa niewiasto!

NIEWIASTA.

Koniecznienie chcecie iść w miasto?

PODRÓŻNY.

Niech łaska Boga
Ciebie i dziecię w zdrowiu i szczęściu zachowa.
Bądź zdrowa!

NIEWIASTA.

Szczęśliwa droga!

PODRÓŻNY.

Tą ścieżką z prawej strony,
Jeśli się nie mylę,
Trafię do miasta?

NIEWIASTA.

— Tak jest, do Werony.

PODRÓŻNY.

Jak stąd daleko?

NIEWIASTA.

Dwie mile.

PODRÓŻNY.

Bądź zdrowa!
 Przyrodzenie! Wzywam twej opieki,
 Na przeszłości mogile
 Zbłąkany pielgrzym daleki!
 Ty przed północy powiewem
 Prowadź mię w ciche ustronie:
 W południe okryj mi skronie
 Laurowem drzewem —
 A gdy z dziennych trudów końcem
 Wrócę na spoczynek
 Do mej chatki, zachodniem ozłoconej słońcem,
 Niechaj mię powita
 Taka piękna kobieta
 I taki na ręku synek!

DO HENRYKI ANKWICZÓWNY.

WEZWANIE DO NEAPOLU.

NAŚLADOWANIE Z GOETHEGO.

Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,
 Pomarańcz blask majowe złoci drzewa?
 Gdzie wieńcem bluszcz ruiny dawne stroi,
 Gdzie buja laur i cyprys cicho stoi?
 Znasz-li ten kraj?... Ach, tam, tam, o moja miła,
 Tam był mi raj, pókiś ty ze mną była!

Znasz-li ten gmach, gdzie wielkich sto podwoi,
 Gdzie kolumn rząd i tłum posagów stoi?
 A wszystkie mnie witają twarzą białą:
 „Pielgrzymie nasz, ach, co się z tobą stało!”
 Znasz-li ten kraj? Ach, tam, tam, o moja miła,
 Tam był mi raj, pókiś ty ze mną była!

Znasz-li ten brzeg, gdzie po skalistych górach
 Strudzony muł swej drogi szuka w chmurach?

Gdzie w głębi jam płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał w kaskadach grzmia potoki?
Znasz-li ten kraj? Ach, tu, o moja miła!
Tu byłby raj, gdybyś ty ze mną była!

ŚWIATŁO I CIEPŁO.

Z SZYLLERA.

Dzielny młodzieniec między świeckie zgraje
Wychodzi pelen otuchy,
A co mu tylko wewnętrzne marzą duchy,
To się i zewnątrz wydaje.
Pędzi więc, ogniem niebieskim karmiony,
Pędzi za prawdą śmiałymi ramiony.

Ale, niestety, skoro wszystko zważy,
Wszystko — nic lub drobność licha;
Wtenczas, choć środkiem gminu się popycha,
Siebie tylko ma na straży,
I serce, dumne po tej zimnej próbie,
Bije tylko samo sobie.

Prawdo, o, prawdo! Twój błysk złotofarby
Choć zawsze świeci, lecz nie zawsze pali!
Szczęśliwi ludzie, co za nauk skarby
Skarbu serca nie oddali,
A najszcześniejszy, kto jednoczy społem
Duch zapaleńca ze światowca czołem!

1820.

AMALJA.

Z SZYLLERA.

Najpiękniejsza, jako anioł z raju,
Najpiękniejsza nad wszystkie dziewica!
Wzrok jej luby, jako słońce w maju,
Odstrzelone od modrych wód lica.

Pocałunek jej — ach, nektar boski,
Jako płomień gubi się w płomieniu,
Jak dwóch fletów żeniących się głoski,
Ku rajskiemu nastrojone pieniu!

Serce z sercem zbiega, zlatuje się, ściska,
Lico z licem zbiega się, drży, pali,
Dusza w duszy tonie — ziemia, niebo pryska,
Jak w stopionej okolo nas fali.

Niemasz jej! Daremnie, ach! daremnie
Myślą ścigam za pamiętek cieniem...
Niemasz jej — i wszelka rozkosz ciemnie,
Jako lekki dym, uszła z westchnieniem.

NAUKA.

Z GLEIMA.

Uczcie się, o przyjaciele:
Jest nauczycieli wiele.
Lew mocy, a lis obrotów,
Orzeł śmiałych uczy lotów,
Pszczołki, kędy szukać miodu,
Pająki, jak stawiać siatki,
Bobry, jak budować chatki.

Lecz wprzód uczcie się za młodu
Odemnie i od Karusi,
Jak brać i jak dawać busi.
Chodźcież uczyć się, chłopczęta!
Już lekcja rozpoczęta.

NOWY ROK.

MYŚL Z JEAN PAUL RICHTERA.

Skonał rok stary! Z jego popiołów wykwita
Feniks nowy. Już skrzydła roztacza na niebie —
Świat go cały nadzieją i życzeniem wita:
Czegoż w tym nowym roku żądać mam dla siebie?

Może chwilek wesółych? — Znam te błyskawice:
Kiedy niebo otworzą i ziemię ozłocą,
Czekamy wniebowzięcia — aż nasze żrenice
Grubszą, niżeli pierwej, zasępią się nocą.

Może kochania? Znam tę gorączkę młodości:
W platońskie wznosi sfery, przed rajske obrazy,
Aż silnych i wesółych strąci w ból i mdłości,
Z siódmego nieba w stepy, między zimne głązy.

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadam.
 Marzyłem boską różę — bliski jej zerwania
 Zbudziłem się, sen zniknął, róży nie posiadam.
 Kolce w piersiach zostały. — Nie żądam kochania.

Może przyjaźni? — Któżby nie pragnął przyjaźni?
 Z bogiń, które na ziemi młodość umie tworzyć,
 Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni
 Najpierwszą zwykła rodzić i ostatnią morzyć.

O przyjaciele, jakże jesteście szczęśliwi,
 Jako w palmie Armidy, wszyscy żyjąc razem!
 Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
 Choć każdy listek zda się oddzielnym żywiołem.

Ale kiedy po drzewie grad burzliwy chłóśnie,
 Lub je żądło owadów jadowitych drażni,
 Jakże każda gałązka dręczy się nieznosnie
 Za siebie i za drugie! — Nie żądam przyjaźni!

I czegoż więc w tym nowym roku będę żądał?
 Samotnego ustronia, dębowej pościeli —
 Skądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
 Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli.

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
 Chciałbym we śnie, z którego nic mię nie obudzi,
 Marzyć, jak-em przemarzył moje młode lata:
 Kochać świat, sprzyjać światu — z daleka od ludzi.
 Wilno, r. 1823.

Z PETRARKI.

Chiare, fresche e dolci aque.

O jasne, słodkie, o przeczyste wody,
 W których zwierciadlanej fali
 Laura kąpała swą anielską postać!
 Drzewko wysmukłej urody,
 I ty będziesz święte u mnie.
 W twym cieniu lubiła zostać
 Nieraz sama, zamyślona,
 I prześliczne jej ramiona
 Spoczęły nieraz na twej majowej kolumnie.

O błonia, w których brylantowa rosa
Nieraz obwiana jej lekkimi szaty —
I wy, trawki, i wy, kwiaty,
Ozdobo piersi i włosy,
Ostatni raz dajcie ucha
Ostatnim żalom cierpiącego ducha!
Jeśli tak chciały wyroki
I niebios okrutna wola,
Ażebym cierpieć i płakać do zgonu —
Niech przynajmniej moje zwłoki
Pośród zielonego pola
Zasną, gdy duch uleci ku bramom Syonu!

Z niewielką umrę trwoga,
Choć umieram w lat mych kwiecie,
Jeśli nadzieję uniosę błoga,
Że duch mój pośród tej błoni,
W milej i cichej ustroni
Zostawi łódkę, w której błakał się po świecie.

Może którego poranka
Piękna, okrutna kochanka
Zabłądzi w znane doliny,
Gdzieśmy szczęśliwe pędzili godziny,
I swe jasne, wdzięczne oko
Zwróci, szukając mię wszędzie —
Ujrzy wzgórek pod opoką —
Ach, to mój grobowiec będzie —
I może wtenczas iskierka miłości,
Albo litość ją poruszy:
Westchnie, a to westchnienie za progiem wieczności
Odezwie się w mojej duszy —
I nad mogiłą stanie zamyślona,
Oczy jej zaćmi łez mglista zasłona

Tu niegdyś wietrzyk pośród majowego lasku
— Chwila ta dla mnie będzie wiekopomna —
Kwiaty na pierś jej strząsał klejnotów potokiem,
A ona w takim blasku
Siedziała skromna,
Jak bóstwo, różnobarbnym zakryta obłokiem.
Jedne kwiaty na kolana,

Drugie pomiędzy warkoczów pierścienie
 Sypiąc się, błyszczą, jak girlanda, tkana
 W perły i drogie kamienie.
 Ten kwiatek do nóg jej pada,
 Ten odleciał i, smutny, chce się w strumień rzucić,
 Inny błądzi w powietrzu i zdaje się nucić:
„Tu miłość włada!”

Natenczas, pełen świętego przestachu,
 Myślałem, że z niebios gmachy
 Zstępującego dostrzegam anioła.
 Ten wzrok, ten uśmiech, ten majestat czoła,
 Ten głos wdzięczny — ileż razy
 Uniosły duszę w tak rozkoszne błędy,
 Że, otoczony rajskimi obrazami,
 Pytałem sam siebie,
 Jak tu przybyłem — i kiedy? —
 Bo mnie się zdało, że już byłem w niebie!
 Ostaflewo, 1827.

UGOLINO.

WYJĄTEK Z „BOSKIEJ KOMEDJI”.

Dante z Wirgiliuszem zstępują do piekła. Przeszedłszy
 jego różne oddziały i przypatrzwszy się różnym karom,
 spotykają Ugolina. Ten, zapytany od Dantego, opowiada
 mu, jak był z dziećmi głodem zamorzony.

Z PIEŚNI III.

*Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
 Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
 Przeze mnie droga w naród zatracenia:
 Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki.
 Wzniósła mię z gruntu potęga wszechwładna.
 Mądrość najwyższa, miłość pierworodna:
 Kto wchodzi do mnie, żegna się z nadzieją.
 Te słowa ryte na bramie czernieją:
 Ich treść, o Mistrzu, jest dla mnie tajemną.*

On głosem, zwykłym świadomej osobie:
*„Tu — rzecze — z marnych wyzuj się przestרחów!
 Wszystko, co podłe, niechaj zamrze w tobie!
 Spuścić się mamy do wieczności gmachów
 I napotkamy tłumy niezliczone,
 Wiekuistego światła pozbawione”.*

Rzekł, przyjacielską rękę mi podaje,
Dobrotliwemi zachęca uśmiechy.
Uczulem w sercu wzruszenie pociechy
I szedłem śmiało w tajemnicze kraje.
Stamtąd wzdychania, żale i okrzyki
Szumią wśród nocy bez gwiazd i księżycy —
Słucham — i łzami nabiegła żrenica.
Okropny hałas, tysiączne języki,
Wybuchy gniewu, szlochania boleści,
I wycie mężów i lament niewieści...
Zgiełk przeraźliwy tak rozlicznych wrzasków
To wre na przemian, to się spolem zetrze,
Jako tumany afrykańskich piasków,
Kiedy się zerwą i zmacą powietrze.

Z PIEŚNI XXXII. KONIEC.

Gdy z miejsc okropnych szukamy przechodu,
Dwóch potępieńców ujrzałem w parowie,
Wyższy niższemu głową legł na głowie;
A, jak łakomie szarpiemy chleb z głodu,
Tak on zatopił kły w ciało sąsiada,
Tam, kędy czaszka do barków przypada.
Nie z takim gniewem Tydej, zemstą ślepy,
Menalipowej głowy gryzł czerepy,
Jak on swą zdobycz żuje i wysysa.
„Człowieku — rzekłem — co paszczą tygrysa
Mścisz się nad wroga nienawistną głową,
Powiedz mi, jakie masz zemsty powody,
A ja ci moją odpłacę wymową
Kiedys pomiędzy ziemskimi narody,
Jeśli mię Pan Bóg żywcem stąd wydzwignie.
A język w ustach moich nie zastygnie!”

PIEŚŃ XXXIII.

Od strawy dzikiej oderwał paszczękę
Ów potępieniec i krew z ust ocierał
Włosami czaszki, której mózg pożerał,
I mówi: „Srogą chcesz odnawiać mękę!
Serce mi pęka, nim usta otwieram —
Lecz, gdy ze słów mych, jak z nasion, dojrzeje
Hańba dla zdrajcy, którego pożeram —
Słuchaj, wypowiem, wypłacę me dzieje!..”

Nie wiem, kto jesteś, przez jaki cud nowy
Zaszedłeś do nas, lecz po dźwięku mowy
Poznaję w tobie Włocha, Florentina:
Widzisz przed sobą hrabię Ugolina,
A ten, co teraz jest mej zemsty łupem,
Zwał się Rudziery, był arcybiskupem.
Jak mię w zdradzieckie usidlono słowa,
Jak nieostrożnie wpadłem w jego ręce —
Nie warto mówić, bo rzecz nie jest nowa.
Lecz o mym zgonie, o mej strasznej męce,
Jeśli nikt wieścią uszu twych nie skaził,
Słuchaj i osądź — czy on mnie obraził?

Jest w głębi wieży podziemna pieczara,
Sławna mym zgonem; dziś może w niej jęczy
Na nowo jaka niewinna ofiara.
Tam, oknem, witem z żelaznych obręczy,
Widziałem mnogich księżyców oblicze,
Aż mnie raz we śnie przywidziana mara
Zdarła przyszłości chmury tajemnicze.
Przyśniło mi się, że biskup zawzięty
Polował wilka z małemi wilczęty
Na owej górze, co wzniosłemi szranki
Z Pizańską ziemią i Lukką graniczy.
Już chudą psiarnię zemkniono ze smyczy —
Hrabia Gwalandi, Sismondi, Lafranki
Szczują na czele: zdobycz będzie łatwa.
Już wilk znużone zatrzymuje kroki —
Upada wreszcie i ojciec i dziatwa —
I widzę kłami rozprute ich boki.
Budzę się. Jeszcze noc nie zesła z nieba —
Już moje dziatki, współniki niewoli,
Szlochają przez sen i wołają chleba!
O, jeśli dotąd serce ci nie boli,
Kiedy pomyślisz, co się we mnie działo,
I co me serce nadal przeczuwało,
Jeśli nie płaczesz — któż ci łzy wycisnie?
Budzą się dzieci; wkrótce chwila błysnie,
W której nam zwykle udzielano strawy —
Lecz, na sen pomnać, truchlałem z obawy.
Wtem z bram więzienia łoskot mię doleci —
Zamurowano! — Spojrzałem na dzieci,

Spojrzałem z niemej wyrazem rozpacz —
A w głębi serca czułem mróz, jak w grobie.
Gwido mój mały wołał: „Co to znaczy?
Tak dziko patrzysz, ojciec mój! Co tobie?
Nie mogłem mówić, ni ży z oczu dostać:
Milczałem — długo — aż do nocy końca.
Nazajutrz do nas zbłądził promyk słońca,
I w twarzach dzieci ujrzałem mą postać:
Natenczas z bólu gryzłem obie ręce.
Synowie, myśląc, że mię głód tak pali,
Łamiąc rączeta, ze łzami wołali:
„Ojciec kochany, ulżyj twojej męce!
Zjedz twoje dzieci! Tyś nas ubrał w ciało,
Tobie nas biednych rozebrać przystało!“
Musiałem milczeć i ból w sobie morzyć...
Wkrótce i mowa w ustach nam zamarła:
Jęczeć nie śmiałem, by dzieci nie trwożyć.
O, ziemio, czemuś ty nas nie pożarła!
Weszło czwartego dnia światło zabójcze —
Anzelmek mały przywłókł się pod nogi
I, rozciągniony, wołał: „Ojciec drogi!
Ach, czemu ty nas nie ratujesz, ojciec?“
Wołał i skonał! — Jak mnie tu widzicie,
Tak ja widziałem wszystkie dzieci moje,
Jedno po drugim — wszystkich było troje —
Wszystkie u nóg mych zakończyły życie!
Od zwłok jednego do drugiego biegłem,
Ślepy, na trupach, potknąwszy się, ległem...
Dzień jeszcze siódmy do słońca zachodu
Krzychałem z żalu, a na koniec — z głodu,
Bo głód był jeszcze sroższy od żalości...”

Skończył i, dziko wywróciwszy oczy,
Na nowo usta w krwawą czaszkę broczy
I, jak pies, zębem zgrzytając, rwie kości.

PRZYPOMNIENIE.

Z ALEKSANDRA PUZSKINA.

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary,
I noc, wpół-przejrzystą szatę
Rozciągając nad głuchej stolicy obszary,
Spuszcza sen, trudów zapłatę —

Wtenczas mnie, samotnemu, rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleka,
Wtenczas mnie ukąszenia serdecznej gadziny,
Bezczynnemu, srożej pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza,
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i przypomnienie w milczeniu roztacza
Przedę mną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i z przestraczem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam
I serdecznie żałuję, i gorzkie łyżę leję —
Lecz smutnych rysów nie zmywam.

SZANFARY.

KASYDA Z ARABSKIEGO.

Bracia moi, postawcie wielbiady na nogi!
Dzisiaj Szanfary od was jedzie między wrogi;
Gotowe juki rzemień do garbów przycisnął —
Dalej w drogę! Noc ciepła i księżyc zabłysnął.

Dalej! — Jeśli przed skwarem na ziemi są cienie,
Dla mężnego przed hańbą znajdzie się schronienie,
I nie będzie mu ciasno, jeśli przy rozumie
Gonić rozkosz — a zgubie wymykać się umie.

Znajdę ja druhów, których przyjaźń więcej warta;
Znajdę płowego wilka i pstrego lamparta,
Hienę, zdobycz kroki pędzącą chromemi —
To moi przyjaciele. — Niemasz między niemi
Półgłówka, co mu tajnia w ustach nie doleży,
Co brata bladzącego z szyderstwem odbieży.
U nich na krzywdę — zemsta, na gwałt — moc gwałtowna;
Waleczni, ale w męstwie żaden mi nie zrówna.
Nieprzyjaciółom pierwszy ja skacę do oczu,
A gdy przyjdzie łup dzielić, stoję na uboczu;
W działę łupów łakomstwo chyżością zwycięża,
Ja czynię obyczajem dostatniego męża.
Nikt wielkością umysłu nie zdoła mi sprostać.
A kto czuje swą wyższość, godzien przy niej zostać.

Porzucam was i tęsknić nie będę za wami,
Których nie przyciągałem dobrodziejstw więzami
I do których nie lgnęło nigdy serce moje.
Dosyć mam towarzystwa, gdy zostało troje:
Serce waleczne — szabla, z której ognie biją —
I łuk żółty, wielbłądzią krzywiący się szyją,
Przy którym pas bogaty, suta frendzla spływa,
Majdan gładko ciosany i tęga cięciwa,
Co tak żałośnie jęczy, gdy z niej grot wyleci,
Jako matka, wydarte ścigająca dzieci.
Jam nie sługa pragnienia, co się w noc zaczyna
I, odstraszywszy żrebce, sam kłacze wydaja;
Jam nie tchórz, ni za dziewic ogonem włóczęga,
Co w każdej drobnej sprawie rady ich zasięga.
Nie strusie serce moje! Choć strach zakołata,
Nierównym pędem w piersiach, jak wróbel, nie lata!
Kto mię widział od rana do nocy wśród gachów,
Brew malować, włos trefić w kąpieli zapachów?
Czy mię kiedy noc zbłąka? Choć piaszczysta fala
Tumanami okręci i żwirem zawala,
Lecę na mej wielbłądce: wrą u nóg ukropy,
Krzemienie, iskry sypiąc, przyskają z pod stopy.
O głodzie, choć najdłuższym, w wielkomyślniej dumie
Nigdy wspomnieć nie raczę, i tak go zatłumię;
Karmię się prochem ziemi, a głód, nadaremnie
Pasując się, wyznaje, że słabszy ode mnie.
Gdybym został w obozie, gdzież więcej napitków,
Więcej jadła, niż u mnie do potrzeb i zbytków?
Ale mam duszę gorzką, co się z hańbą kłóci,
I, jeśli was nie rzucę, dusza mię porzuci.
Teraz pragnienie skręca wnętrzości w mem łonie,
Jak nić, różnie targaną na prządki wrzecionie.

Z rana wybiegam na czczo, podobny wilkowi,
Co wygłodniały hasa i wiatr paszczą łowi
I z pustyni w pustynie, w wawozów rękawy
Przeciska się, włóczęga, czatujący strawy —
A gdy na długich czatach darmo się utrudzi,
Wyje — wtórują wyciem towarzysze chudzi.
Jako z łonem niepełnem wschodni księżyc cienki,
Tak zapadłe ich boki, wychudłe paszczęki.
Zęby dzwonią, jak strzały we wróżka prawicy,
Albo jak roje pszczelne, gdy wkoło rodzicy

Szumiaćą polatują na pagórek rzeszą,
Gdzie drabinki bartnika gronami obwieszają.
Paszcza ich wychudzona, ponura i gniewna —
Gardziel rozdarła nakształt rozkłutego drewna;
Zawył — i oni wyją, biegnąc na pagórki,
Jak płaczące farysa małżonki lub córki.
Umilknął — oni milczą. Wycie mu ulżyło —
I dla nich słyszeć równie wyjącego miło.
Zda się, że spólność głodu wnętrzości uciszy:
Znowu skarży się, znowu skarżących się słyszy;
Umilkł w końcu, umilkła wrzaskliwa gromada.
Lepiej w milczeniu cierpieć, gdy wrzask nic nie nada.

Jeśli do studni jadę, lecący pułk strusi
Daremnie grzmi skrzydłami: męty spijać musi,
Nie zgoni mej wielbłądki bystry ich wódz stada:
Ja dojeżdżam — spragniona zostaje gromada.
Jużem odjechał. — Ptastwo runęło na męty,
Wole ich rozciągnięte, dziób, ku studni zgięty,
Jest posłem dobrych wieści; wre ciżba hałasem,
Jak obóz karawany, siedzącej popasem.
Znowu śmignęły w górę, znowu w studnię wpadły,
Ścisnęły się na koniec i zręby obsiadły
I, ryczałem wypiwszy, rozwinęły loty,
Jak runące z oazy beduinów rotę.

Ziemia twarda, mnie družka: nieraz do jej łona
Tuliłem kark mój suchy i chude ramiona,
Których stawy sterczące tak policzyć snadno,
Jak kostki, co z rąk gracza na ławę wypadną.

Jeżeli wojna tęskni za Szanfarym sługą,
Toć Szanfary jej służył i wiernie i długo.
Dziś nieszczęście w mą duszę, jak w piłkę, zagrało,
Boleści podzieliły losem moje ciało.
Każda bieda najpierwej na mój kark się wsuwa:
Kiedy zasypiam, bieda u głów moich czuwa
I, wytrzeszczywszy oczy, patrzy, skąd ugodzić.
Troski kolejną febrę zwykły do mnie chodzą,
Ale od febry gorzej nie dają pokoju:
Lecą do mnie, jak ptaki spragnione do źródła:
Sto razy je odpędzisz — i setnemi chmury
Znowu uderzą z boku i z dołu i z góry.

Wiedzie, jak w upał boso lecę przez pustynie,
Podobny córce piasku, błyszczącej gadzinie.
Choć miękko wychowany i z przodków bogaty,
Alem syn cierpliwości: włożyłem jej szaty
Na pierś, w której hieny przemieszkiwa śmiałość —
Za obuwie na nogi — włożyłem wytrwałość.
Na stepach bez namiotu, w skwary bez pokrycia,
Jam wesół i bogaty, bo nie szczędzę życia.
W dniach szczęścia dostatkami nie byłem odęty,
Głupie lenistwo dla mnie nie miało ponęty:
Czyli z nadstawionem uchem za plotkami latał?
Czyli na cudzą sławę potwarze wymiałał?

Pamiętacie noc klęski — tę noc niepogodną,
Noc, tak straszliwie ciemną, tak okropnie chłodną,
Że Arab grzał się, paląc własny łuk i grotę?
Ja wybiegłem na boje śród mroku i słoty:
Przewodniczką mi była błyskawic pożoga —
Towarzyszami piorun, okropność i trwoga.
Osierociłem dzieci, owdowiłem żony,
Wróciłem, jakem wyszedł, nocą otoczony.
Nazajutrz, gdym spokojnie w Gumaiza leżał,
Mówiono o mnie w stepach, którem w noc przebieżał.
Zeszła się nieprzyjaciół dwoista gromada,
Jedna z nich zapytuje, druga odpowiada:
„Słyszano, mówią, wczora nocne psów warczenie;
Zdało się, że wilk przebiegł lub hieny szczenie,
Albo ptak przebudzony skrzydłami gdzie musnął,
Bo pies zawarczał tylko i po chwili usnął.
Może to Diw, przechodząc, tyle szkody zrobił?
Może człowiek? Nie, człowiek tyluby nie pobіл“.

Ja w dzień, gdy niebo wrzało ogniami letniemi,
Tak, że żmije od skwaru skakały po ziemi,
W dziurawym płaszczu padłem na żwiry kipiące
I, zdjawszy turban, głową wyzywałem słońce,
A włos mój, brudu pełny, nie znający woni,
Kołtunami przylegał do niemytej skroni.

Łono pustyni, co się bez końca rozszerza,
Tak twarde i tak nagie, jako grzbiet puklerza,
Nieraz cale bosymi przemierzyłem stopy,
Gdy ujrzałem nad głową skał podniebne stropy:

Na klęczkach pnać się, jak pies, wlałem im na czoło.
Tam dzikie antylopy biegały wokoło,
Białonogie i wełną odziane bogata,
Jak nadobne dziewice wlokącą się szatą —
I w oczy mi bez trwogi patrzyła gromada,
Bo myślały, że jestem kozieł, wódz ich stada,
Co mu rogi w tak długie płątrzą się ramiona,
Że, wznosząc łeb, rogami dostaje ogona,
Albo niemi do skały przyczepia się szczytu
I wisi, jako ptaszek w otchłani błękitu.

ALMOTENABBI.

Z ARABSKIEGO, WEDŁUG TŁUMACZENIA LAGRANZA.

Pókiż przez głuche piaski i przez dzikie łądy
Mam lecieć, za gwiazdami wypuściwszy wodze?
Gwiazdy, nóg nie mające, nie ustaną w drodze,
Jak ustają znużeni ludzie i wielbłądy.

Gwiazdy patrzą się wiecznie, bo nie mają powiek
Znużonych bezsennością, jak podróżny człowiek.

Słońce nam poczerśniło oblicza i czoła —
Siwym włosom czarność przywrócić nie zdoła.

Czyliż sędzia niebieski sroższym dla nas będzie,
Niżli ziemscy, litości nie mający sędzie?

Wody mam dość na drogę: kiedy z deszczem płynię,
Zbieram ją i w skórzane zamykam naczynie.

Pędzę z gniewem wielbłądy: nie gniewam się na nie,
Lecz niech czują, że z panem idą na wygnanie,

Wyjeżdżając z Egiptu, do wielbłądów rzekłem:
„Bieście i przednie nogi popędźcie tylnemi“. —
I, opuściwszy Egipt, jak strzała, uciekłem,
Przez sąsiedzkie krainy Dżars i Alalemi.

Darmo rumak arabski wyprzedzić mię żąda:
Kark jego leci w poręcz z garbami wielbłąda.

Młody mój orszak zna się dobrze ze strzałami,
Jak guślarz, co je miesza, gdy lud wróżbą mami.

Ilekoć turban zdejmą, włos czarny i długi
Wije się na ich głowach, jakby turban drugi.

Choć puchem młodocianym okryte ich skronie,
Ręka ich wali jeźdźce i zabiera konie.

Więcej zdobyli łupów, niż mieli nadzieję,
Jednak łup ich głębokiej żądzы nie naleję.

Ich bitwa, jak u pogan, wieczna i zacięta,
A bezpieczni pod bronią, jakoby w dzień święta.

Nieme dzidy, z ich ręki wypuszczone w pole,
Nauczyły się świstać, jak skrzydła sokole.

Nie ustana wielbłądy, chociaż się zapienia
I, depcąc Regl i Ganem, nogi uzielenia.

Bicz mój od cudzej łaki wielbłąda odstraszy,
Bo tylko na gościnnej odpoczniemy paszy.

Dziś Pers i Arab będzie pastwiska nam skapił,
Bo Abu Szodża Fatik do mogiły zstąpił.

Lud egipski drugiego Fatika nie liczy,
Jego miejsca na świecie nikt nie odziedziczy.

Abu Talib za życia nie miał równych sobie:
Dzisiaj wszyscy umarli równi jemu w grobie.

Jegom szukał mem okiem, wołał memi usta:
Cóż znalazłem dokoła? Świat głuchy i pusty.

Tam wróciłem, skąd niegdyś byłem wędrownikiem,
I znowu chcę z piórami odnowić zabawę,
Ale mię pióro czarnym ostrzegło językiem:
„Nie piórem, ale mieczem zarabiał na sławę!

Weźmiesz pióro, gdy rękę zmordujesz żelazem;
Pióro pracuje tylko za miecza rozkazem“.

Tak mię pióra uczyły w przyjaznej rozmowie:
Trzeba było posłuchać, z głupstwa się uleczyć.
Nie słuchałem — i teraz nie mogę zaprzeczyć,
Żem sam sobie zaszkodził, że mi braknie w głowie.

Mieczem można się tylko celu życzeń dobić;
Spytaj, czy kto na życie mógł piórem zarobić.

Gdy podróżujesz, obcy lud patrzy na ciebie,
Jak gdybyś żyć przychodził o żebraczym chlebie.

Niesprawiedliwość ludzkie rozdziela plemiona,
Chociaż wyszliśmy wszyscy z jednej matki łona.

Ha — dziś inaczej będę gościnności szukać:
Wprawny do miecza, mieczem będę do drzwi stukać.

Niechaj oręż rozstrzygnie, kto karku uchyli:
Czy owi, co cierpieli — lub ci, co gnębili.

Oreża z ręką naszych wydrzeć im nie damy:
Dłoń moja nie ma drzączki, a miecz nie ma plamy.

Niechaj wzrok do bolesnych widoków przywyknie:
To, co widzisz na jawie, jak sen, prędko zniknie.

Nie skarż się, bo źli ludzie z twojej skargi dźwięku
Cieszą się, jako sepy z konających jęku.

Dobra wiara uciekła i osiadła w księgach;
Darmo szukać jej w ludzkich mowach i przysięgach.

Chwała Bogu wielkiemu, stwórcy mojej duszy!
Z jego łaski i trudy i nieszczęścia znoszę,
I na długiem wygnaniu znajduję rozkosze,
Kiedy inni w najsroźszej dręczą się katuszy.

Nad cierpliwością moją dziwiły się losy,
Bo twardsze ciało moje, niżeli ich ciosy.

Śród terażniejszych ludzi smutnie płyną chwile:
Wolałbym żyć przed wieki, a dziś być w mogile.

Czas ojciec, będąc młodym, naszych przodków stwarzał,
A nas nikczemnych spłodził, gdy się już zestarzał,
1829.

MORLACH W WENECJI Z SERBSKIEGO.

Gdym ostatniego cekina postradał,
I gdy mię chytra zdradziła niewiasta,
Chodziłem smutny, a Włoch mi powiadał:
„Dymitry! Pójdźmy do morskiego miasta:

Piękne dziewczęta znajdziem w jego murach
I grosza więcej, niż kamieni w górach.

Żołnierze w złocie i w jedwabiu chodzą
I dobrze piją i dobrze się bawią:
Nakarmią ciebie, napoją, nagrodzą
I bogatego do domu wyprawia.
Wtenczas twa kurtka srebrnym haftem błysnie,
Na srebrnym sznurku twój kindżał zawisnie.

Gdy wnijdziesz do wsi — kędy się obrócisz,
Do okien będą cisnąć się kobiety,
A gdy przed oknem staniesz i zanucisz,
Będą ci sypać do czapki bukiety.
Pójdźmy, Dymitry. Do okrętu wsiedziem,
Pojedziem w miasto i bogaci będziemy“.

Wierzyłem, głupi, rzuciłem ojczyznę
I, góral, wszedłem w ten okręt z kamienia.
Tu czuję w chlebie powszednim truciznę,
W powietrzu darmo szukam odetchnienia;
Ni wolnej myśli, ni wolnego ruchu —
Przykuty zdycham, jak pies na łańcuchu.

Kiedy dziewczętom rozwodzę me żale,
Dziewczeta szydzą z mojej obcej mowy:
Tu nawet moi rodacy górale
Przyjęli język i obyczaj nowy.
Jestem, jak drzewo, przesadzone w lecie:
Słońce je spali, a wichher rozmiecie.

Miło na górach spotkać znajomego!
Wszystko to byli przyjaciele starzy.
„Witaj — wołali — synu Aleksego!“
Tu nie spotykam żadnej znanej twarzy:
Jestem jak mrówka, wychowana w lesie,
Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie,

ARYMAN I OROMAZ.

Z ZENDA-WESTY.

W samym przepaści niezgłębionej środka,
W samym ciemności najgrubszym zarodku,
Osiadł Aryman, jak złodziej ukryty,
Gniewny, jako lew, jak wąż, jadowity.

Onego czasu nadał się i dźwignął
I wielką ciemność piersiami wyrzygnął
I po ciemności, jak pająk po sieci,
Szczebłował w górę, tam, gdzie Bóstwo świeci.

Oparł się o dnia i nocy granice,
Wynurzył głowę i podniósł źrenice —
A skoro ujrzał w samym niebios środku,
W samym jasności najczystszej zarodku
Oromadesa, co wśród tworów świeci,
Jak wśród gwiazd słońce, jak ojciec wśród dzieci —
Skoro na widok przedwiecznego słońca
Zły duch pomyślał o szczęściu bez końca —
Ta myśl, ogromna, jako świata brzemię,
Z takim ciężarem padła mu na ciemność,
Że stracił siłę, runął na dół głową
Przez wieki wieków — i osiadł na nowo
W samym przepaści niezgłębionej środku,
W samym ciemności najgrubszym zarodku.

1830.

DO PRYSKA.

Z HORACJUSZA CARM. II. 2.

Nie świecą kruszce w ziemi skwarnem łonie,
O, nie lubiący pleśni złotej, Prysku,
Jeśli jej mądre nie udziela dłonie
Użytkiem — błysku.

W późnych Prokulej rodach cześć odbierze,
Jak ojciec, sercem dla braci łaskawy;
Wabi go, spocząć nie lubiące, pierze
Wieczystej sławy.

Większy król, chuciom gdyś nie dał przewagi,
Niż gdybyś złączył boki oceanu,
I gdyby tobie obiedwie Kartagi
Służyły, panu.

Napitków sobie opuchli nie skapia.
Pragnienie rośnie i dopóty gore,
Dopóki z cielska bladego ustapia
Wilgoci chore.

Gmin wielbi jasność i szczęście Fraota,
 Lecz, pozornego nie cierpiąca względu,
 Wbrew gminnym zdaniom wytrąca go cnota
 Z szczęśliwych rzędu.

Temu przystoją w laur więzione włosy
 I z prawem berłem tygryjska powłoka,
 Zwalonych skarbów kto pominął stosy,
 Nie krzywiąc oka.

1819.

ELEGJA.

Z OWIDJUSZA.

Si qua mētē...
 (Lib. IV. Elegja 1).

Jeśli błędy spotkają błędów w pieśni wiele,
 Przez wzgląd słuszny darujcie błędom, przyjaciele!
 Za pociechę wygnaniec — nie za sławą goni.
 Pieśń dźwiga myśli, w gorzkiej grążące się toni;
 Tak pieje kopacz więzień i pieniem bez kształtu
 Ujmie trudu robocie, ujmie troskom gwałtu.
 Gdy flisa tratwy z nurtem klóćące się nagna,
 Pieje flis, stopy w lipkie zatapiając bagno;
 I nędzny lud, łańcuchem ku wiosłu przygięty,
 W takt wiosłem robi, morskie w takt kraje odměty.
 Ledwie na kopie wsparł się, lub usiadł na darni,
 Spocony pasterz, słomkę nuci swej owczarni.
 Kiedy się to pieśń ciągnie, to zważona przędza,
 Łatwy trud służebnicy, czas się milej spędza.

1819.

Z PINDARA.

OLYMPJA I.

STROFA CZYLI CHÓR I.

Najpierwszą woda istotą —
 A jakoby żar ogniska
 Z nocnych ciemności błyska,
 Tak z wieimóżnych skarbów złote —

I pierś luba, jeśli płonie
Zwycięskie zabrzmieć jazdy.
Nigdzie ty jaśniejszej słońca
Dniem innej nie patrzaj gwiazdy
W przepaścistym niebios łonie,
Ani innych piej, bardonie,
Nad Olimpji gońca!
Skąd duchem mędrców hymn znamienity,
By uwielbić plemię Krona,
Pod pańskie wystąpi szczyty
W święte dworce Hierona.

DRUGI CHÓR.

Łaskawem co berłem włada
Sycylii, możnej w stada —
On wszystkich cnót blaskiem płonie,
Muzyków on kwiat i czoło,
Jacy przy biesiadnem gronie
Nieraz igramy wesoło.

Ale weź bardon ze ściany
I piej na doryckiej strunie,
Jeżeli ci pizańskie łąny
Myśl do słodkich dumań boda.
I konia wygrańca chluba,
Co po nad Alfeju wodą
Lotnem ciałem u rydwana
Zwycięstwo zgonił dla Pana,

OBADWA CHÓRY.

Syrakuzana, rumakoluba
Króla. Blask jemu w dalekiej stronie,
Kędy Pelopa Fryga osady,
Którego ty, ziemio władcy,
Ukochałeś Pozejdonie,
Gdy młodzieńca nad kadź złotą,
Ujawszy za ramię słońce,
Jasnego dobyła Kłoto!

O niesłychane cuda!
Tak śmiertelnej mowy treści
Nad prawdę umie obłuda
Kraśnemi opłatać wieści.

ZDANIA I UWAGI

Z DZIEL JAKUBA BEMA, ANIOŁA ŚLAZAKA (ANGELUS
SILESIVS, I SĘ-MARTENA.

RZECZ ZANIEDBANA.

Jedna jest rzecz na świecie godna ludzkiej pieczy;
Ludzie o wszystkim myślą, prócz tej jednej rzeczy.

PAX DOMINI.

Pokój jest przyszłem dobrem, przyszłem szczęściem mojem;
Nie chciałbym Boga, gdyby Bóg nie był pokojem.

STOPNIE PRAWD.

Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi,
Są takie, które szepce swemu narodowi,
Są takie, które zwierza przyjaciółom domu,
Są takie, których odkryć nie może nikomu.

VENI, CREATOR SPIRITUS.

Niech się twa dusza, jako dolina, połóży,
A wnet po niej, jak rzeka, popłynie duch boży.

ŚRODEK.

Bóg nie nad głową mieszka, lecz w środku człowieka:
Więc, kto w głowę zachodzi, od Boga ucieka.

KIERUNEK.

Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie:
Gdzie chylił się za życia, tam po śmierci wpadnie.

FILOZOF I BÓG EMIGRANT.

Wygналиśmy z serc Boga, weźmiem dobra po nim,
Gadać o nim i pisać do niego zabronim.
Mamy nań sto gąb brząających i piór ostrych krocie —
A ten zbrodniarz emigrant myśli o powrocie?

SŁOWO I CZYN.

W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę:
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

CUR.

Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego
Zaczęła się najskromniej od słowa: *dlaczego?*

WŁASNOŚĆ JEST NĘDZĄ.

Czemu szatan, jak nędzarz, wszystkim dóbr zazdrości?
Bo sam nic nie posiada, prócz swojej własności.

RUSZTOWANIE.

Duch jest budowla, ciało, jako rusztowanie:
Musi być rozebrane, gdy budowla stanie.

BŁOGOSŁAWIENI CISI.

O kawał ziemi dobija się plemię;
Zostań cichym, a możesz posieść całą ziemię.

DROGA DO WIECZNOŚCI.

Ci, co nad czas i miejsce ducha swego wzbili,
Mogą czucia wieczności doznać w każdej chwili.

CZŁOWIEK WIECZNOŚCIĄ.

Sam człowiek jest wiecznością, kiedy nad świat zdąży
I Boga w sobie — a sam w Bogu się pogrzyży.

BOGACTWO ŚWIĘTEGO.

Człowiek święty jest równie, jak stwórca, bogaty,
Bo stwórca z nim podziela wszystkie swoje światy.

NIC DARMO.

Bóg nic darmo nie daje, lecz wszystko otwiera,
I każdy z Boga tyle, ile chce, zabiera.

MIARA BÓSTWA.

Bóg wznosi się tak górnio, tak szeroko leży,
Że granic bóstwa swego sam nigdy nie zmierzy.

CNOTA.

Gdy pełnisz cnotę, cierpisz trudy i kłopoty,
Jeszcześ nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.

PRÓBA.

Wtenczas powiesz, człowieku, żeś godzien zhawienia,
Jeśli zdołasz wniknąć w piekło i nie czuć płomienia.

NIEUFNOŚĆ.

Obraża niebo podła i nieufna tłuszcza,
Co wzywa Boga, lecz się na Boga nie spuszcza.

SKĄD MĘKA?

Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kątą:
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

BOŻE NARODZENIE.

Wierzysz, że się Bóg zrodził w Betleemskim żłobie,
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie.

FIGURA NIE ZBAWI.

Krzyż, wbity na Golgocie, tego nie wybawi,
Kto sam na sercu swoim krzyża nie wystawi.

ROZMOWA.

Duch z bezdeni swej woła, Bóg ze swej bezdeni
Odpowiada — obadwa równo niezgłębieni.

GDZIE NIEBO?

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie:
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

JAK SŁUCHAĆ?

Kto pragnie wieczne słowo w głębi własnej duszy
Sam wyraźnie usłyszeć, niech wprzód zamknie uszy.

SŁOWO I CIAŁO.

Słowo stało się ciałem, ażeby na nowo
Ciało twoje, człowieku, powróciło w słowo.

CEL STWORZENIA.

Czego szuka stworzenie od wieków tak wiele?
Szuka tylko spoczynku swego Stworzyciela.

WARUNEK ZGODY.

Gdybym tyle, jak Chrystus, mógł wziąć bóstwa w siebie,
Zaraz stałbym się władcą na ziemi i niebie.

DO RAJU PRZEBOJEM.

Do raju drzwi otwarte — ale rzadki zdoła
Przebić się przez ogniste miecze Archanioła.

RÓZNICE.

Czemu jest pierś anielska więcej Bogu droga,
Niż pierś muchy? Bo więcej bierze w siebie Boga.

WZAJEMNOŚĆ.

Ile się dusza wzruszy, tyle Boga wzruszy;
O ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy.

JA.

Gdyby szatan na chwilę mógł wyniść sam z siebie,
Toby w tej samej chwili już ujrzał się w niebie.

NISKIE DRZWI.

Pomiędzy dzieci boże próżno ten wniść pragnie,
Kto się u drzwi tak nisko, jak dziecko, nie nagnie.

OSZUKAŃSTWO.

Wołasz do Boga: Ojcze! — Ojciec wnet przychodzi,
Aż — zamiast dziecka — chłopca dużego znachodzi.

DAR NIE BOGIEM.

Kto modli się o dary, złe pacierze mówi,
Bo modli się stworzeniu, nie Stworzycielowi.

SKĄD WOJNA?

Za co człowiek na bliźnich tak często uderza,
Jak na dzikie zwierzęta? Bo w sobie ma zwierza.

WOJNA TYLKO MIĘDZY RÓWNYMI.

Zwierz walczy ze zwierzęciem, boi się człowieka,
Człowiek walczy z człowiekiem, od ducha ucieka.

WARUNEK BEZPIECZEŃSTWA.

Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury.

WARUNEK NIETYKALNOŚCI.

Chcesz cało przejść pomiędzy światowym rozruchem?
Bądź dla zwierząt człowiekiem, a dla ludzi duchem.

POWOŁANIE CHYBIONE.

Smutni! Chorzy! Wy, zamiast cieszyć się i leczyć,
Wolicie wzajem siebie smucić i kaleczyć.

SKĄD TO?

Bóg jest dobrem: więc wszystko, na co duch narzeka,
Zło, śmierć i potępienie, pochodzą z człowieka.

UWAGA CHROMEGO.

Kiedy pierwszy raz wnijdę w jakie zgromadzenie,
By poznać ludzi, zważam pierwsze ich spojrzenie:
Rozsądni naprzód spojrzą na mą nogę prawą,
Głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

RÓŻNICA.

Dobry i zły zarówno chodzą za bliźnimi:
Jeden — żeby ich żywił, drugi — by żył nimi.

KRÓL I KAT.

Dobry człowiek, jako król, szuka, kogo wieńczyć;
Zły podobny do kata: szuka, kogo męczyć.

BŁOGOSŁAWIENI CISI.

Wszyscy walczą dla dobra: któż używać będzie?
Błogosławiony cichy! Ten ziemię posiedzie.

NARÓD CICHY.

Żaden naród prac swoich nie cieszył się płodem,
Bo żaden nie był ludu cichego narodem.

WIECZNA RZECZPOSPOLITA.

Pewna rzeczpospolita jest zawsze i wszędzie,
Chociaż państwem na ziemi nie była, ni będzie.

ZEGAR.

Niepokój jest zegarem, on czas ludziom stwarza:
Kto umorzył niepokój, wnet i czas umarza.

KRÓLESTWO BOŻE GWAŁT CIERPI.

Niebo samo nie spadnie, trzeba je osiągnąć.
I Pan Bóg sam nie zstąpi, potrzeba go ściągnąć.

NADZIEJA.

Trzymaj ten sznur, choć fala nad głową szaleje!
Wybrnąłby szatan, gdyby mógł chwycić nadzieję.

ZAPOMNIENIE SIĘ SZATANA.

Szatan wie, że Bóg wieczny i w sile niezmierny,
Ale o tem zapomniał, że Bóg miłosierny.

JEGO PRZECZUCIE.

Szatan przeczuwa dobrze wieczność swej katuszy,
Ale rozumowaniem to przeczucie głuszy.

O CO KLÓTNIA?

Od chwili, gdy zaczęli czarci z nieba spadać,
Kłóć się dotąd, kto z nich ma niebo posiadać.

JAKI ŻAŁ?

Powiadasz, że żal zbawia? Wszak czarty się żalą.
Żalą się, lecz na drugich — a sami się chwala.

KARA BOŻA.

Największego grzesznika Bóg sił nie pozbawia,
Tylko na karę własnym siłom go zostawia.

CZAS DZIAŁANIA.

Kto na wieczność pracuje, drogo czas szacuje,
Bo, kiedy czas ustanie, skończy się działanie.

WIECZNOŚĆ NIE MA CHWIL.

Czy wiecie, żeśmy dłużej, niżeli Bóg, żyli?
Bóg jest wieczny, a przecież nie żył ani chwili.

CZAS.

Czas jest łańcuch: im dalej od Boga ucieczesz,
Tem dłuższy i tem cięższy łańcuch z sobą wleciesz.

MILCZENIE.

Zaiste, miłe Bogu jest aniołów pieńie,
Ale daleko milsze człowieka milczenie.

CICHOSĆ.

Głośniejszy, niżli w rozmowach, Bóg przemawia w ciszy,
I, kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszysz.

ŹRÓDŁA.

Mówisz: „Niech sobie ludzie nie kochają Boga,
Byle im była cnota i Ojczyzna droga”.
Głupiec mówi: „Niech sobie źródło wyschnie w górach,
Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach”.

ODLEGŁOŚĆ.

Że do nieba daleko, niejeden narzeka:
Ziemia dalej, niżeli niebo, od człowieka.

GOŚĆ.

Wołasz Boga: on często schodzi pokryjomu
I puka do drzwi twoich, aleś rzadko w domu.

TRWOGA SZATANA.

Czemu sąd ostateczny tak szatana trwoży?
Czyli mu niewiadomy dotąd wyrok boży?
Czy on żałuje świata, który się ma złamać?
Żałuje — bo, bez świata, gdzież on będzie kłamać?

DLACZEGO KLAMIE?

Szatan, choć sobie mądrość i siłę przyznaje,
Wie, że kłamie, i wiary sam sobie nie daje:
Dlatego rad wśród ludzi zdania swoje szerzyć,
By, je słysząc z ust cudzych, mógł im sam uwierzyć.

ŻĄDZA NIEŚMIERTELNOŚCI.

Chcesz zyskać nieśmiertelność przez jaki czyn dzielny?
Głupieś! Czy chcesz, czy nie chcesz, będziesz nieśmiertelny.

TRÓJCA.

Bóg jest w Trójcy jedyny, ma pokój w radości;
Radość pochodzi z Trójcy, a pokój z jedności.

WESELE I CIERPIENIE.

Bóg w duchu swym wiecznego doznaje wesela,
A w nas cierpi o tyle, o ile się wciela.

ZGODNOŚĆ.

Dobry mistrz w takim tylko chórze śpiewać lubi,
Gdzie czuje, że głos własny w harmonji gubi.

JA.

Muzyk zmiesza orkiestrę najlepiej dobraną,
Jeśli, grając, stara się, żeby go słyszano.

BANK.

Dziwisz się, że po śmierci mała nasza cnota
Ma rosnąć w szczęście przez ciąg wiecznego żywota —
Nie dziwisz się, że jeden grosz, w banku złożony,
Za kilka wieków może urość w miliony.

GRZECH.

Grzech jest palnym żywiołem, więc, kto grzechu nie ma,
Może stać w środku piekła, ogień go nie ima.

APOSTOLSTWO I FILOZOFJA.

Filozof uczniom własnej nauki udziela —
Apostół tylko świadkiem jest nauczyciela.

ŚWIADEK I OSKARŻYCIEL.

Straszniejsze jest dla zbrodni świadectwo, niż skarga:
Łotr łży oskarżyciela — na świadków się targa.
Skarżących mędrków czasem pospólstwo łajało,
Lecz świadczących o prawdzie — zawsze mordowało.

URZĄD.

Człowiek jest urzędnikiem wysokiego stanu:
Cały świat służy jemu, a on — tylko panu.

WŁASNOŚĆ OSOBISTA.

Skarżysz się, że ktoś z twojej własności korzysta?
Grzech — jest to jedna własność osobista.

SKARGA.

„Uszło szczęście, i próżno dotąd za nim chodzę!“
Nie uszło, czeka ciebie na krzyżowej drodze.

UPÓR.

Pan dotąd miłosiernie patrzy na szatana,
Lecz szatan się odwraca, by nie widział Pana.

MĄDROŚĆ.

Nauką i pieniędzmi drudzy cię z bogacą —
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.

MĄDROŚĆ I UMIEJĘTNOŚĆ.

Aby mądrości nabyć, niedość mieć pojętność,
Niedość uczyć się. Mądrość nie jest umiejętność:
Ta pragnie z teorii praktykę wyciągnąć,
A tamta teorię praktyką osiągnąć.

NAUKA BEZBOŻNYCH.

Kiedy nad naukami bezbożnik pracuje,
Strzeż się go: jest to zbójca, który broń kupuje.

PRAKTYKA.

„Naco będą potrzebne — pytało pachole —
Trójkąty, czworoboki, koła, parabole?“
„Że potrzebne — rzekł mędrzec — musisz teraz wierzyć;
Naco potrzebne, zgadniesz, gdy zaczniesz świat mierzyć“.

CZAS.

Czas, jako powróż, wiąże ducha do natury:
Póty męczyć się musim, aż zużyjem sznury.

ATOM.

„Świat widzialny jest atom“. Prawda, astronomie!
Zacóż ty chcesz być cały tylko w tym atomie?...

ROZPRAWA.

O czemkolwiek rozprawa, im dłużej się wiodła,
Tem dalsza jest od prawdy, jak woda od źródła.

RADA GLUPCÓW.

Poco się ten gmin głupi na radę zgromadził?
Chce, żeby mu radzono to, co już uradził.

DOBRA RADA.

W jednym tylko przypadku rada nie zawadzi.
W jakim? — Gdy się Pokora u Mądrości radzi.

TŁUM.

Szatan jest tchórz: boi się zostać w samotności
I dlatego najczęściej między tłumem gości.

ZNAK.

Bóg pomazańcom swoim znak na czole kładnie;
Naród, który tych znaków nie widzi, upadnie.

WIERZCHOŁEK I PODSTAWA.

Na głębszych fundamentach wyższy mur stać może,
I wyższy rozum tylko na głębszej pokorze.

ODDYCHANIE BOGA.

(Z perskiego).

Kiedy tchnie — całą przyszłość z piersi swych wyzionie;
Gdy westchnie — całą przeszłość w piersiach swych pochłonie.

LICZBA GWIAZD.

Prawd w piśmie bożem, równie, jako gwiazd w błękitach:
Im lepsze macie oczy, tem więcej ujrzycie.

WALKA ZE SMOKIEM.

Ileć razy złą myśl w duszy dobra przezwycięża,
Tyleć razy święty Michał strąca z niebios węży.

MIKROSMOS, MIKROBIBLIJA.

Ciało jest małym światem, dusza książką małą,
W której spisano wszystko, co się w świecie stało.

FAŁSZYWA MONETA.

Kłamca jest zły moneciarni: pozwól mu fałsz mnożyć,
To on sam jeden zdoła cały kraj zubożyć.

RUCH GŁUPI.

Głupiec, jak muł we młynie, związane ma oczy
I, ciągle ruszając się, ciągle w miejscu kroczy.

RUCH MĄDRY.

Mędrcy, prawdziwie wielcy, jak niebieskie ciała,
Zdają się stać, gdy każde z nich leci i działa.

PRAWDZIWA WIELKOŚĆ.

Dobrzeby w życiu świeckiem, jak niegdyś w Kościele,
Tego tylko zwać wielkim, kto wycierpiał wiele.

BAJKA.

„Świat ten jest czysta bajka! Zgoda, przyjacielu,
Lecz każda bajka ma sens moralny na celu.

ZGODA.

Wtenczas tylko rzetelnie pogodzisz się z wrogiem,
Jeśli ty i wróg pierwszej zgodzicie się z Bogiem.

DZIAŁANIE I CIERPIENIE.

„Czy mam działać, czy cierpieć?“ Bądź Stwórcy obrazem
I, jak On, w każdej chwili działaj i cierp razem!

HISTORIA I PROFETJA.

Czas przeszły równie od nas, jak przyszły, daleki:
Ten tylko pojmie przeszłe, kto zgadł przyszłe wieki.

POKUSY.

Nawała pokus, równie, jako morska burza,
Dzielných pływaczów wznosi, a słabych zanurza.

EGOIZM.

Nie ten jest egoistą, kto od ludzi stroni,
Ale ten, kto za bliźnim, jak za łupem, goni.

POTWARZ I POCHLEBSTWO.

Pochlebca i potwarca za zasługą łączą:
Brzydź się więcej pochlebstwem, niżeli potwarzą.
W potwarzy dla dobrego jest zawždy nauka —
Pochlebstwo złych zatwardzi, a dobrych oszuka.

NOCNY PTAK.

Szatan w ciemnościach łowi, jest to nocne zwierzę;
Chowaj się przed nim w światło, tam cię nie dostrzeże.

KRZYWDA CZASEM PRZYDA SIĘ.

Często grzesznik przed śmiercią na bliźnich się żali,
Iż mu nie dosyć w życiu krzywd nawyrządzali.

NIE ŹLE BYĆ ŚMIESZNYM.

Nieźle to jest być śmiesznym. Żartowano z panów —
Z mędrców, z wodzów, z poetów, z lekarzy, z kapłanów;
Wszystkich na śmiech wystawił dowcipiek ucieśny,
Prócz jednego szatana. On jeden nie śmieszny.

SFERA OWOCÓW.

Musi drzewo, ażeby rozkwitać i rodzić,
Po liściach, jak po szczeblach, na powietrze wchodzić;
Chociaż soki pożywne z łona ziemi bierze,
Owocu dać nie może, tylko w wyższej sferze.

OGNIK.

Mądrość świecka jest nakształt błędnego ognika:
Błyszcząc, zwodzi cię z drogi; gdy z niej zejdziesz, znika.

ISKRY.

Jaka tam będzie siła wiecznego płomienia,
Wnoś tu z jego iskierek, ze zgryzot sumienia!

CZERW.

Mędek świecki wymaga od małych i wielkich,
By wszyscy byli zawsze przykładem cnót wszelkich,
Choć sam co chwila cnotę myślami kaleczy,
Słowami podkopuje i czynem niweczy —
Obrzydliwszy od czerwia, co rozłacza drzewa,
Bo on, tocząc, klnie drzewu, czemu nie dojrzewa.

JEDNA WOLA.

Jednej woli jednemu trzeba przedsięwzięciu;
Lepszy jeden wódz głupi, niż mądrych dziesięciu.

CECHA WYŻSZYCH.

Po tem wyższego męża możesz poznać w tłumie,
Że on zawsze to tylko zwykł robić, co umie.

POMAGAĆ BOGU.

Bóg sam może świat zniszczyć i drugi wystawić,
A bez naszej pomocy nie może nas zbawić.

PRÓBY.

Mędrzec zwyczajnych ludzi z rozmowy ocenia,
A nadzwyczajnych mężów poznaje z milczenia.

SEN.

Jak bezsenny źle czyni, gdy oczy zamruża
I kładnie się na łożu, bo tem noc przedłuża —
Tak namiętny źle czyni, gdy śmierć zada sobie:
Wylecz się z bezsenności, nim pójdziesz spać w grobie.

DWA ŚWIATY.

Dobrzy ludzie nie mogą mieć nic na tym świecie,
A zato, źli, na tamtym nic mieć nie będziecie.

MAJESTAT DUSZ NASZYCH.

Sam Bóg bez wiedzy naszej nie może nas rzucić,
A, choć rzuci, gdy zechcem, musi do nas wrócić.

RESZTA PRAWD.

Jest i więcej prawd w piśmie, lecz, kto o nie pyta,
Niech sam zostanie pismem — w sobie je wyczyta.

* * *

STWÓRCA.

Czemu Bóg na wzór siebie stworzył naszą postać?
Bo sam lepszego wzoru nie mógł nigdzie dostać.

USTA.

W ustach jest otwór duszy, a drogie balsamy
Wietrzeją prędko, gdy je często otwieramy.

PRZESTROGA.

Choć z tobą w drogę idzie towarzyszy wielu,
Nie powierzaj im łatwo twej podróży celu
Ni kierunku, ni środków, bo często się dzieje,
Że obok podróżnego wędrują złodzieje
I ciekawi są wiedzieć, w jaką idziesz stronę,
Gdzie chowasz grosz na życie i miecz na obronę.

WSZECHWŁADZTWO LUDU.

Ludu, głosuj i zrób mi ze słoty dzień ładny,
Bo ja, sceptyk szkaradny, wątpię, żeś wszechwładny.

WYBORY.

Mówią, że Lapończycy na zimy miesiące
Zwykli sobie z gwiazd jedną obierać za słońce;
Gdy widzą, że obrana źle grzeje i świeci,
Idą od tej do drugiej, od drugiej do trzeciej,
A tak, ciągnąc sejmiki aż do zimy końca,
Nie mogą się pogodzić na obranie słońca.

WYBORY.

Mamy wodza wybierać, więc się, bracia, spieszymy,
Lecz wprzód sobie pułkową muzykę obierzmy:
Na pierwszego trębacza podaję sapersa,
Niech trąbi, choć nie umie; wszak go lud wybiera.

JEŻDZIEC.

Szkapa najdzielniejszego rumaka wyprzedzi,
Jeśli zamiast człowieka duch na szkapie siedzi

BRON.

Kij bardziej, niżli lanca, rani i zabija,
Jeśli żołnierz swe serce wbił na koniec kija.
Szabla jest dla zabawy, lanca dla obawy,
Karabiny dla wrzawy, kosa do rozprawy.
Kosa wiosny narzędziem, cep jesiennej pory,
A zimą gospodarze biorą za topory.
Kościeszko zaczął kosić — teraz młócić pora,
A wkońcu na Moskali bierz się do topora.

MĘDRZEC.

Mędrzec dmie się, jak pajak, gdy w swej norze spocznie,
Lecz, gdy się spuszczać zaczyna, chudnie już widocznie,
A im dłuższą nić snuje, tem się bardziej chwiewie,
Oto są dogmatyków i sceptyków dzieje.

ŚWIADECTWO.

Prawnicy swe świadectwa podpisują sami —
Chłop zwykle je oznacza trzema krzyżykami.
Częściej sędzia za ważne to świadectwo przyjmie,
Gdzie zobaczy krzyżyki, niż, gdzie własne imię.

BÓG W DUSZY.

Duszo, gdy poczniesz Boga, masz Go w sercu chować,
Bo Herod już szle katów, by Go zamordować,
I póki twoje dziecię nie urośnie w lata,
Uciekaj do Egiptu przed oczyma świata.

PRACA.

Jeśli masz się do dzieła ważnego sposobić,
Pomyśl, czy je chcesz najpierw i czy umiesz robić;
Ja, choćbym chciał i umiał, jeszcze się nie ważę,
Jeżeli mi powinnoś działać nie nakażę.

DZIEŁO.

Jeśli dzieło wymaga namyślań się długich,
Jeśli go nie dokończysz bez pomocy drugich,
Jeśli się wielu głupców już do niego wzięło —
Chcesz mieć czyste sumienie, porzuć takie dzieło!

ZŁE.

Dobrze, że znamy węża i że przed nim stronim,
Lecz lepiej go nie spotkać i nie wiedzieć o nim.

MĘDRZEC.

Prawy mędrzec się cieszy, jak pielgrzym ubogi,
Gdy spotka na pustyni towarzysza drogi;
Lecz półmędrak, jak złodziej, manowcami zmyka,
Bo w każdym widzi świadka lub współzawodnika.

NAUKI.

Nauki są lekarstwem, chlebem słowo boże,
Kto ma zdrowy żołądek, bez lekarstw żyć może.

OKLASKI.

I ty się z tego cieszysz, o mądrości synu,
Żeś został z oklaskami przyjęty od gminu?
Wszak prawda w oczy kole; jeśli ci gmin klaskał,
To dowód, filozofie, żeś nie kłął, lecz głaskał.

MĘDREK.

Mędrak dmie przed swym uczniem, przed równym się chlubi,
Lecz zarówno współmędrka, jak ucznia, nie lubi.
Współmędrka, żeby jego bogactw nie obliczył,
Ucznia, aby ich nie skradł, lub nie odziedziczył.

BARANEK.

Nazwaleś się barankiem, więc musiałeś, Panie,
Rodzić się wśród pasterzy, w stajence, na sianie.

GOTOWOŚĆ.

Grzesznik leży, pokutnik dźwiga się na nogi,
A święty stoi prosto, gotowy do drogi.

BÓG.

Nie jest punkt geometrów długi ni szeroki,
A przecież tworzy wszystkie linje i boki;
Bóg czasu nie zabiera, ani w miejscu leży,
Choć z niego miejsce wyszło i czas z niego bieży.

CIERPIENIE.

I szczęście jest nie w miejscu, ale w sobie leży,
Cierpienie tylko wiecznie ciągnie się i szerzy.

ATOM.

Świat jest tylko atomem, lecz oślepi snadnie
Najbystrzejszego mędrca, gdy mu w oko wpadnie.

DUSZA ŚWIĘTEGO.

Za co nigdy nie wstąpi anioł w duszę świętą?
Bo ona przez samego Boga jest zajęta.

ŚWIECI.

Święci bezpiecznie chodzą wśród piekieł płomieni,
Ale goreją djabli, grzechem napelnieni.

DZIAŁANIE.

Kiedy mowa popłynie, już uczucie ginie,
A gdy potrzebna rada, już dzieło upada.

KRZYŻ.

Odtąd przed znakiem krzyża nie pierchną szatany,
Lecz je łatwo rozpędzi duch ukrzyżowany.

DZIEWICA I DZIECKO.

Dwie istoty szczęśliwe nawet na tym świecie,
Bo zawsze bliskie Boga: kobieta i dziecko.

SKARB.

Gdybyś siedł nocą ciemną i oczy zamrużył,
Znajdziesz skarb, któryś rano, czuwając, wysłużył.

BÓG.

Jakiego Boga do ducha weźmiesz,
Na tego podobieństwo stworzony będziesz.

REKAWICZKA.
POWIASTKA Z SZYLLERA.

Chcąc być widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada —
Przy nim książęta i panowie Rada,
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem — zaczęto igrzysko;
Spadły wrzeczadze: ogromne lwisko
Zwolna się toczy,
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
Wokoło —
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemię,
I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu.
Znowu przemknie się krata:
Szybkiemi skoki, cheiwy polowu,
Tygrys wylata.
Spoziera zdala,
I klami błyska,
Język wywala,
Ogonem ciska,
I lwa dokoła obiega —
Topiąc wzrok jaszczurczy,
Wyje i burczy —
Burcząc, na stronie przylega.

Król skinął znowu.
Znowu podwój otwarty —
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty.
Łakoma boju, para zajadła
Już tygrysa opadła.

Już się tygrys z niemi drapie,
 Już obudwu trzyma w łapie —
 Wtem lew podniósł łeb do góry,
 Zagrzmiął — i znowu cisze —
 A dziec z krwawemi pazury
 Obiega, za mordem dysze,
 Dysząc, na stronie przylega.

Wtem leci rękawiczka z krążganków pałacu,
 Z rączek nadobnej Marty,
 Pada między tygrysa i między lamparty
 Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
 „Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
 Czulemi przysiągł wyrazy,
 Niechaj mi teraz rękawiczkę poda!”

Emrod przeskoczył zapory,
 Idzie pomiędzy potwory,
 Śmiało rękawiczkę bierze.
 Dziwią się panie, dziwią się rycerze —
 A on w zwycięskiej chwale
 Wstępuje na krążganki.
 Tam od radosnej witany kochanki,
 Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił:
 „Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale”.
 To rzekł — i poszedł — i więcej nie wrócił.

URYWEK ¹⁾.

Delectans oculos opibus, ditissima frugum,
 Irrorata melle et rivis lactantibus, salve,
 Ukrainae tellus! Te immensam pervolitantes
 Quadrupedum volucres turbae hinnitu aëra complent,
 Mixto cornigerum mugitui, quos inter vervex,
 Appensae rotis pinguis trahis pondera caudae.

¹⁾ Jest to przekład pierwszych wierszy „Zofijówki” Trembeckiego:

Miła oku, a liczny ożywiona plodem,
 Witaj, kraino, mlekiem płynąca i miodem!
 W twych łąkach wiatronogów rżące mnóstwo hasa,
 Rozroślesze czabany twe błonie wypasa.
 Baran, którego twoje utuczyły zioła,
 Ciężary chwostu jego nosić muszą koła.

ROMEO I JULJA.

Z TRAGEDJI SZEKSPIRA.

AKT II. — SCENA II.

(Ogród Kapuletów).

ROMEO (*wchodzi*).

Kto rany nie odebrał, żartuje z żelazem.

(*Julja ukazuje się w oknie*).

Lecz stójmy! Co to w oknie błysnęło zarazem?

To wschód słońca, a słońcem są Julji lica.

Wnijdź, o prześliczne słońce, na zgubę księżycy!

Już ta bogini zbladłe odwraca jagody,

Ujrzawszy nimfę ziemską, celniejszej urody.

Przestań być nimfą bóstwa, zazdrosnego tobie:

Nimfy Diany chodzą w zielonej żalobie.

Zieloność — barwa głupców. — Porzuć modne stroje! —

To ona, moja pani! O kochanie moje!

Gdyby wiedziała ona, że ją kocham tyle!

Mówi, ale nie usta... Zaczekajmy chwilę:

O, zbyt chępliwy jestem! Nie do mnie to mowa.

Dwie gwiazdy, w pilnej kędys posłane potrzebie,

Proszą oczu Julii, by raczyły w niebie

Świecić, nim gwiazdy wrócą i znówu zaświecą.

I cóż, jeśli jej oczy do niebios ulecą?

I cóż, jeżeli gwiazdy błysną wśród jej czoła?

Blask Julji oblicza gwiazdy zaćmić zdoła,

Jako dzień gasi lampy — a niebo jej okiem

Powietrzną jasność takim lałoby potokiem.

Ze ptaki dzień w omylnym witalyby dźwięku.

Patrz, patrz, skronie anielskie złożyła na ręku!

Gdybym był rękawiczką, co jej dłoń okrywa,

I mógł dotknąć się liców!

JULJA.

O ja nieszczęśliwa!

ROMEO.

Mówi! O, przemów jeszcze! Tyś moim aniołem!

Ty wśród cieniów północy świecisz nad mem czołem,

Jak wysłaniec niebieski, kiedy się roztoczy,
Srebrzystem skrzydłem rażąc śmiertelników oczy.
Zaledwo spojrzeć śmieją — on dosiadł obłoku
I lekko w napowietrznym żegluję potoku.

JULJA.

Romeo! Zacóż ciebie „Romeo“ nazwano!
Wyrzecz się ojca twego, zamień twoje miano,
Albo mi serce oddaj: gdy serce twe zyska,
Julja Kapuletów zrzecze się nazwiska...

ROMEO.

Odpowiadać, czy słuchać?

JULJA.

Montegu! Niestety!
Nazwanie tylko twoje razi Kapulety.
Zacóż osobę twoją wliczać między wrogi?
Ty nie jesteś Montegu, o Romeo drogi!
Bo i cóż jest Montegu? Nie jest to żrenica,
Ani ręka, lub stopa, lub jakaś część lica
Wrodzona człowiekowi; Montegu jest imię.
Niech je Romeo zrzuci, niechaj inne przyjmie
Co po imieniu? Róża, choć nazwisko zmieni,
Czyliż się mniej powabnym kolorem rumieni?
Romeo, choćby cudza sobie imię radał,
Czyliżby swoje miłe przymioty postradał?
Zguba imienia szkodzić nie może osobie.
Za to imię oddaję całą istotność tobie —
Za jedno tylko imię!

ROMEO.

Chwytam cię za słowo.
Bądź moja, a ja zaraz ochrzczę się na nowo
I nazwisko Romea rzucam precz ode mnie!

JULJA.

Kto ty jesteś i poco, błądzący po ciemnie,
Mieszasz się w mowy cudze?

ROMEO.

O moje kochanie
Ukryć przed tobą muszę imię i nazwanie.
To imię własnym moim jest nieprzyjacielem,
Jeśli stało się twojej nienawiści celem —
I gdybym je napisał, podarłbym bez zwłoki.

JULJA.

Znam ciebie! Chociaż głosu twojego potoki
Ucho moje nie...
Tyś Romeo Montegu! Znam dźwięk twojej mowy!

ROMEO.

Ani jeden, ni drugi, bo nie lubisz obu.

JULJA.

Skąd, jak tutaj przyszedłeś? Jakiego sposobu
Użyłeś, aby zwalczyć tak mnogie przeszkody?
Zrąb wysoki i mocny zamyka ogrody;
Wiesz, kto jesteś — w tem miejscu grób znalazłbyś pewny,
Gdyby cię dojrzał ojciec lub który mój krewny.

ROMEO.

Mury te przeleciałem na miłości piórach;
Słaba dla niej zaporą w parkanach i murach.
Miłość umie wykonać, na co się odważy;
Tym sposobem uszedłem Kapuletów straży.

JULJA.

Jeżeli cię tu znajdą, legniesz z ich prawicy.

ROMEO.

Więcej niebezpieczeństwa jest w twojej żrenicy,
Niż w tysiącnych ich mieczach. Spójrzij tylko miłe,
A ja oprę się wszystkich Kapuletów sile!

JULJA.

Ach! Za świat-bym nie chciała, by cię tu ujrzeli!

ROMEO.

Płaszcz nocy mię ukryje od nieprzyjacieli.
Kochaj mię tylko, potem niech się groźba ziści.
Lepiej jest koniec znaleźć w cudzej nienawiści,
Niżli w długim miłości niewzajemnej zgonie.

DON CARLOS.

WYJĄTEK Z TRAGEDJI SZYLLERA.

AKT I.

Ogród królewski w Aranchwez.

SCENA I.

KAROL i DOMINGO.

DOMINGO.

Zbiegły dni wesołego w Aranchwez pobytu —
 Królewicz nieweselszy wraca do Madrytu.
 Próżnośmy tu rozrywek szukali.

(Podchodzi do Karola).

Mój książę!

Niech się wkońcu ta smutna zagadka rozwiąże.
 Przed rodzicielskiem sercem odkryj twoje chęci!
 Czegoż dla jedynaka ojciec nie poświęci?
 Czego król nie dokaże własnemi ramiony?
 Jakiż twój ślub od niebios dotąd niespełniony?
 Karolu, byłem z tobą, widziałem w Toledzie,
 Kiedyś hołdownej książąt przodkował czeredzie:
 Tłumy do całowania ręki twojej biegły,
 Królestwa sześciorakie u nóg twoich legły —
 Stałeś dumnie, młodzieńczy ogień z liców strzela,
 Pierś wre królewskim duchem, wzrok pjany wesela
 Oblatywał gromady — czytałem w tem oku,
 I Karol był szczęśliwy.

(Karol odwraca się).

Teraz od pół roku

Ta, nigdy z czoła twego nie schodząca, chmura,
 Ból, w głębi zatajony, tęsknota ponura,
 Którą źródła napróżno dwór stara się dociec,
 Którą naród podziela... Ach, i król, twój ojciec,
 Niejedną noc bezsenną winien tej zagadce;
 Ona niejedną łezkę wyciska twej matce!

KAROL *(odwraca się z zadziwieniem).*

Matce?

DOMINGO.

Książę!

KAROL (*uderzając się w czoło*).

O, gdybym darować był w stanie
Temu, co ja za matkę narzucił!...

DOMINGO.

Mój panie!

KAROL (*sposstrzega się*).

Tak... tak... boim ja z matkami nieszczęśliwy tyle!
Zaledwiem świat obaczył, w pierwsze życia chwile
Już byłem matkobójcą.

DOMINGO.

Byłeś mimo woli;
Czyż cię dotąd grzech taki na sumieniu boli?

KAROL.

A moja druga matka! Wszakżem przez nią zgubił
Miłość ojca!... Mnie ojciec i tak mało lubił...
Że byłem jedynakiem, to cała zasługa!...
Teraz mu drugą córkę daje matka druga,
A co się jeszcze z tego na przyszłość rozwiąże,
Ciemna otchłań...

DOMINGO.

Żartujesz, żartujesz, mój książę!

Królowa, którą wielbia z zapalem Hiszpanie —
Ty nienawiści okiem miałbyś patrzeć na nią?
Patrząc na nią, na przyszłe oglądać się czasy?
Jakże? Czyliż to bóstwo, co, ten aniół krasy,
Monarchini, prócz koron, z samego oblicza —
Która ledwie dziś wiosnę dwudziestą dolicza,
Niegdyś twa narzeczona?... Nigdy, z żadnej miary,
Nigdy! — To niepodobna! — Próżno — nie dam wiary!
Nie powstała w Karolu taka dzikość płocha,
Żeby się tem miał brzydzić, co świat cały kocha.
Książę, jeżeli pani dojdzie ta nowina,
Że miłością zyskała nienawiść u syna,
Czułe jej serce mocno nad tem zabojeje.
Jak to, skąd wiesz?

KAROL.

DOMINGO.

Ostatnie pamiętam turnieje.
 Król, kopją draśniony, już był bliski szwanku;
 Elżbieta pośród panien patrzyła z krużganku —
 A wtem: „Król ranny” nieme powstają rozruchy.
 Wkońcu aż do królowej szmer dochodzi głuchy:
 „Co? Księżę?” — zawołała. — „Ach, księżę!” — i zbladła
 I zaledwie z krużganku na plac nie wypadła.
 Wtem, że król ranny, wieści pewniejsze doleca.
 „Król?... Zawołać lekarzy” — odetchnęła nieco.

(Po niejakiem milczeniu).

Zamyślasz się?

KAROL.

Spowiednik króla, kapłan boski —

(Ponuro).

Dziwno, że na tak blahe czatujesz pogłoski;
 Lecz słyszałem i dobrze w pamięci naznaczę,
 Że takie słówkolowy i gestów szperacze
 Więcej broją, niżeli truciźnik i zbójca.
 Jeżeli chcesz zapłaty, idź do mego ojca.

DOMINGO.

Księżę jest za ostrożny. Słusznie, w dworzan tłumie,
 Niechaj będzie ostrożnym, niechaj nim być umie
 I rozróżnia, kto szczerze, a kto radzi chyttrze...
 Ja zawsze całem sercem...

KAROL.

Więc już po twej mitrze!
 Gdy się ojciec o twojem przywiązaniu dowie,
 Już więcej na królewskim nie polegaj słowie,
 Że pierwsza w państwie mitra twych nie minie skroni!

DOMINGO.

Księżę sobie żartuje...

KAROL.

A, niech Pan Bóg bronil
 Ja, mój straszliwy ojciec, ja, żartować z ciebie,
 Co rzadzisz duszą ojca i możesz ją w niebie
 Albo w piekle osadzić?

DOMINGO.

Nie pragnę zuchwale
Przedzierać świętych zasłon, kryjących twe żale,
Ale wiem, że na tajne sumienia choroby
Ma kościół, matka nasza, rady i sposoby,
Ma strapionym ucieczkę — i że do niej klucza
Nie mocarzom światowym, ale nam porucza.
Grzech nawet, do wieczności strącony odmetu,
Na wieki pokryć może pieczęć sakramentu.
Rozumiesz — dość mówiłem.

KAROL.

Nie mam wcale chęci,
Kusić tak poważnego strażnika pieczęci.

DOMINGO.

Zawsze nieufność!... Księżę... prawdziwie... nie raczy
Poznać wiernego sługę.

KAROL.

Niech sługa wybaczy!
Świętym jesteś, niech sobie i najświętszym z ludzi —
Ale się twoja świętość nazbyt o mnie trzudi.
I tak droga szeroka, zawód oddalony.
Trzeba zająć aż do Rzymu, Piotra osieść trony...
Z tyłą nowin za ciężko... Powiedz to królowi,
Bo król przez ciebie mówi!

DOMINGO.

Król przeze mnie mówi?

KAROL.

O, wiem ja bardzo dobrze! Wiem, że na tym dworze
Od dawna mię zdradzają. Wiem, że w każdej porze
Tysiączne płatne oko czyny moje śledzi —
Że król zaprzedał w ręce ostatniej gawiedzi,
Zaprzedał syna swego, jedynego syna!
Że hojnie każda o mnie płaci się nowina,
Ża słówko, co się kiedy z ust moich wyśliźnie,
Hojniej, niżeli za krew, przelaną ojczyźnie...
Ale dosyć już o tem — tak jest — dosyć o tem!
Moje serce bolesnym zaranił grotem —
I tak już może nadto...

DOMINGO.

Król dzisiaj wieczorem
Napowrót w miasto z całym wybiera się dworem.
Wszystko już w gotowości, służby już zwołane;
Wasza wysokość...

KAROL.

Dobrze, dobrze — zaraz stanę.

(Sam).

Nędzny Filipie, w jakiej dręczysz się katuszy!
Nędzny, jak syn twój nędzny... Widzę do twej duszy
Wpijającą się krwawą podejrzenia zmię.
Nieszczęsny, jeśli twoja ciekawość odkryje
Straszne tych kazirodczych tajemnic zasłony!
Ale, jeśli odkryjeś — coś zrobił, szalony!...

SCENA II.

KAROL I RODRYGO.

KAROL.

Co widzę, Rodrygo!

RODRYGO.

Karolu!

KAROL.

O, Boże!

Tyżeś to, ty? Tak, to ty, bo czyjaż pierś, czyja,
Uderzeniom mej piersi tak silnie odbija?
O, teraz wszystko dobrze, teraz mi już zdrowo!
Teraz zboliałe serce rzeźwi się na nowo,
Gdym w objęciach mojego Rodryga!

RODRYGO.

Karolu!

A cóż tu było złego? O jakim to bólu
Wspomniałeś? Co to znaczy?

KAROL.

Drogi przyjacielu!

Co cię tak niespodzianie przyniosło z Brukselu?
Komu za to dziękować, komu? O, bluźnierca!
Boże, daruj pjanego obłąkaniom serca!
Któż to inny, jeżeli nie Opatrzność Boża
Zsłała mi przyjaciela i anioła stróża?

RODRYGO.

Książę, daruj, gdy na ten ogień w każdym słowie
Twój Rodrygo ozięblem zdumieniem odpowie.
Nigdy nie myślał, że mię tak Karol pozdrowi:
Nie tak przystało witać Filipa synowi!
I cóż znaczą te w oczach niezwykle płomienie,
Ten chłód wybladłych liców, ust gwałtowne drżenie?
Tyżeś to lwiego serca ów bohater młody,
Do którego o wsparcie wołają narody?
Bo nie, jako współlucznia, co z tobą urosłem,
Ale całej ludzkości oglądasz mię posłem.
U ciebie, syna królów a cesarzów wnuka,
Nieszczęśliwa Flandryja wsparcia jeszcze szuka.
Jeśli w tobie ludzkości ogień słabo tleje,
Niderlandy straciły ostatnią nadzieję.

KAROL.

Stracili... Łzy mam tylko... Iż i mnie potrzeba,
I ja napróżno wołam o wsparcie do nieba;
Innych środków wymaga narodu niedola...

RODRYGO.

Daruj mnie, ja w tych słowach nie widzę Karola!
Tyż to mówisz, ty, wielki, ty, rzadki człowieku,
Może jeden nietknięty morowym tchem wieku,
Coś miał sprawę ludzkości zasłaniać niezłomnie?

KAROL.

Czy ty o mnie mówiłeś, przyjacielu, o mnie?
Teraz mylisz się grubo, teraz już niewcześnie!
Był wprowadzić kiedyś Karol, — widziałem go we śnie —
Karol, któremu samo wspomnienie swobody
Żywem ciskało sercem, paliło jagody...
Alem ja nie ten Karol, jaki-m był w Alkali,
Kiedyśmy raz ostatni z sobą się żegnali,
Gdym, myślą lecąc w niebo, śmiał zajrzeć do raju,
Obraz jego w hiszpańskim chcąc odnowić kraju!
O rozkoszna, o boska, lecz zbyt krótka chwilko!
Prysły te mary!...

RODRYGO.

Mary, książę? Mary tylko?

A więc to były mary?

KAROL.

Ach, nie broń łez oku,
 Nie broń im na twem łonie wolnego potoku,
 Jedyń przyjacielu, jedyny, jedyny
 Wpółśród tej pustej świata wielkiego dziedziny!
 Jak daleko Filipa zajmuje potęga,
 Jak daleko bandera Kastyłańów sięga,
 Żadnej niemasz, tak, żadnej, najmniejszej ustroni,
 Gdzie Karol jedną łezkę swobodną uрони,
 Jeśli nie tu! — Na wszystko zaklinam ja ciebie,
 Na nadzieje, jakieśmy pokładali w niebie,
 Nie wyganiaj mię, przebóg, z tej jednej ustroni!
 Z tej mię jednej Rodrygo łuby nie wygoni.

(Rodrygo słucha wzruszony).

Myśl sobie, że ja byłem sierota wzgardzony,
 Żeś mię przybrał za syna, dziedzica korony...
 Ja nie znam, co być synem, — bom synem mocarza!
 Ale, jeśli mi prawdę wieszczy duch rozmarza,
 Jeśli z serc miliona to, co bije we mnie,
 Może się tylko z twojem rozumieć wzajemnie —
 Żeluzi to jest prawda, że wszechmocna wola,
 Tworząc nas, powtórzyła w Rodrygu Karola,
 I lutnie duchów naszych jeśli ręka losu
 Z młodych lat do jednego nastrojone głosu —
 Jeśli te kilka łezek, co mi ulgę dały
 Droższe, niż skarby królów...

RODRYGO.

Droższe, niż świat cały!

KAROL.

Tak głęboko upadłem, tak jestem ubogi,
 Że aż w dzieciństwie naszym spędzony wiek błogi
 Przypomnieć muszę, muszę wymagać zapłaty
 Długów, aż przed dawnymi zaciągniętych lata.
 Pomnisz, kiedyśmy w szkole, pod majtków odzieżą,
 Dwaj młodzi zapaleńcy pomiędzy młodzieżą,
 Wiek nasz na łonie bratniej spędziliśmy zgody?
 Nic wtenczas stałej w sercu nie psuło pogody —
 To tylko, że przy tobie, jakoby przy słońcu
 Gasła ta drobna gwiazda... — Poprzysiągłem wkońcu,
 Poprzysiągłem do zgonu kochać cię bez granic,
 Gdy walczyć o pierwszeństwo nie zdało się na nic.

Wtenczas z nowym do ciebie rzucam się zapalem,
Nowemi cię pieszczoty natrętnie ścigałem;
Lecz twoje dumne serce oddało zbyt dumnie:
Nieraz przyjdę, zagadam — ty nie spojrzysz ku mnie.
Gorące łzy, bolesne, stanęły mi w oku,
Gdy Roderyk, Karola mijając w rańtku,
Innych, poddanych dzieci na swem łonie pieści;
„Zacóż innych, ach — zacóż?” — wołałem w boleści.
Tyś ukląkł i, surowo w ziemię kryjąc lica,
„Taka — rzekłeś — przystoi cześć dla królewica“.

RODRYGO.

Książę, daj pokój fraszkom, na których wspomnienie
Po tylu zbiegłych latach dotąd się rumienię.

KAROL.

Jam na to nie zasłużył; mogłeś mię zasmucać,
Lekceważyć ofiarę — lecz jej nie odrzucać!
Po trzykroć królewicza wzgardziłeś osobą,
Po trzykroć, jako żebrak, stanąłem przed tobą,
Żebrzeć miłości twojej, gwałtem się jej dobić!...
Nareszcie traf to zrobił, czegom nie mógł zrobić.
Pamiętasz, jak twój wolant, zbłądziwszy w podskoku,
Królownie, ciotce mojej, w samem utkwiał oku?
Myśląc, że to złośliwym spletał ktoś dowcipem,
Ze łzami winowajcę skarży przed Filipem.
Kazano zaraz stanąć pałacowej młodzi —
Monarcha sprawców zbrodni surowie dochodzi.
Przysiągł, że dla własnego nie daruje dziecka,
Że przeciwko królownie psota tak zdradziecka
Przykładną ściagnie karę. — Ty stałeś z daleka,
Widziałem, jakieś zadrżał, wiedziałem, co czeka —
Wybiegam, Filipowi rzucam się pod nogi:
„Na twem dziecku, o królu, spełnij wyrok srogi!“

RODRYGO.

Książę, cóżes przypomniał?

KAROL.

Natychmiast spełniają
I natychmiast Karola przed służalców zgrają,
Jak niewolnika, ciągną na karę siepacze.
Twój Karol patrzy na cię, twój Karol nie płacze.

Dwór ze zgrozą poglądał, a ciało księżęcia
 Wobec wszystkich szarpały nielitosne cięcia.
 Zgrzytnąłem na tak podły krwi monarszej zakał,
 Ścisnąłem w bólu zęby — ale nie zapłakał.
 Patrzałem na cię. Stałość młodzieńczego ducha
 Drażni króla i gniewy na nowo rozdmucha —
 Na nowo, do ciasnego więzienia zakuty,
 Wytrzymałem dwunastogodzinne pokuty.
 Takem przyjaźń kupował. — Ty mój zamiar zgadiesz,
 Przybiegłeś do więzienia, do nóg mi upadłeś:
 „Zwyciężyłeś, Karolu! Bratnie złączmy dłonie!
 Odplacę tobie kiedyś, gdy będziesz na tronie!”

RODRYGO.

Tak jest, odplacę tobie — i dziecinne słowo,
 Pozwól, niech, jak mąż, dzisiaj utwierdzę na nowo!
 Może i moją ześlą godzinę wyroki!...

KAROL.

Wybiła ta godzina! Teraz żadnej zwłoki,
 Teraz najlepiej dawne wypełnisz zakłady!
 Potrzebuję przyjaźni — potrzebuję rady...
 Wre w głębi piersi moich straszna tajemnica:
 Ja muszę ją wyzłonić, muszę z twego lica
 Czytać wyrok! — Tak, słuchaj, osądź i śmierć zadaj!
 Słuchaj i zdrzyj! Słuchaj — nic nie odpowiadaj!...
 Ja kocham matkę...

RODRYGO.

Przebóg!

KAROL.

Matkę moją...

O, nie! tu pobbazania żadne nie przystoją!
 Powiedz, co miałeś mówić, wymawiaj do końca!
 Mów, że jestem wyrodkiem, ostatnim z pod słońca.
 Najsprośniejszem skażonej ludzkości widziadłem!
 Powiedz wszystko — ja wszystko co masz mówić, zgadłem!
 Syn kocha swą macochę!... Natura się wzdryga,
 Zwyczaje potępiają, kłątwa Rzymu ściga
 Tę bezbożną namiętność, której szal nastawa
 Na powagę monarchy, na rodzica prawa!...

Czuje to — przecież kocham i, tym idąc torem,
Zginę w domu szalonych albo pod toporem...
Kocham ją bez nadziei, jak podły niecnota.
Z równą śmierci boleścią, z ohydą żywota!...
Czuje to — jednak kocham!

RODRYGO.

A twoja macocha

Przebóg, czy wie co o tem?

KAROL.

Wie, że ją syn kocha?

I jakże śmiałybym przed nią jedno odkryć słowo!
Wszak to jest kraj Hiszpanów — ona jest królową!
Stąd ją męża ścigają zazdrosnego względy,
Stąd etykiety dworskiej ścisnęły obrzędy...
Zbliżyć się niepodobna bez świadka lub szpiega.
Ach, już osiem piekielnych miesięcy ubiega,
Jak król ze szkoły głównej wezwał mię do boku!
Osiem miesięcy takie bóstwo mieć na oku,
Co dzień ją widzieć, słuchać i milczeć, jak skała!
Osiem strasznych miesięcy ten żar we mnie pała:
Nieraz już mam na ustach zbrodnicze wyznania —
Znowu je wstyd i zgroza w głąb serca zagania!
Ach, gdyby jedną chwilkę sam na sam z królową...

RODRYGO.

A twój ojciec?

KAROL.

Nieszczęsny, jakieś wyrzekł słowo?

Mów mi o karach piekła, o mekach sumienia —

O ojcu nie wspominaj! Nie, tego imienia,

Tego jednego Karol wytrzymać nie zdoła!

RODRYGO.

Więc ty się brzydzisz ojcem?

KAROL.

O, nie! O, nie! — Zgola...

Lecz tem imieniem, zda się, że mię piekło woła,

Że sępie szpono zgryzot na wskroś mię przebiodło!...

Nie mój grzech, że tak byłem wychowany podło,

Że wszystko od dzieciństwa dążyło w zawody,
 Stepić pierwsze w mem sercu miłości zarody!
 Dzieckiem, nie znalazłem ojca — w szóstym ledwie roku
 Najpierwszy raz mojemu przedstawił się oku
 Ten straszliwy, którego moim ojcem zwano.
 Pamiętam bardzo dobrze: wtenczas właśnie rano,
 Gdy jednym śmiertelnego podpisem rozkazu
 Czterech życia pozbawił — i od tego razu
 Widziałem go raz jeszcze, raz tylko jedyny,
 Kiedy mnie za jakoweś przyszedł karać winy:
 O, to mię — Pan Bóg świadkiem! — to najsrożej boli...
 Lecz dosyć, dosyć! Precz stąd!

(*Odchodzi.*)

RODRYGO.

Niech książę pozwoli!

(*Zatrzymuje.*)

Zostań i mów otwarcie! Wszak pierś dolegliwa
 W słowach cząstkę gorzkiego ciężaru pozbywa.

KAROL.

Ile razy sam z sobą walczyłem boleśnie!
 Nieraz, gdy strażę moje pogrążone we śnie —
 Z skruszonym sercem, z łzami zalaną żrenicą,
 Prosząc o wsparcie, padłem przed Bogarodzicą...
 Lecz nigdy nie osiągnął prośby mojej celu:
 Tak wstałem, jakim upadł! O mój przyjacielu!
 Jak ja sobie tę losu zagadkę objaśnię?
 Z tysiąca innych ojców — zaco jemu właśnie
 Każe być ojcem moim? I zaco z tysiąca
 Lepszych synów — mnie jemu za syna natrąca?
 Bo całe przyrodzenie w swych istot ogromie
 Nie znajdzie dwóch sprzeczności, sprzecznych tak widomie!
 Te dwa natury ludzkiej ostateczne końce,
 Mnie i jego — na stronach przeciwnych leżące,
 Zacóż tak święta spójnia w jeden węzeł ściska?
 Boże, zacóż tak dziwne wyrabiasz igrzyska?
 Dwaj ludzie, których wszędzie, zawsze, wszystko dzieli,
 Zacóż w jednym życzeniu spotkać się musieli?...
 Są to dwie, przyjacielu, nienawistne gwiazdy
 Które, pierwszy raz w ciągu swej odwiecznej jazdy
 Przeciwnymi biegi zwarły się na niebie,
 Trącąc się — i na wieki odskoczą od siebie!

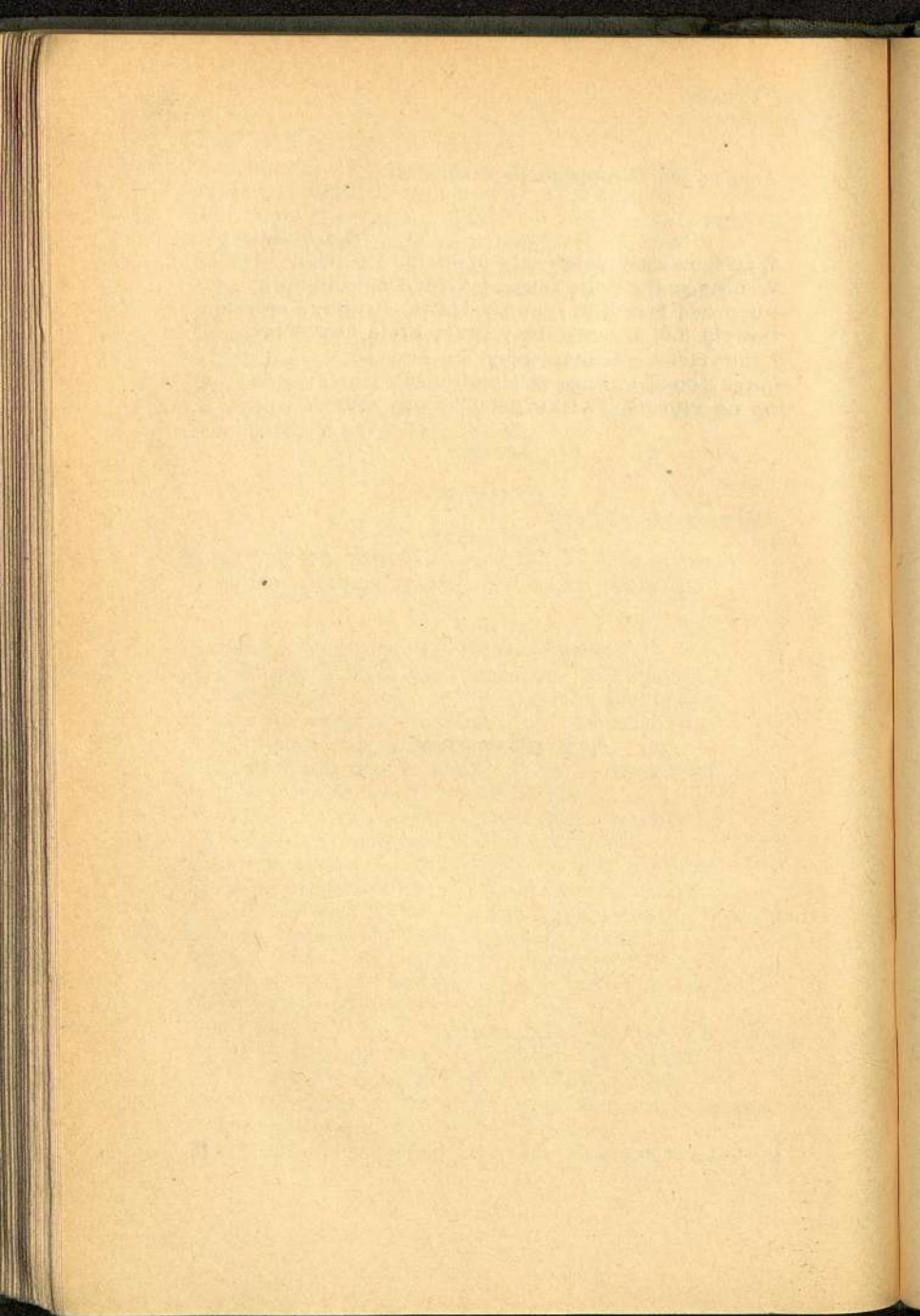
RODRYGO.

Ach, ja coś okropnego przeczuwam!

KAROL.

Ja równie!

Wytrzymawszy dzień cały piekielne katownie,
W nocy mara mnie ściga, jak furji chłosta —
Duch mój brzydkie zamiary ledwie zwalczyć sprostą.
Dowcip mój nieszczęśliwy przez kręte drożyska
Labiryntem sofizmów póty się przeciska,
Coraz ponad grożące zbliżając otchłanie,
Aż na samem urwisku przełęczniony stanie.



Objaśnienia autora i uzupełnienia.

GRAŻYNA.

Strona 5. Zamek na barkach nowogrodzkiej góry.

Nowogródek, starożytne miasto w Litwie, niegdyś Jadźwingów, potem Rusinów posiadłość, zburzone przez Tatarów w czasie zagonu Batego, po ich ustąpieniu zajęte znowu przez Erdziwiłła Montwiłowicza, księcia litewskiego. O tem zajęciu Strykowski: „A gdy się przeprawili (Litwini) przez Niemen, znaleźli we czterech milach górę kraśną i wyniosłą, na której był pierwej zamek stołeczny Nowogródek księcia ruskiego, przez Bateja carza zburzony. Tam zaraz Erdziwiłł założył sobie stolicę i zamek znowu zbudował, a osiadłszy i opanowawszy bez rozlania krwi, gdy nie było komu bronić, wielką część ruskiej ziemi, począł się pisać wielkim księciem nowogrodzkim“. Kronika Stryjk., kar. 265, wyd. królewiec. Ruiny zamku dotąd widzieć się dają.

Strona 6. To jakiś urwisz od psiarni Krzyżaków.

Zakon krzyżacki, zwany zakonem Kawalerów Szpitalnych Marjanitów, Teutonów, fundowany w Palestynie roku 1190. wezwany potem około roku 1230 od księcia mazowieckiego Konrada na obronę Mazowsza od Prusaków i Litwy, stał się potem najstraszniejszym nie tylko pogan, ale i okolicznych krajów chrześcijańskich nieprzyjacielem. Powszechny odgłos ówczesnych dziejopisów wyrzuca Zakonowi łakomstwo, okrucieństwo, dumę i małą gorliwość o wiarę chrześcijańską. Biskupi skarżyli się przed papieżem, że im Krzyżacy przeszkadzają w nawracaniu pogan, wydzierają własności kościelne, uciskają duchowieństwo. Moglibyśmy tu przytoczyć mnogie dowody takowego postępowania w sprawach, tyle-

króć przed papieżem i cesarzem wytaczanych — ale, jeśli skargom strony przeciwnej ktoś wierzyć nie zechce, umieszczamy słowa bezstronnego kronikarza, Jana z Wintertur (Johannes Witoduranus). Ten dziejopis, sławiony z rzetelności, nie mający żadnej do Krzyżaków urazy, a jako Niemiec i duchowny, bynajmniej na stronę pogan nie uprzedzony, w prostocie ducha barbarzyńską łaciną pisze o Krzyżakach: „Okolo tych czasów, jakem słyszał z ust, godnych wiary, Krzyżacy, szeroko panujący w Prusach, wypowiedziawszy wojnę królowi litewskiemu, gwałtownie wydarli mu część kraju. Ażeby swoje odzyskać, król przyrzekł im wiarę katolicką przyjąć: gdy zaś Krzyżacy obietnicy słuchać nie chcieli, rzekł król po litewsku: „widzę, iż wam nie o wiarę, ale o pieniądze idzie, i dlatego w pogaństwie trwać będę“. O tych Krzyżakach twierdzą (rzecz bolesna i wierze katolickiej — bodaj się nie sprawdziło! — wielce szkodliwa), iż woła, aby poganie podbici zostali w bałwochwalstwie i haracz płacili, aniżeli, uwolnieni od haraczu, chrzest przyjęli, o co pobożnie nalegali i nalegają. Jest także wieść, iż oni (Krzyżacy) nie tylko ziemie książąt pogańskich, ale i chrześcijańskich najeżdżają“.

Toż samo o Krzyżakach powiada i w szczegółach opisuje ich okrutne i nieprawe postępowanie z Prusakami i Litwą pisarz niemiecki August Kotzebue, jakkolwiek sam nieprzyjazytny Litwinom i Polakom, w dziele, dla historii litewskiej bardzo ważnem: *Preussens Ältere Geschichte* von August v. Kotzebue, 1801. Riga, 4 Bde. Obacz Tom drugi, karta 115: *Schilderung der Ordensbrüder in diesem Zeitraum* (r. 1312) i kar. 108. Tom drugi, k. 60. *Schilderung von Preussen nach geendigtem Kriege* (r. 1240). Tom trzeci, k. 275. *Schilderung der Gräuel im Orden während dieses letzten Zeitraums* (r. 1436). Nie można bez wzdrygnięcia czytać okrucieństw, jakich się Krzyżacy dopuszczali nad nieszczęśliwym narodem; przytoczymy jeden tylko szczegół. Na końcu jeszcze czternastego wieku, kiedy Prusy całkiem podbite i uspokojone były, mistrz krzyżacki Konrad von Wallenrod, zagniewany na biskupa chełmińskiego, kazał wszystkim chłopom z jego diecezji prawe ręce poucinać; o czem świadczą Leo, Treter i Łukasz Dawid. Takimi byli Krzyżacy, zakon, z samych Niemców złożony, co nowy powód do zelżywego ich traktowania Sławianom i Litwie dawało. Zdawna psami Niemców przez wzgardę nazywano, i Bandtkie mniemał, że

„Psiepole“, Bolesława III triumfem pamiętne, dlatego tak nazwane, iż tam wiele Niemców (psów) wymarło.

Strona 6. Zarazby w bagnie skapał się ten plucha.

Nie dziw więc, że Prusacy i pobratymcy ich Litwini czuli wieczną ku Niemcom nienawiść, która stała się wrodzoną prawie ich charakterowi. Za czasów pogańskich, a nawet po przyjęciu chrześcijaństwa, kiedy grzebano Litwina albo Prusaka, płaczkowie śpiewali nad nim: „Idź, nieboże, z nędzy tego świata na lepszy, gdzie drapieżni Niemcy tobie panować nie będą, ale ty im“; o czem świadczą Bielski i Strykowski. Dotąd w głębokiej Litwie pod panowaniem pruskim nazwać wieśniaka Niemcem, jest to zelżyć go najsromotniej.

Strona 6. A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał.

Nie tylko o charakterze, ale i o rozumie Niemców zle mają wyobrażenie Prusacy i Litwini; przysłowiem jest u nich: głupi, jak Niemiec. Obacz Kotzebue, Tom I, k. 72: „Und weil die Deutschen selten der fremden Sprachen Feinheiten mächtig wurden, so sagten die Preussen auch wohl von einem einfältigen Menschen: er ist so dumm, wie ein Deutscher“. Ob. też Linde, pod wyrazem „Niemiec“, i Rhesa: Das Jahr in vier Gesängen aus dem lithauischen des Christian Donaleitis, ins Deutsche übertragen.

Strona 7. Ze Witold, pan nasz możny i łaskawy.

Witold, syn Kiejstuta, jeden z największych mężów, których wydała Litwa. O jego dziełach wojennych i polityce, oprócz narodowych dziejopisów, czytać w Kotzebue historii wyżej przytoczonej, szczególnie Tom III, karta 232, tudzież w życiu Świdrygałła: Swidrigail, ein Beitrag zu den Geschichten von Lithauen, Russland, Polen und Preussen, von August von Kotzebue. Leipzig, 1820.

Strona 8. A skoro słońce z szczorsowskiej granicy
Pierwszym promykiem grób Mendoga draśnie.

Szczorse, dziedzictwo Chreptowiczów, starożytnej familji litewskiej, na wschód Nowogródka położone. Mendog, Mindagos, albo Mindowe, Mindak, Mendulf Ryngoltowic, wielki książę litewski, pierwszy, który Litwę, z pod obcego wpływu uwolnioną, do znacznej potęgi wyniósł i stał się strasznym sąsiadom, przyjął był religję chrześcijańską i za pozwoleniem

papieża koronował się królem litewskim w Nowogródku roku 1252. Pod Nowogródkiem jest góra, którą zowią dotąd „Mendogową” i która ma być grobem tego bohatera.

Strona 10. A na zwierzynie nie brakło i miodzie.

Dwa główne artykuły uczyły u Litwinów dawnych.

Strona 11. Ale ja z mistrzem Pruskiego Zakonu.

Na czele Zakonu Niemieckiego czyli Krzyżaków był wielki mistrz, obierany od kapituły; po nim wielki komtur, tretzler czyli podskarbi zakonu, marszałek czyli hetman, i komturowie czyli komandorowie szczególnych konwentów po miastach i zamkach.

Strona 11. Wprzód więc, nim zajdą siedmiorakie gwiazdy.

Litwini mieli właściwy sobie sposób oznaczania pór roku, miesięcy i godzin. Ob. Kotzebue, Tom I, kar. 52 do 53. Schilderung der alten Preussen. Konstelacja tu wspomniana, w ich języku nazywa się „Retis“.

Strona 11. Niemców pancernej trzy tysiące jazdy
I pieszych knechtów we dwójnasób tyle.

Wojsko krzyżackie składało się naprzód z samych bratów czyli braci Zakonu, giermków i laików, należących do Zakonu, rajtarów czyli jazdy, ochotników lub zaciężnych, tudzież piechoty na żołdzie Zakonu, zwanej landsknechty, fussknechty lub knechty.

Strona 11. Od wszystkich naszych ogromniejsze ciałem.

W każdym prawie opisanu bitwy dodają kronikarze, iż Niemcy przewyższali Litwę wzrostem i siłą: uderzenia ich kopji trudno było wytrzymać. Kiejstut, Narymund, lubo dzielni rycerze, w takich pojedynkach z siodła wysadzeni byli.

Strona 12. Wczoraj wyszczerbił na Niemcach topory.

Topory i maczugi, najstraszniejsza broń Litwinów.

Strona 12. A przecież, jeśli do domowych progów
Waż, zaproszony gościem od człowieka...

Litwini czcili węże, które po domach oswajali i karmili; najdokładniej o tem Joannes Lasicius Polonus de diis Samo-

gittarum: „Nutriunt etiam, quasi deos penates, nigri coloris obesos et quadrupedes serpentes quosdam, givoitos vocatos“. Resp. Polon. et Lithu., ed. Elzeviriorum, p. 309.

Strykowski jeszcze widział za czasów swoich zabytki tej czei starożytnej u Łotyszów, a Gwagnin we wsi Ławaryszkach (Labariski), o cztery mile od Wilna.

Strona 13. Znane mi dobrze Witolda umowy.

Cała mowa Litawora jest wiernym obrazem tego, co podówczas w Litwie udzielił księżęta o Witoldzie myśli.

Strona 14. Pewnie Ruś gołą lub bagna Warega.

Okolice, przyległe morzu Warjagskiemu czyli Normandzkiemu, dzisiejszemu Bałtykowi. Polityką było z dawna wielkich książąt litewskich rozsądzać swoich krewnych prawem lennem w ziemiach, na nieprzyjaciela zdobytych. Montwill, Mendog, Giedymin dali tego przykład.

Strona 14. Od Fińskich zatok po Chazarów morze.

Fińskie zatoki, pobrzeża Finlandji. Morze Chazarskie, dzisiaj Czarne.

Strona 14. Co jest na Wilnie lub Trockiem jeziorze.

Troki, z dwoma zamkami, z których jeden pośród jeziora na wyspie zbudowany, były stolicą Kiejstuta, a potem dziedzictwem Witolda.

Strona 14. Widziałem piękną dolinę przy Kownie.

O kilka wiorst od Kowna, wśród gór, ciągnie się dolina, ubarwiona kwieciami i przetrzęta strumieniem. Jedno z najpiękniejszych miejsc na Litwie.

Strona 16. Jego, jakoby drugiego Mindowę,

Na ucztach wielbią wajdeloci nasi.

O Mindowie obacz przypisek powyżej. Wajdeloci, sygnoci, lingustoni, zwali się kapłani, których obowiązkiem było dzieła przodków na obrzędach wszelkich, a szczególnie w czasie jesiennych świąt kozła opowiadać lub opiewać ludowi. Ze starzy Litwini i Prusacy lubili i uprawiali poezję, przekonują o tem pieśni dawne, w niezmiernej liczbie dotąd między gminą pozostałe, i świadectwa dziejopisów. Czytamy w Strykowski, iż na pogrzebie książąt kapłan opiewał

ich czyny — iż za czasów Miechowity powtarzano piosnkę o książęciu Zygmuncie, zabitym od kniaziów ruskich. Ale najciekawszy i najważniejszy w tym względzie szczegół znajduje się w dziele niemieckiem: *Versuch einer Geschichte der Hochmeister*, Berlin, 1798. Autor tej szacownej książki, Becker, cytuje starożytną kronikę Wincentego Moguntczyka, który był nadwornym kapelanem wielkiego mistrza Dusenera von Arfberg i pisał dzieje swoich czasów (od r. 1346). Między innemi czytamy, iż podczas wielkiej uczty z okoliczności obioru wielkiego mistrza Winrycha von Kniprode, minnesinger niemiecki śpiewał, uczczony oklaskami i złotym puha-rem. Tak dobre przyjęcie poety zachęciło przytomnego Prusaka, nazwiskiem Rikselus: prosił więc o pozwolenie śpiewania w ojczystym języku litewskim i sławił dzieła pierwszego króla Litwinów, Wajdewuta; wielki mistrz i Krzyżacy, nie rozumiejąc i nie lubiąc mowy litewskiej, wyśmiali poetę i dali mu w podarunku talerz pustych orzechów¹⁾. Nie powinny więc zdawać się śmieszniemi twierdzenia Kotzebuego i Bohusza, iż literatura litewska bogatą być musiała w poezje bohaterskie i historyczne, chociaż do naszych czasów mało co doszło w tym rodzaju. W Prusach albowiem Krzyżacy pod karą śmierci zakazali urzędnikom i wszystkim zbliżającym się do dworu używać języka litewskiego, wywołali z kraju razem z cyganami i żydami wajdelotów, litewskich bardów, którzy sami dzieje narodowe znać i opiewać mogli. W Litwie znowu, za wprowadzeniem wiary chrześcijańskiej i języka polskiego, dawni kapłani i mowa ojczysta poszła w pogardę i zapomnienie; odtąd lud prosty, zamieniony w niewolnictwo i obrócony do roli, zarzuciwszy oręż, zapomniał też o pieniach rycerskich, powtarzając stosowniejsze do teraźniejszego położenia swojego treny i sielanki. Jeżeli zostawało coś z dawnych ich dziejów i poezji bohaterskiej, to w domowych tylko zagrodach albo w czasie obrzędów, z dawną z zabobonnością połączonych, w tajemnicy gminowi udzielano. Symon Grunau, w XVI wieku, trafił przypadkiem w Prusach na ucztę kozła i ledwo uprosił życie, przysiągłszy wieśniakom,

¹⁾ Kotzebue, lubo przytacza tę powieść, zdaje się jednak wątplić o bytności rękopisu kroniki Wincentego. Wszakże w bibliotece szczorsowskiej, w zbiorze rozpraw studentów gdańskich, jest pismo niejakiego Taschke pod r. 1735, gdzie autor cytuje kronikę Wincentego, jakoby drukowaną we Frankfurcie, i dowodzi, że wspomniany Wincenty nie był Moguntczykiem, ale Gdańszczaninem.

iz nikomu nie wyda tego, co ujrzy lub usłyszy; wtenczas, po spełnionej ofierze, stary wajdelota zaczął śpiewać dzieje dawnych bohaterów Litwy, mieszając nauki moralne i modły. Grunau, który dobrze po litewsku rozumiał, wyznaje, iż nie podobnego nie spodziewał się usłyszeć z ust Litwina, taka była piękność rzeczy i wysłowienia.

Strona 16. Naszedł i z tronu zmiótł Olgierdowica.

Witold wypędził z Wilna Skirgajłę i sam wielkie księstwo objął.

Strona 16. By jego poseł, jak Krywejtę goniec.

U starożytnych Litwinów był rząd po części teokracki. Kapłani wielki wpływ mieli. Najstarszy z nich zwał się „kriwe kriwejto“ lub „kirwejto“. Kronikarze, którzy Litwę od Rzymian lub Greków wyprowadzać chcieli, upatrywali w tytule kapłana wyraz grecki Kyrios Kyriotatos. Mieszkanie tego naczelnika religijnego było niedaleko miasta Romowe w Prusach, gdzie potem wieś Heiligenbeil. Tam pod świętym dębem odbierał ofiary i stamtąd ogłaszał swoją wolę, rozsyłając po kraju wajdelotów i sygonotów, uzbrojonych laską na znak pełnomocnictwa wielkiego kapłana. Ob. Guagnini Aleksandri Rerum Polonicarum, tomi III, Francofurti, 1584, v. II, p. 107 i w zbiorze Elzewirów p. 321. Kotzebue, t. I, p. 81. Cromeri Martini, Polonia sive de originibus et rebus gestis Polonorum, libri XXX. Coloniae Agrippinae, a. MDLXXXIV (libro III, p. 42).

Strona 18. Często myśliwa na żmudzkiem rumaku.

Konie żmudzkie, na których jazda litewska tyle dokazywała, nie musiały być tak słabe, jakimi je dziś widzimy. Godna wspomnienia z tej okoliczności dawna piosnka litewska o koniu Kiejstuta (tłumaczenie):

Wszak nad tatarskie niema w świecie koni,
 Nad niemiecką niema broni;
 A z Litwy rodem jest konik Kiejstuta,
 Szabla jego w Litwie kuta.
 Konik cisawy, niewielkiego wzrostu,
 Szabla okuta po prostu.
 Zacóż, na widok Kiejstutowej burki,
 Drżą Niemce i błedną Turki?

Niemiec z Kiejstutem gdy w szable zadzwoni,
 Złamię bułat na żelezie;
 Han krymskim koniem od żmudzkiej pogoni
 Głowy w hordę nie uwiezie.
 Bo gwałt, co ramię na cięcie wyteża,
 Przechodzi i do oręża.
 Bo serce jeźdźca na wojennem bloniu
 Po polowie bije w koniu.

Strona 24. Ty, giermku, rozkaż osiodłać hestera
 Szczególny rodzaj koni żmudzkich; obacz Czackiego
 „O litewskich i polskich prawach“, t. I, str. 214.

Strona 27. Jezus, Marya! Naprzód, hop, hop, ura!
 „Hop, hop, da stich und poss!“ wołali Niemcy na nie-
 przyjaciół.

Strona 28. Tak ojciec Niemen...
 Gdy Rumszyskiego napotka Olbrzyma.
 Niedaleko miasteczka Rumszyszek jest największa rapa
 w Niemnie, żegludze niebezpieczna, zwana „Olbrzym“.

Strona 31. Kędy świątynie miał władca pioruna
 I bóg, co wichrem niepogodnym świszczę.
 Perkunas, bóg piorunu, czczony w Litwie, i Pochwist,
 bóg niepogody, u Rusi. Dotąd pokazują w Nowogródku miej-
 sce, gdzie miały stać tych bóstw świątynie, a gdzie teraz ko-
 ściół XX Bazylianów.

Strona 31. Niemiecki braniec na dzielnym rumaku.
 Brańców wojennych, szczególnie Niemców, Litwini palili
 na ofiarę bogom. Przeznaczano do tego obrzędu wodza lub
 znaczniejszego z rodu i męstwa rycerza; jeśli kilku dostało
 się w niewolę, natenczas losem wyciągano nieszczęśliwą ofia-
 rę. Po zwycięstwie naprzykład Litwy r. 1315 nad Krzyża-
 kami, Strykowski powiada: „A Litwa i Żmudź za to zwy-
 cięstwo i za hojne łupy, z nieprzyjaciół pogromionych i po-
 bitych złupione, gdy bogom swoim ofiary i zwykle modły
 uczynili, jednego zacnego Krzyżaka, imieniem Gierarda
 Rudkę, wojta albo starostę ziemi sambijskiej, z więźniów
 przedniejszego, z koniem, na którym wojował, i z zbroją,
 w której był ubrany, i z bronią, żywego na wyniosłym stosie

drew spalili i z dymem duszę do nieba, a ciało z perzynami na powietrze postali". Stryjkow., Kron., k. 391, wyd. królewiec.

Przy końcu tegoż wieku Prusacy, już ochrzczeni, zbuntowawszy się i zbiwszy 4000 Niemców, komtura memelskiego pojmali i spalili. Ob. Lucas Dawid, k. 2156.

Strona 32. ... Rycerze na stosie

Składają ciało, mleko i miód leją.

Zwyczaj palenia ciał, wspólny wielu narodom starożytnym, był też w Litwie zachowywany aż do przyjęcia chrześcijaństwa. Kronikarze i w tem znajdowali dowód pochodzenia Litwy od Greków lub Rzymian. Obrzędy pogrzebowe nieraz szeroko opisuje Strykowski, szczególnie po zgonie sławnego Kiejstuta: „Ciało jego (Kiejstuta) Skirgajło, brat Jagiełłów, do Wilna uczyniwszy obyczajem książęcym przyprowadził, a uczyniwszy wielki stos z drew suchych na zgłiskach wileńskich, według zwyczaju ojczystego pogańskiego zgotowali wszystkie potrzeby do palenia ciała; tamże ubrawszy go we zbroję i w szaty książęce, z szablą, z włócznią i z sajdakiem włożyli go na stos drew, a przy nim sługę wiernego żywego, konia najlepszego żywotnego, ubranego, parę chartów, charków i wyźłów, paznogie rysie i niedźwiedzie i trąbę myśliwską. Potem uczyniwszy bogom modlitwy i ofiary i wyśpiawszy dzielności jego, co za żywota czynił, zapalili on stos drew smolny, i tak wszystko ciało zgorzało; popiół potem i kostki wypalone zebrawszy, w trumnie pochowali. A to było dokonanie i pogrzeb sławnego księcia Kiejstuta". (Kar. 467).

Strona 32. Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha.

Charakter i działanie Grażyny mogą się zdawać zbyt romansowe i z obyczajami owoczesnemi niezgodne. Dziejopisowie albowiem niepochlebnemi kolorami malują stan niewiast w Litwie starożytnej. Te nieszczęśliwe ofiary przemocy i ucisku żyły w pogardzie, wskazane na służbę prawie niewolniczą. Ale z drugiej strony u tychże dziejopisów znajdujemy całe przeciwne podania. I tak, na chorągwiach pruskich i na monetach starożytnych widziano, jak świadczy Schütz (Kotzebue, Belege und Erläuterungen, T. I, p. 291), niewiastę w koronie; skądby wnosić można, iż kiedyś niewiasta panowała w tym kraju. Pewniejsze daleko, bo aż do późnych czasów dochodzą powieści o sławnych ubóstwionych kapłankach, o Gezanie i Kadynie, których szaty i relikwie długo jeszcze

w kościołach chrześcijańskich zachowywane były. Słyszałem od świadomego dziejów narodowych p. Onacewicza, iż w rękopisie kronikarza wołyńskiego jest wzmianka o sławnym czynie niewiast jakiegoś miasta litewskiego, które, po wyjściu mężów na wojnę, same murów broniły, a nie mogąc oprzeć się nieprzyjaciółom, przeniosły dobrowolną śmierć nad niewolę. Coś podobnego wspomina Kromer (*Polonia sive etc.*, p. 206) o zamku Pullen. Sprzeczności tę pogodzić się dadzą, jeśli zważymy, iż ród litewski składał się z dwóch, od dawna razem zamieszkałych, ale zawsze nieco różniących się pokoleń: to jest z krajowców (*autochtonów*) i przychodniów, jak się zdaje, Normandów; ci ostatni zachowali zapewne wrodzone ku pici pięknej uczucia szacunku i przywiązania. Jakoż, podług dawnych praw czyli zwyczajów litewskich, żony z tego obcego pokolenia szaszczycane były szczególniemi od mężów względami. Nadto pogarda ku niewiastom i ich upodlenie, zdaje się, iż tylko w czasach najdawniejszych i zupełnie barbarzyńskich miały miejsce. Następnie zaś, a mianowicie w wieku, w którym przypuszczamy akcję tej powieści, duch rycerski i prawie romansowy przebija się coraz bardziej. Wiadomo, jak dzielny i surowy wojownik Kiejstut czule kochał swoją Birutę, którą, bogom poświęconą, narażając się na niebezpieczeństwo, porwał i z prostego stanu księżną uczynił; jak małżonka Witolda zręcznie i śmiało męża z więzienia i od bliskiej śmierci uwolniła.

Strona 32. Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

Litwini w ciężkiej chorobie lub w wielkiem nieszczęściu zwykli byli żywcem palić się w domach. Najpierwszy ich król i arcykapłan Wajdewutas i jego następcy na stosach dobrowolną śmiercią pospolicie żywot kończyli. Takowe samobójstwo w mniemaniu ich bardzo zaszczytnem było.

KONRAD WALLENROD.

Strona 44. Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono.

Marienburg, po polsku Malborg, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellona przyłączone do Rzeczypospolitej polskiej, później oddane w zastaw margrabiom brandeburskim, przeszło nakoniec w posiadłość królów pruskich. W sklepach zamku były groby wielkich mi-

strzów; niektóre dotąd ocalały. Voigt, profesor królewiecki, wydał przed kilku laty historję Marienburga, dzieło ważne dla historji Prus i Litwy.

Strona 42. Wielki krzyż — wielki miecz.

Insygnja wielkich mistrzów.

Strona 42. Sławą napełnił zagraniczne domy.

Tak nazywały się klasztory, albo raczej zamki, po różnych krajach Europy rozrzucone.

Strona 42. Gonić na ostre.

Dawne wyrażenie polskie: „combattre à outrance”.

Strona 45. Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy

Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

Wzrok człowieka, powiada Cooper, jeśli jaśnieje wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy z tej okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który, skradając się do kaczek, usłyszał szelest. Podniósł się i ujrzał z przestrawieniem ogromnego, tuż leżącego, lwa. Zwierz zdawał się być również zdziwiony widokiem człowieka atletycznej postawy. Strzelec nie śmiał dać ognia, mając strzelbę śrótem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojej strony, siedząc spokojnie, nie spuszczał oczu ze strzelca; po kilku sekundach odwrócił głowę i oddalił się powoli, ale zaledwo uszedł kilka kroków, zatrzymał się i znowu powrócił. Znalazł na miejscu nieruchomego strzelca: spotkał się znowu z nim oko w oko i nakoniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł. *Bibliothèque Universelle, 1827, février. Voyage du capitaine Head.*

Strona 46. Arcykomtur.

„Grosskomthur“, najpierwszy urzędnik po wielkim mistrzu.

Strona 47. Jakaś pobożna, nieznana niewiasta.

Kroniki owych czasów piszą o wiejskiej dziewicy, która, przybywszy do Marienburga, żądała, aby ją zamurowano w osobnej celi, i tam życia dokonała. Grób jej słynął cudami.

Strona 48. Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.
Konrad — dzielnego imię Wallenroda:
On mistrzem naszym.

W czasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepe-
wne, zdarzenia podobne, brane za wieszczbę, wpływały na
obradę kapituły. I tak Winrych Kniprode pozyskał wszyst-
kie głosy, ponieważ kilku braci słyszało jakoby w grobach
mistrzów wołanie trzykrotne: „Vinrice! Ordo laborat!” „Win-
rychu! Zakon w niebezpieczeństwie”.

Strona 51. Zamek Swentoroga.

Zamek wileński, gdzie był niegdyś utrzymywany Znicz,
to jest ogień wieczny.

Strona 58. Cieszymy się w Panu.

Hasło uczt zakonnych owego wieku.

Strona 62. Pieśń wajdeloty.

Obacz „Grażyna” przypisek do słów:

Jego, jakoby drugiego Mindowę
Na ucztach wielbią wajdeloci nasi,

gdzie opisane jest podobne zdarzenie za mistrzostwa Dusener
von Arlberg.

Strona 62. Staje widomie morowa dziewczica.

Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w po-
staci dziewczicy, której zjawienie się, opisane tu według po-
wieści gminnej, poprzedza straszliwą chorobę. Przytoczę,
w treści przynajmniej, słyszana niegdyś w Litwie balladę:
„We wsi zjawiała się morowa dziewczica i, według zwyczaju
przez drzwi lub okna wsuwając rękę i powiewając czerwoną
chustką, rozsiewała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali
się warownie, ale głód i inne potrzeby wkrótce zmusiły do
zaniedbania takowych środków ostrożności; wszyscy więc cze-
kali śmierci. Pewny szlachcic lubo dostatecznie opatrzony
w żywność i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne obłęze-
nie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich, wziął
szablę zygmuntowę, na której było „imię Jezus, imię Marya”
i, tak uzbrojony, otworzył okno domu. Szlachcic jednym za-
machem uciął straszidła rękę i chustkę zdobył. Umarł wpra-
wdzie i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy we wsi

nie znano morowego powietrza⁴. Chustka owa miała być zachowana w kościele, nie pomnę, jakiego miasteczka. Na wschodzie przed zjawieniem się dżumy ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza i palcami wytykać skazanych na śmierć. Zdaje się, że imaginacja gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przecucie tajemne i tę dziwną trwogę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a którą nie tylko pojedyncze osoby, ale całe narody częstokroć dzielają. Tak w Grecji przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny peloponeskiej, w państwie rzymskiem upadek monarchji, w Ameryce przybycie Hiszpanów itd.

Strona 65. Miałem imię Waltera.

Walther von Stadion, rycerz niemiecki, wzięty w niewolę od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało, że Prusacy i Litwini, dziećmi porwani i wychowani w Niemczech, powracali do ojczyzny i stawali się najsroższymi Niemców nieprzyjaciółmi. Takim był pamiętny w dziejach Zakonu Prusak Herkus Monte.

Strona 77. Wojna.

Obraz tej wojny skreślony podług historii.

Strona 80. Trybunał tajemny.

W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baroni dopuszczali się częstokroć zbrodni, kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była za słabą na ich poskromienie, zawiązało się bractwo tajemne, którego członkowie, nie znając się między sobą, obowiązywali się przysięgą karać winnych, nie przepuszczając własnym przyjaciółom lub krewnym. Skoro sędziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadamiano potępionego, wołając nań pod oknami lub gdziekolwiek w jego obecności: „Wehl!“ „Biada!“ To trzykroć powtórzone słowo było ostrzeżeniem; kto je usłyszał, gotował się na śmierć, którą niechybnie a niespodziewanie miał z ręki niewiadomej odebrać. Sąd tajemny nazywał się jeszcze trybunałem „femicznym“ (Vemgericht) albo „Westfalskim“. Trudno oznaczyć, kiedy wziął początek; podług niektórych miał być ustanowiony przez Karola Wielkiego. Zrazu potrzebny, dał następnie powód do różnych nadużyć, i rządy zmuszone były srożyć się nieraz przeciwko samymże sędziom, nim tę instytucję całkiem obalono.

* * *

Nazwaliśmy powieść naszą historyczną, bo charaktery działających osób i wszystkie ważniejsze wspomniane w niej zdarzenia skreślone są podług historii. Ówczesne kroniki w cząstkowych, rozerwanych spisach nieraz odgadywane tylko i domysłami dopełniane być muszą, aby z nich jaką całość historyczną utworzyć. Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, mam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy. Podług kronik Konrad Wallenrod nie pochodził ze sławnej w Niemczech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za jej członka. Miał być czymś synem z nieprawego łoża. Kronika królewiecka (biblioteki Wallenroda) powiada „er war ein Pfaffenkind“. O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo, pijaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę, a nawet nienawiść ku duchownym. „Er war ein rechter Leuteschinder“. (Kronika biblioteki Wallenroda). „Nach Krieg, Zank und Hader hat sein Herz immer gestanden; und ob er gleich ein Gott ergebener Mensch von wegen seines Ordens sein sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen Gräuel gewesen“ (David Lucas). „Er regierte nicht lang, denn Gott plagte ihn inwendig mit dem laufenden Feuer“. Z drugiej strony przyznają mu ówcześni poeci wielkość umysłu, męstwo, szlachetność i moc charakteru; jakoż bez rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojej utrzymać wśród powszechnej nienawiści i klęsk, które na Zakon sprowadził. Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rząd Zakonu, sposobna zdarzała się pora wojowania z Litwą, bo Witold przyrzekał sam Niemców na Wilno sprowadzić i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę, co gorsza, zraził Witolda i tak mu niebacznie zaufał, że ten książę, pogodziwszy się tajemnie z Jagiełłą, nie tylko z Prus uszedł, ale po drodze, wchodząc do zamków niemieckich, jak przyjaciel, palił je i załogi wycinał. W tak niepomysłonej zmianie okoliczności należało wojny zaniechać albo bardzo ostrożnie ją przedsięwziąć. Wielki mistrz ogłasza krucjatę, wysyła skarby zakonu na przygotowania (5 000 000 marek, około miliona złotych węgierskich, suma na owe czasy niezmierna), ciągnie do Litwy. Mógłby Wilno zdobyć, gdyby czasu na uczty i oczekiwaniach posiłków nie zmarnował. Nadeszła jesień — Wallenrod, zostawiwszy obóz bez żywności, w największym beładzie uchodzi do Prus. Kronikarze

i późniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu i nie znajdują w ówczesnych okolicznościach żadnego doń powodu. Niektórzy przypisywali ucieczkę Wallenroda pomieszaniu rozumu. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i postępowaniu naszego bohatera dają się pogodzić, jeśli przypuścimy, że był Litwinem i że wszedł do Zakonu, aby się nad nim zemścić. Jakoż panowanie jego zadało najsroższy cios potędze Krzyżaków. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem, skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Marienburgu. Wallenrod umarł roku 1394 śmiercią nagłą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. „Er starb, powiada kronika, in Raserei ohne letzte Öhlung, ohne Priestersegen. Kurz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen; die Weichsel und die Nogat durchbrachen ihre Dämme... hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pilau stehet“. Halban czyli, jako go zowią kronikarzy, doktor Leander von Albanus, mnich, jedyny i nieodstępny towarzysz Wallenroda, lubo udawał pobożność, był podług kronikarzy heretykiem, poganinem, a może czarownikiem. O zgonie Halbana niema pewnych wiadomości. Niektórzy piszą, że utonął, inni, że uszedł tajemnie lub od szatana porwany został. Kroniki przywodziliśmy po większej części z dzieła Kotzebue: Preussens Geschichte, Belege und Erläuterungen. Hartknoch, nazywając Wallenroda „unsinnig“, bardzo krótką daje o nim wiadomość.

* * *

Lubo rodzaj wiersza, użyty w powieści wajdeloty, mało jest znany, nie chcemy wykladać powodów, które nas do tej nowości skłoniły, aby nie uprzedzać zdania czytelników. Za miarę głosek uważaliśmy akcent, zachowując się w wymawianiu: radziliśmy się też uwag, zawartych w ważnym dziele Królikowskiego. Wprawdzie w kilku miejscach odstąpiliśmy od podanych przezeń prawideł, tłumaczyć się tu jednak z tego względu nie poczytujemy za rzecz stosowną i potrzebną. Oto jest kilku wierszy skadowanie:

Skąd Lĩ | twĩni wr̃a | cąjã | z nocnej wr̃a | cąjã wy | ciecčki
 Wiozã | łupy bõ | gate | w zamkach ĩ | cerkwiach zdo | byte.
 Sãmã nie | widzi co | robi | wszyscy mi | tõ powiã | dają.

W budowie wiersza naśladowano heksametr grecki, z tą różnicą, że w miejscu spondeów (— —) używano najczęściej trocheów (— —), albo — —. W dwóch lub trzech miejscach daktyle zastąpione są przez antibacchius (— — —), którego średnia zgłoska nie jest wyraźnie długa np.:

krzyk mojej matki.

GIAUR

Strona 94.

Giaur-Niewierny; tak muzułmanie nazywają chrześcijan.

Strona 96. Gdy was przychodzić z gór Kolonny wita,
Przyładek Kolonna, zwany niegdyś Sunium.

Strona 96. Błyszczą się róża, sułtanka słowików.

O miłośkach róży i słowika poeci wschodni często wspominają.

Strona 97. Zabrzmi gitara morskiego przechodnia.

Na morzach greckich często w noc pogodną słychać dźwięk gitary. Ulubiony to instrument majtków greckich; przy jego dźwięku śpiewają i tańczą.

Strona 97. Kto na śmiertelnem oglądał posłaniu.

Zapewne rzadko który z czytelników widział na własne oczy obraz, tu opisany. Kto widział, musi pamiętać, jak smutne czyni wrażenia ta dziwna piękność, która kilka godzin po zgonie zdobi jeszcze twarz martwą, ale kilka godzin tylko. Godna uwagi, że człowiek, zabity kulą, ma pospolicie na twarzy wyraz żalości, chociażby za życia był śmiałego i dzikiego charakteru; przeciwnie, postać człowieka, przebitego sztyltem, wyraża boleść i tchnie dzikością.

Strona 99. Niewolni — gorzej: słudzy niewolników!

Ateny za panowania tureckiego były własnością Kizlar-Agi, niewolnika serajowego i dozorczy kobiet haremu. Eunuch rządził rządcą Aten.

Strona 100. Że to piratów statek lub Majnotów.

Majnoci, mieszkańcy dawnej Lakonji. Czyli rzeczywiście pochodzą od Spartanów, wiele o tem pisali uczeni.

Strona 101. Przecież błysk widać każdej tofaiki.

Tofaika, strzelba turecka.

Strona 101. Bo dziś zachodzi słońce ramazanu,
Dziś Bajram święcą wyznawcy koranu.

Ramazan — jest to wielki post turecki; *Bajram* — wielkie święto, które obchodzą nakszałt naszego karnawału. O zachodzie słońca początek Bajramu ogłasza się wystrzałem z armaty; potem trwają całą noc iluminacje meczetów i wystrzały wiwatowe różnej broni.

Strona 102. Chyży, jak dziryt, leci wzdłuż zatoki.

Dzeryd, jest to pocisk, na końcu tępy. Jezdni muzułmańscy rzucają go z konia bardzo silnie i trafnie; jest to ich ulubiona zabawa. Nie wiem, czy można ją nazwać zabawą rycerską, bo najrzęczniejsi dzerydyści w Konstantynopolu są czarni rzezańcy. Pamiętam też Mameluka ze Smyrny, który w tem igrzysku Turków zwyciężał.

Strona 103. Przyszeli i odszedł, jak wichor symomu.

Simum, wiatr pustyni, śmiertelny wszystkiemu, co tchem swoim owionie. Poeci wschodni wiele o nim piszą i różne mu dają nazwiska.

Strona 104. Za chleb i za sól podziękować Bogu.

Na wschodzie, skoro gospodarz chleb z podróżnym rozłamię i solą z nim podzieli się, już go przyjmuje za gościa; chociażby w gościu poznano nieprzyjaciela, już osoba jego jest poświęcona i od wszelkiej krzywdy bezpieczna.

Strona 104. Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana.

Ludzkość i litość dla ubogich nakazana jest koranem muzułmanów. Wyznać należy, iż znaleźć można często przykłady tych cnót między Turkami. Zwyczajnie, jeżeli kto chce chwalić Turka, wysławia najprzód jego szczodrość, a potem męstwo.

Strona 105. I w srebrem kutyh pochwach atagany.

Atagan jest to długi sztylet, który Turcy obok pistoletów na pasie zawieszają. Pochwy atagana są pospolicie z metalu, często ze srebra, a u bogatych wyłaczane lub szczerolote.

Strona 105. Zapewne emir, bo w zielonym stroju.

Pomiędzy muzułmanami tylko ci, którzy uchodzą za potomków Mahometa, mają prawo nosić suknie zielonego koloru.

Strona 105. „Ho! kto ty? ... „Salem! Waszej jestem wiary“.

Aleikum Salem znaczy *pokój z tobą*. Chrześcijan pozdrawiają słowem *Ohurlarola*, *szczęśliwa droga* albo *chairolsun*, *sabah chairolsun*: daj Boże zdrowie, dzień dobry.

Strona 106. Jak król motylów za wiosny powrotem.

Motyl kaszemirski, najpiękniejszy i najrzadszy z motylów.

Strona 106. Jest, jak skorpion, opasany żarem.

Powszechne jest mniemanie, że skorpion, otoczony żarem, sam siebie żądlem zabija. Naturaliści sprzeczą się dotąd, czy owad popełnia zabójstwo dobrowolnie, czy tylko, wpadłszy w konwulsje, mimowolnym ruchem żądła ranę sobie zadaje. Dla dobra skorpionów życzyłyby należało, aby to pytanie rozstrzygnięto. Skoroby raz unano, że skorpiony są Kantonami owadów, zostawionoby przecie w pokoju tych męczenników historii naturalnej.

Strona 107. Przy bładem świetle wschodzącej Fingary.

Fingary jest Febe czyli księżyc wschodnich narodów.

Strona 108. Jako Dżemszyda rubinów ognistych.

Sławny rubin starożytnego szacha perskiego *Dżemszyda*, w powieściach wschodnich zowie się *Szebczerag*, pochodnią nocy, puharem światłości itp.

Strona 108. Przechodził ostre mosty Alsyratu.

Alsyrat podług mitologii wschodniej jest to most tak wąski, jak nitka pajęcza; na tym moście będą musieli muzułmanie przechodzić do raju; zamiast rzeki, ciągnie się u spodu przepaść piekielna. Do tego przejścia możnaby zastosować ów Wirgiljusz *facilis descensus Averno*. Pod tym mostem pajęczym ma być drugi, jeszcze węższy, dla chrześcijan i żydów.

Persowie szczególnie boją się owego mostu. „Jeżeli biedny Pers (powiada Chardin) poniesie krzywdę, której dochoć na tym świecie nie widzi sposobu, wtenczas apeluje ciemięzyciela na sąd straszny: „Odplacisz ty, woła, na moście *Pul-i sermu*; tam ci podstawię nogę albo uczepię się do poly

twoich sukien". Widziałem nieraz, że ciemieżyciel, lękając się takiego aresztu, przeproszał pokrzywdzonego — i sam nieraz używałem skutecznie podobnej groźby, itd.

Strona 108. Czyż taka piękność jest prochem bez ducha.

Mylne to mniemanie, że Mahomet nie zostawia kobietom nadziei przyszłego życia; owszem, wyznacza im na przytulek trzecią część raj. Wszakże niektórzy wykładacze koranu, wykręciwszy tekst Proroka, nie przyznają kobietom duszy nieśmiertelnej.

Strona 108. Jako monarcha ptaków Frangestanu.

Frangestan, kraj Czerkasów.

Strona 110. ...już krzyczą Bismillah.

Bismillah, w imię Boga. Od tych słów zaczynają się prawie wszystkie rozdziały koranu, wszystkie modlitwy i dziełczynienia muzułmanów, a nawet wszystkie książki i pisma jakiegokolwiek treści.

Strona 111. Więc wściekły, wasy od gniewu najeżył...

Zwyczajne symptoma gniewu u Turków. W roku 1809, na audiencji dyplomatycznej, nagle wasy Kapudana Baszy najeżyły się, jak u tygrysa. Drogmani pobledli od strachu; szczęściem, was powoli opadł i obwisnął — zostało więc na karkach może tyle głów, ile było włosów w owych wąsach.

Strona 111. Poznałem czarne złowrogie żrenice.

O złych oczach i urzekaniu złem okiem powszechna jest wiara między ludem w Turcji i wielu innych krajach.

Strona 112. Gdzie wiszą szmaty jego palamporu.

Palampor, szal, który noszą baszowie i znakomite osoby.

Strona 114. Turban, w kamieniu prostym wyrzeżany.

Takie są proste nagrobki Turków. Często spotyka je podróżny w dzikich ustroniach pomiędzy skałami; oznaczają mogiły poległych w czasie buntu, albo zamordowanych od zbójców.

Strona 114. Słyszał wołanie Illa-hu, Alla-hu.

Illah, Alla-hu, a raczej *La illaha illa hu*: temi słowami kończy się wzywanie na modlitwę czyli *izan*, obwoływany z wież minaretów.

Strona 114. Monkir swą kosą rozerwie na ćwierci.

Monkir i Nekir, podług muzułmanów są to wielcy inkwizytorowie, ciągnący śledztwo z nieboszczyków. Jeżeli z wypowiedzi grzesznika przekonają się o jego winach, wtenczas Monkir kosą ciągnie go do góry, a Nekir maczugą na dół strąca.

Strona 114. Przed tron Eblisa twą przekłątą duszę.

Eblis, Pluton muzułmanów.

Strona 114. Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem.

Wiara w upiory powszechna na Wschodzie. Turcy zowią je *wardulacha*; Grecy równie ich się boją i mnóstwo o nich prawią strasznych powieści.

Strona 115. Jak się ten zowie Kalajor ponury.

Kalajor lub kalojer — mnich grecki.

Strona 122. On wiedział o tem od wschodnich proroków.

W wielu krajach, naprzykład w Szkocji, są ludzie, którzy mają posiadać wzrok podwójny, przewidywać przyszłe wypadki. W Turcji są niektórzy, obdarzeni duchem prorockim i słyszający przyszłe postrzały.

Strona 124. Ona śpi, falmi nakryta chłodnemi.

Przed niewiele laty żona Muchtar Baszy oskarżyła syna swego o niewierność. Muchtar wywiadywał się o nazwisko kochanek syna. Wymieniono mu dwanaście najpiękniejszych kobiet Janiny. Basza rozkazał je tejże nocy pochwycić, wsadzić w skórzane wory i wrzucić do morza. Janczar, obecny tej egzekucji, zapewniał mnie, że żadna z ofiar nie wydała krzyku ani pokazała znaku trwogi. Za mojej bytności w Grecji śpiewano pieśni o Frozynie, najpiękniejszej z owych Greczynek.

Historja o Giaurze i Leili jest nieco dawniejsza; słyszałem ją od jednego z tych opowiadaczy, którzy po kawiarniach wschodnich prawią różne powieści wierszem i prozą. Żałuję, że niewiele spaamiętałem ułamków oryginału; czytelnik je rozezna po stylu, ubogim w obrazy orientalne.

Objaśnienia czerpałem z Herbelota i ze sławnej powieści „Kalf Watek“.

BAJKI.

Strona 153. PANICZ I DZIEWCZYNA.

Pierwsza część tego wiersza jest pióra Antoniego Edwar-
da Odyńca, a dwie drugie Adama Mickiewicza.

PRZEKLADY.

Strona 183. SZANFARY.

Szanfary, jeden z najsławniejszych przed Mahometem ry-
cerzy, czyli farysów arabskich, wojownik i poeta, był z po-
kolenia Asd. Obrażony przez rycerzy z pokolenia Salaman,
wzywał swoich, aby mu dopomogli zemścić się krzywdy. Nie
otrzymawszy wsparcia, Szanfary opuścił swe pokolenie i na-
pisał niniejszą kasydę (powieść), wyrzucając rodakom ich
zniewieściałość i niewdzięczność. Udał się sam na wojnę i po-
przysiągł póty nie złożyć oręża, póki nie zabije stu farysów
z pokolenia Salaman. Już był ich zabił dziewięćdziesięciu
dziewięciu, gdy, wpadłszy w zasadzkę Salamanów, sam zgi-
nął. Głowa jego wałała się w koczowisku; i gdy jeden z fa-
rysów trącił ją nogą, tak mocno skaleczył się o kość czaszki,
że wkrótce życie utracił i dopełnił liczby stu, zaprzysiężonej
przez Szanfarego.

Tę kasydę tłumaczyłem z francuskiego przekładu p. de
Sacy. Później miałem sobie udzielone od p. Sękowskiego tłumaczenie polskie dosłowne z obszernym uczonym komenta-
rzem. Korzystając z tej nowej pomocy, starałem się tekst
mego przekładu, ile możności, poprawić. Z komentarza p.
Sękowskiego umieszczam kilka przypisów.

Strona 183. Bracia moi, postawcie wielbłądy na nogi!

W oryginale: *Podnieście piersi wielbłądów*. Wielbłądy
kładą się na ziemi, zginając pod siebie nogi. Kiedy karawana
ma ruszyć, człowiek siada na siodło i, ciągnąc wodze, pod-
nosi wielbłąda.

Strona 184. Brew malować, włos trefić w kąpieli zapachów?

Arabowie nacierają powieki pewną farbą brunatną, zwa-
ną *kohl*, co u nich za wielką poczytują ozdobę.

Strona 184. Czy mię kiedy noc zbłąka, choć piaszczysta fala.

W pustyni kierują się podróżni po gwiazdach. Beduini kładą w rzedzie celnych przymiotów rycerza trafność jechania w dzień i w noc.

Strona 184. Zęby dzwonią, jak strzały we wróżka prawicy.

Dawni Arabowie poganie mieli w świątyni mekkańskiej strzały wyroczne *zalum*, z których rozmaitego mieszania wrócono o przeszłości.

Strona 185. Jak płaczące farysa małżonki lub córki.

Kiedy Arab zginie na wojnie, żony jego i krewnie wychodzą na bliskie wzgórze, płaczą, jęczą i, wrzaskliwie narzekając, zaklinają jeźdźców swego pokolenia, ażeby zemścili się jego zgonu.

Strona 185. Jeśli do studni jadę, lecący pułk strusi.

W oryginale jest tu mowa nie o strusiach, ale o ptactwie, zwanem *Katho*, wielkości kruka. W poezji arabskiej często znajdujemy wzmiankę o tem ptactwie, przelatującym stadami pustynie Arabji. Farys powinien znać położenie źródeł w pustyni, ażeby wiedział, gdzie ma popasać.

Strona 185. Boleści podzieliły losem moje ciało.

Przenośnia, wzięta ze zwyczaju Arabów, którzy, zabiwszy wielbłąda, losem ciągną, jaka część komu się dostanie.

Strona 186. Może to Diw, przechodząc, tyle szkody zrobił?

Diw, znaczy duch, geniusz: wyraz polski *dziw*, zdaniem p. Sękowskiego, pochodzi z perskiego i musiał dawniej też samo mieć znaczenie.

Strona 186. A włos mój brudu pełny, nie znający woni.

Szanfary przysięgł zemścić się na pokoleniu Salaman. Arab po takiej przysiędze nie umywa się, nie strzyże i nie zaczesywa włosów, nie zmienia odzieży i nie pije wina, dopóki zemście zadosyć nie uczyni.

Strona 187. Bo myślały, że jestem kozieł, wódz ich stada.

W oryginale: „Myślały, że jestem z rodu kozłów“. Tu następuje ich opisanie. Mowa tu zapewne o gatunku kóz dzikich, *Antilope rupicapra* (Chamois).

Strona 187.

ALMOTENABBI.

Sławny rycerz i poeta arabski, wygnany ze swej ojczyzny, udał się do Egiptu, do przyjaciela swego, sułtana Abu-Chodża Fatik, którego, gdy już przy życiu nie znalazł, opuścił Egipt i w podróży tę kasydę ułożył.

MORLACH W WENECJI.

Strona 189. „Dymitry! Pójdźmy do morskiego miasta...

Rzeczpospolita wenecka zaciągała na żołd swój wielką liczbę góralów Sławian.

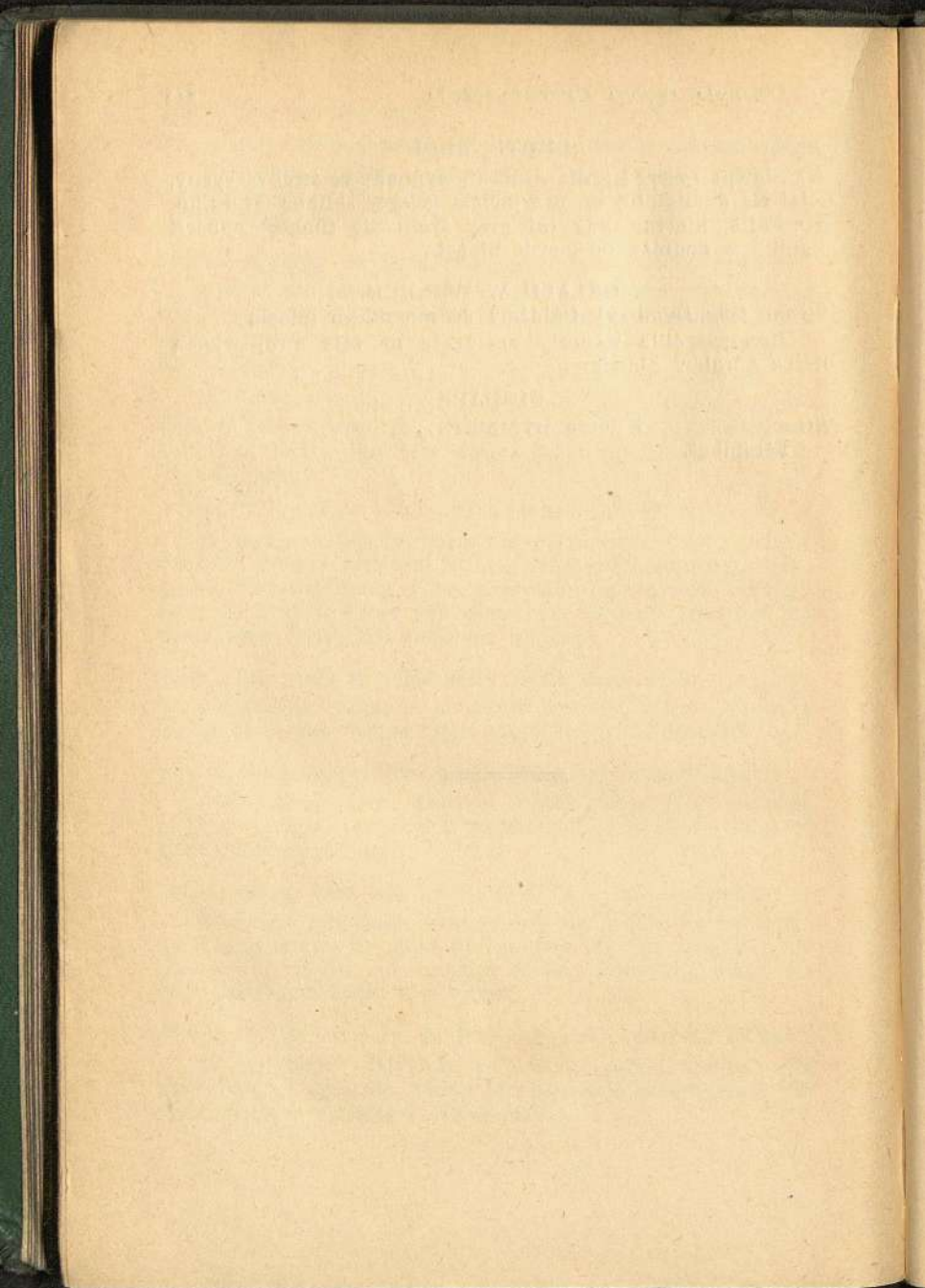
Z PINDARA.

Strona 193

I konia wygrańca...

Ferenikos.





SPIS RZECZY.

	Str.
Grażyna. Powieść litewska	5
Epilog wydawcy	33
Konrad Wallenrod	37
Przedmowa	39
Wstęp	40
Obiór	41
Uczta	57
Wojna	77
Pożegnanie	82
Giaur. Ułamki powieści tureckiej	91
Przedmowa tłumacza	93
Przedmowa autora	95
Tekst	96
Bajki	131
Pies i wilk. Z Lafontaine	133
Ludzie na czystym polu	134
Żaby i ich króle	134
Chłop i żmija. Z Lafontaine	136
Osiół i pies	137
Komar, niewielkie lichy	138
Trójka koni	138
Tchórz na wyborach	139
Pchła i rabin	141
Dzwon i dzwonki	141
Przyjaciele	141
Zając i żaba. Z Lafontaine	142
Koza, kózka i wilk. Z Lafontaine	143
Król chory i lisy	144
Lis i kozieł	145
Golono, strzyżono	146
Żona uparta	148
Król Bobo i królewna Lala. Urywek	149
Panicz i dziewczyna	153
Przekłady	155
Pożegnanie Czajd Harolda. Z Byrona	157
Sen. Z Byrona	159

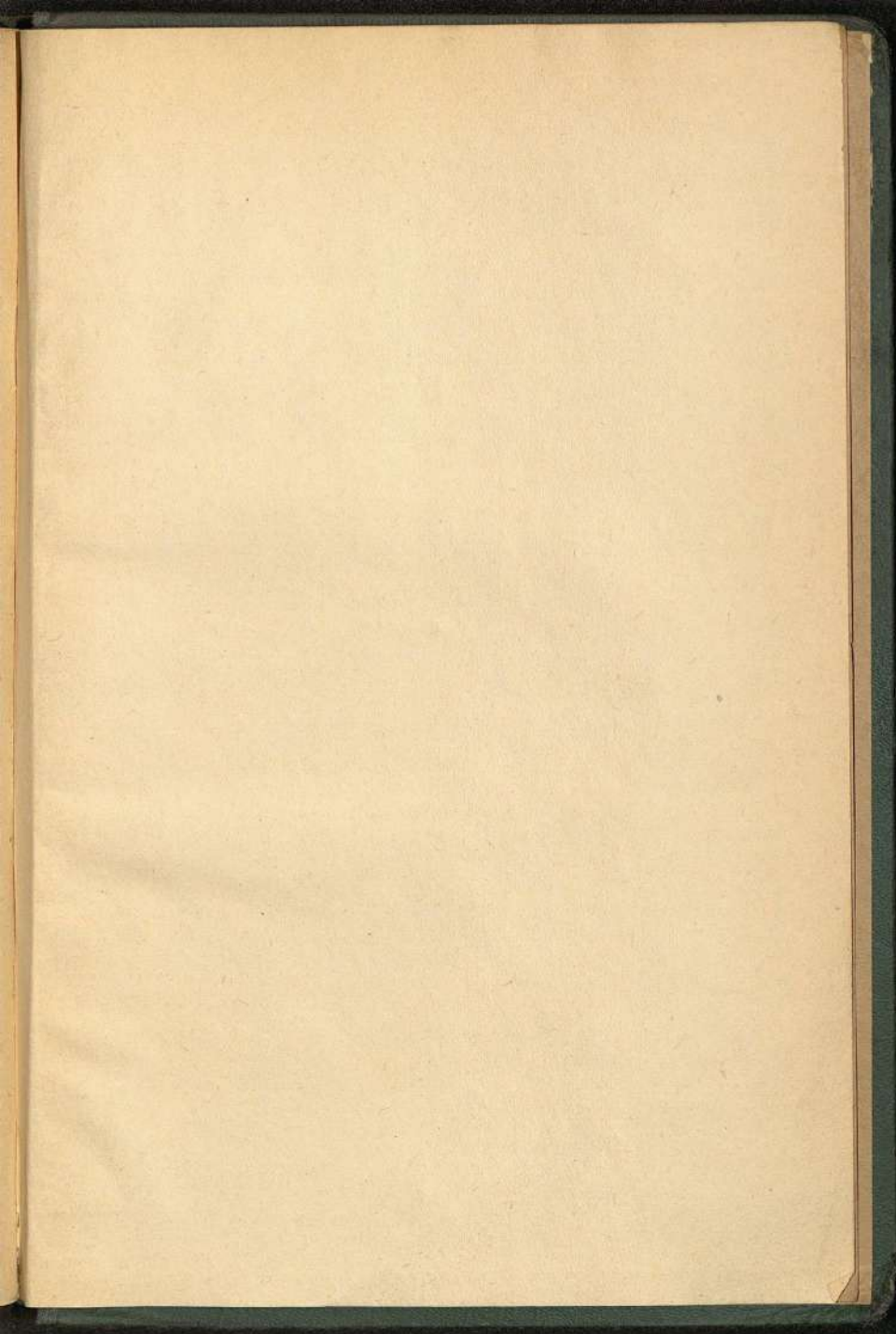
	Str.
Euthanasia. Naśladowanie z Byrona	164
Ciemność. Z Byrona	165
Czyż jest na całym świecie	168
Podróżny. Z Goethego	168
Do Henryki Ankwicówny. Wezwanie do Neapolu. Naśladowanie z Goethego	174
Światło i ciepło. Z Szyllera	175
Amalja. Z Szyllera	175
Nauka. Z Gleima	176
Nowy Rok. Myśl z Jean Paul Richtera	176
Z Petrarki	177
Ugolino. Wyjątek z „Boskiej Komedji”	179
Przypomnienie. Z Aleksandra Puszkina	182
Szanfary. Kasyda z arabskiego	183
Almotenabbi. Z arabskiego, według tłumaczenia Lagranża	187
Morlach w Wenecji. Z serbskiego	189
Aryman i Oromaz. Z Zenda-Westy	190
Do Pryska. Z Horacjusza Carm. II. 2	191
Elegja. Z Owidjusza	192
Z Pindara. Olympja I.	192
Zdania i uwagi. Z dzieł Jakuba Bema, Anioła Słazaka i Sę-Martena	194
Rękawiczka. Powiastka z Szyllera	209
Urywek	210
Romeo i Julja. Z tragedji Szekspira. Akt II. Scena II	211
Don Carlos. Wyjątek z tragedji Szyllera. Akt I	214
Objaśnienia autora i uzupełnienia	226



SPIS ALFABETYCZNY.

	Str.		Str.
Almotenabbi	187	Już w gruzach leżą... .	74
Alpuhara. Ballada . . .	74	Kiedy dla śmiertelników .	182
Amalja	175	Kiedy zaraza Litwę ma	
Aryman i Oromaz . . .	190	uderzyć...	62
Bajki	131	Komar, niewielkie licho... .	138
Bracia moi...	183	Konrad Wallenrod	37
Był dzień patrona... .	57	Koza, kózka i wilk . . .	143
Bywaj mi zdrowy... .	157	Król Bobo i królewna	
Chcąc być widzem... .	209	Lala	149
Chłop i żmija	136	Król chory i lis	144
Ciemność	165	Kto rany nie odebrał... .	211
Coraz to ciemniej... .	5	Lis i kozieł	145
Czytelniku! Jeżeliś... .	33	Ludzie na czystem	
Czyż jest na całym świe-		polu...	134
cie...	168	Miałem dziwny sen... .	165
Delectans oculos opibus	210	Morlach w Wenecji . . .	189
Do Henryki Ankwiczów-		Na ukaz Jego... . . .	144
ny	174	Najpierwszą woda istota	192
Do Pryska	191	Najpiękniejsza. jako... .	175
Don Carlos	214	Nauka	176
Dwoiste życie nasze... .	159	Nie świecą kruszce... .	191
Dzielny młodzieniec... .	175	Niemasz teraz... . . .	141
Dzwon i dzwonki . . .	141	Niewiasto młoda... . .	168
Dzwonki razu jednego... .	141	Nowy rok	176
Elegja	192	O jasne, słodkie... . .	177
Epilog wydawcy do Gra-		Objaśnienia autora i uzu-	
zyni	33	pełnienia	226
Euthanasia	164	Osiół i pies	137
Gdym ostatniego cekina	189	Panicz i dziewczyna . . .	153
Giaur	91	Pchła i rabin	141
Golono, strzyżono . . .	146	Pewny rabin...	141
Grażyna	5	Pies i wilk	133
Jeden, bardzo mizerny... .	133	Pieśń Wajdeloty	62, 64
Jedna jest rzecz... . .	194	Podróżny	168
Jeśli błędy spotkają... .	192	Po owej porażce... . .	139
Jeżeli chcesz, ośle... .	137	Pożegnanie Czajd Ha-	
Już był w ogródku... .	145	rola	157

Pożegnanie	82	Uczcie się...	176
Pókiż przez głuche... .	187	Uczta	57
Przedmowa do Konrada		U nas, kto jest niby... .	146
Wallenroda	39	Ugolino	179
Przedmowa autora do		Umilkły wiatry... . .	96
Giaura	95	Urywek	210
Przedmowa tłumacza do		W gaiku zielonym... .	153
Giaura	93	W pamiętnikach... . .	136
Przekłady	155	W samym przepaści... .	190
Przeze mnie droga... .	179	Wezwanie do Neapolu .	174
Prędzej czy później... .	164	Wilja naszych strumień	48
Przyjaciele	141	Wojna	77
Przypomnienie	182	Wojna — Już Konrad... .	77
Rękawiczka	209	Wstęp do Konrada Wal-	
Romeo i Julia	211	lenroda	40
Rzeczpospolita żabska... .	134	Z Petrarke	177
Sąsiadka koza. ta... .	143	Z Pindara	192
Sen	159	Z poetów Litwy... . .	138
Skąd Litwini wracali?... .	64	Za czarnem i sinem... .	149
Skonał rok stary!... .	176	Zajac i żaba	142
Sto lat mijało... . .	40	Zbiegły dni wesołego... .	214
Szanfary	183	Zdania i uwagi	194
Szarak, co nieraz... .	142	Zimowy ranek... . .	82
Światło i ciepło	175	Znasz-li ten kraj... . .	174
Tchórz na wyborach . .	139	Żaby i ich króle	134
Teraz tyle samobójstw... .	148	Zona uparta	148
Trójka koni	138		



Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 93



93